cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #211 03/2024

Łukasz Czarnecki
NA TROPACH TWARDOWSKIEGO

Piotr Lisiewicz
DEZERTER Z WEHRMACHTU, MALARZ OD ANDERSA

Tomasz Gromadka
ISKRY OPORU NA SYBERII

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

Transhumanizm

W transhumanistycznej wizji człowiek pokłada nadzieję na realizację swych największych pragnień już nie w Bogu, lecz w technice.

ISSN 1895-4960

OKŁADKA. MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO, grafika wygenerowana za pomocą AI „Adobe Firefly"

eprasa.pl e1f842f673

TEMAT NUMERU 4–14



Transhumanistyczny raj / 4

IDEE 16–23



Dziecko przyszłości bez przeszłości / 16

HISTORIA 24–50



Dezerter z Wehrmachtu, malarz od Andersa / 24

KULTURA 52–59



Na tropach Twardowskiego / 52

ŚWIAT 64–98



Nawalny a rosyjski imperializm / 64

Spis treści

TEMAT NUMERU

Jacek Rutkowski
Transhumanistyczny raj /4

Jakub Augustyn Maciejewski
Najprostszy przewodnik po transhumanizmie /10

Ryszard Czarnecki
Portret totalitaryzmu z plagiatem w tle /14

IDEE

Małgorzata Matuszak
Dziecko przyszłości bez przeszłości /16

Piotr Lisiewicz
Obozu niepodległościowego nie stać na plastikowego przywódcę /21

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Dezerter z Wehrmachtu, malarz od Andersa /24

Agnieszka Kowalczyk
Mali niewolnicy rewolucji przemysłowej /30

Dariusz Jarosiński
„Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie...” /36

Ewa Polak-Pałkiewicz
Biłgoraj 1989. Fragment większej całości. Dokończenie /42

Jan Paweł II
Twarze wyłaniające się z przeszłości /48

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Na tropach Twardowskiego /52

Krzysztof Karnkowski
Miłość i zdrada w cieniu historii i Tatr /58

ŚWIAT

Piotr Grochmalski
Nawalny a rosyjski imperializm /64

Antoni Rybczyński
Nawalny politycznie. Życie i dziedzictwo /70

Hanna Shen
Tak zabija Pekin /75

Antoni Rybczyński
Powrót marksisty. Jak Daniel Ortega niszczy Kościół katolicki w Nikaragui /78

Stefan Czerniecki
Mindanao znów pod wodą /84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

Tomasz Gromadka
Iskry oporu na Syberii /94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Andrzej niezłomny!
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
Koniec człowieka
PAPKULTURA 15



Małgorzata Matuszak
Czym jest... asceza
KATECHIZM INTELIGENTA 47



Marek Kalinowski
Nie tylko hip-hop. Młodzi grają jazz!
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 51



Krzysztof Wołodźko
Piekło najsłabszych. Zapomniana niemiecka zbrodnia
DZIENNIK LEKTUR 60



Ryszard Czarnecki
Zapiski z Angoli
CZARNECKO TO WIDZĘ 83



Tomasz Sakiewicz
Jaka wspólnota
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl e1f842f673



Katarzyna Gójska

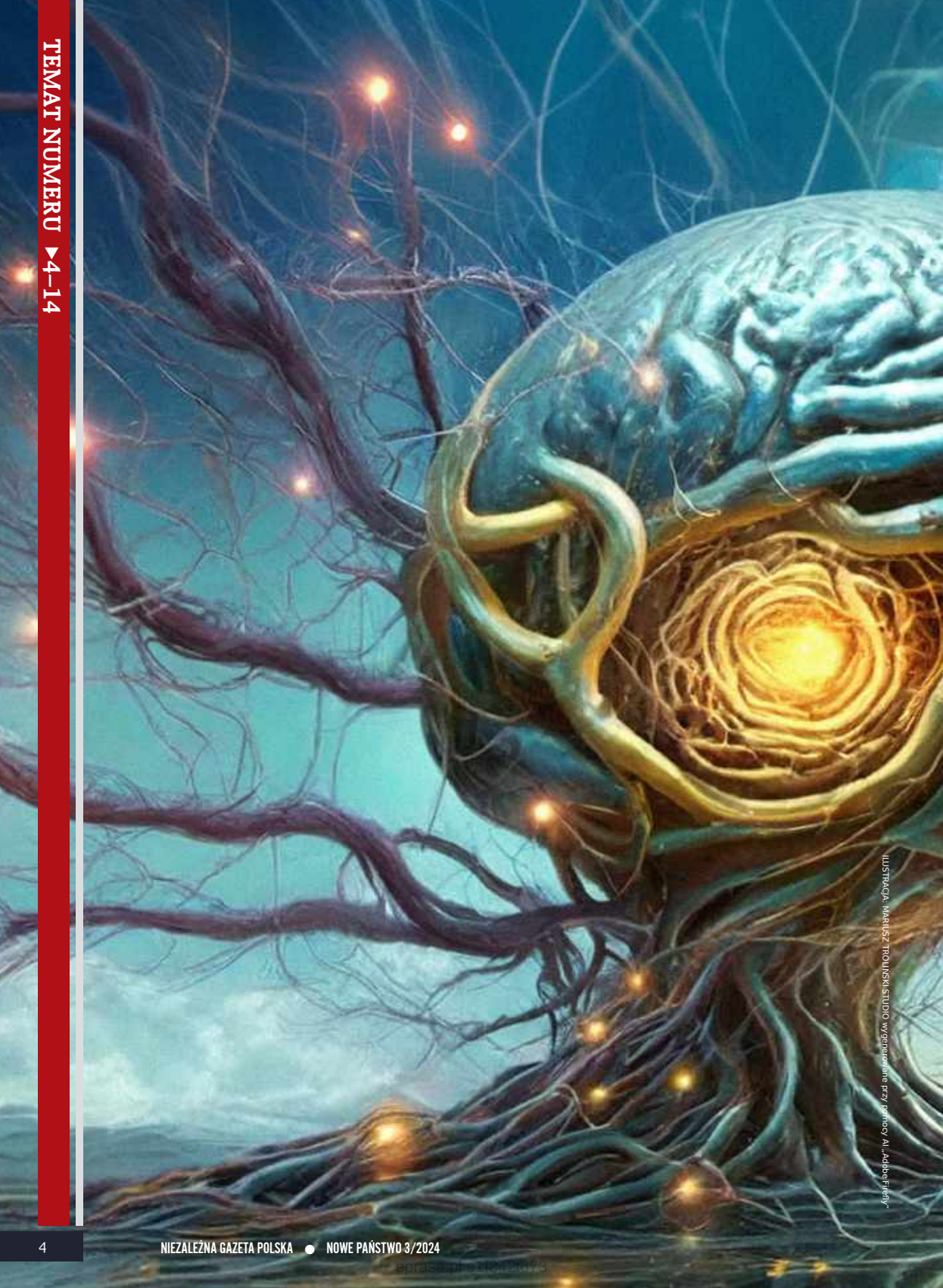
Andrzej niezłomny!

Właśnie mijają trzy lata od aresztowania wielkiego Polaka, Andrzeja Poczobuta. Kolejnego aresztowania, bo przecież reżim w Mińsku co rusz prześladował tego dzielnego członka polskiej społeczności w Grodnie.

Andrzej nie dał się zwieść Łukaszence, przejrzał intencje tego satrapy i przez całe lata tłumaczył również polskim politykom, by nie dali się mamić wizjami przechodzącego na stronę Zachodu białoruskiego autokraty. Z zażenowaniem patrzył na umizgi przedstawicieli RP wobec Mińska, bo wiedział, że one w gruncie rzeczy skończą się poniżeniem jego ojczyzny. Choć powiedzieć, iż miał tylko jedną ojczyznę, to błąd. Z jednej strony jest polskim patriotą i patriotą białoruskim. Z obowiązków wobec obu państw wywiązywał się heroicznie. Z narażeniem życia upamiętniał ślady polskości na swojej ukochanej Grodzieńszczyźnie, opisywał jej najnowsze dzieje i odkłamywał sowiecką propagandową wersję historii. Z drugiej strony przez całe lata tworzył organizację będącą ostatnią oazą wolności na Białorusi, przyczółkiem społeczeństwa obywatelskiego w tym zniewolonym i terroryzowanym kraju. Związek Polaków na Białorusi, bo o nim mowa, był fenomenem na terenach dawnej Rzeczypospolitej. Choć działał przez lata nielegalnie, to rozwijał się i budował porozumienie między Polakami a Białorusinami, choć jasne było, iż upamiętnia dzieje RP i kultywuje polskość. Kiedy w Polsce coraz śmielej wprowadza się w życie ograniczenie nauczania historii, gdy ruguje się wiedzę o żołnierzach Armii Krajowej oraz antykomunistycznym powstaniu, które trwało przez lata w naszym kraju po II wojnie światowej, warto uświadomić sobie, iż Andrzej Poczobut został skazany na 8 lat ciężkiej kolonii karnej, co rusz jest karany karcerami za to, byśmy mogli tę cześć naszego dziedzictwa poznać. To on dokumentował i wydobywał z mroków zapomnienia oraz zakłamania działania żołnierzy walczących o Polskę na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Można powiedzieć, że dzisiejszych barbarzyńców z ministerstwa edukacji łączy z Łukaszenką upiorna żądza wymazania tego, co decydowało o polskości i co ostatecznie przesądziło o odrodzeniu niepodległego państwa polskiego. Andrzej Poczobut siedzi w więzieniu za wierność historii, która ma być wymazana z podręczników w naszym kraju. Nie mam złudzeń, iż dzisiejsze władze RP nie upomną się o Andrzeja. Dla rządu Tuska przed laty był problemem w relacjach ze Wschodem, bo nie chciał się wyciszyć. Nie chciał się podporządkować reżimowi w Mińsku. Jednak wszyscy, którym drogie jest polskie dziedzictwo, nie mogą o nim zapomnieć. ■

Z narażeniem życia upamiętniał ślady polskości na swojej ukochanej Grodzieńszczyźnie, opisywał jej najnowsze dzieje i odkłamywał sowiecką propagandową wersję historii. Przez całe lata tworzył organizację będącą ostatnią oazą wolności na Białorusi, przyczółkiem społeczeństwa obywatelskiego w tym zniewolonym i terroryzowanym kraju – Związek Polaków na Białorusi.

eprasa.pl e1f842f673



ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO wygenerowane przy pomocy AI „Adobe Firefly"



Transhumanistyczny raj

Jacek Rutkowski

Do jednej z głównych tez transhumanistów należy jednowymiarowość człowieka. To właśnie wyeksploatowanie, wyciśnięcie do maksimum wewnętrznej pustki ma dać człowiekowi szczęście. Transczłowiek ma być przepełnioną rozkoszą rośliną, wyposażoną dzięki genetycznym modyfikacjom w nieustające gradienty błogości.

W niepowstrzymanym pochodzie postępu ku lepszemu światu rośnie ostatnio w siłę nowa eudajmonistyczna ideologia – transhumanizm. Podobnie jak jej poprzedniczki, obiecuje czającą się tuż za rogiem powszechną szczęśliwość (niektórzy twierdzą, że wystarczy poczekać do 2050 roku – wszelkie związki z polską sceną polityczną są przypadkowe).

▶ Ciało niezniszczalne, chwalebne, mocne i „duchowe"

Julian Huxley, jeden z pionierów transhumanizmu, definiował go jako dążenie do radykalnego przekroczenia i przemiany natury ludzkiej. Cele te przedstawia się jako możliwe do osiągnięcia (co jest wątpliwe), a ponadto jako wysoce pożądane (co jest jeszcze bardziej wątpliwe). Nie chodzi tu oczywiście o przemianę duchową (μετάνοια) ani też o nową naturę ciała uwielbionego po zmartwychwstaniu. Mimo to wizje transhumanistyczne bardzo przywodzą na myśl opisy świętego Pawła z Listu do Koryntian: „Podobnie rzecz się ma ze zmartwychwstaniem. Zasiewa się zniszczalne – powstaje zaś niezniszczalne; sieje się niechwalebne – powstaje chwalebne; sieje się słabe – powstaje mocne; zasiewa się ciało zmysłowe – powstaje ciało duchowe" (1 Kor 15, 42–44). Święty Paweł wytyczył w tych słowach cele transhumanizmu, różnica tkwi tylko (i aż) w środkach stosowanych do ich osiągnięcia. W miejsce struktury wertykalnej, gdzie łaska spływa na człowieka z góry na dół, proponuje się rozwiązanie horyzontalne, w którym człowiek przemienia samego siebie i staje się absolutnym panem swojej natury. To koncepcja radykalnie immanentystyczna, naturalistyczna i materialistyczna, w której podstawową rolę odgrywa technika. To dzięki technice, a nie dzięki łasce Bożej, ma powstać ciało niezniszczalne, chwalebne, mocne i „duchowe". Tak, „duchowe", gdyż mimo swego materializmu transhumaniści chcą się uwolnić od ciała i funkcjonować jako czyste umysły (chciałoby się powiedzieć: anioły) na nośnikach cyfrowych (tzw. mind uploading). Jako ludzie prawdziwie tolerancyjni nie zamierzają jednak nikomu narzucać tego rodzaju egzystencji – każdy powinien mieć możliwość wybrać swój kształt i sposób funkcjonowania w ramach „wolności morfologicznej" (od gr. μορφή – forma).

▶ Przyspieszenie ewolucji

Według transhumanistów gatunek ludzki znajduje się w stosunkowo wczesnej fazie rozwoju ewolucyjnego i posiada wciąż rozmaite mankamenty, których ewolucja nie zdołała wyeliminować.

Max More, jeden z czołowych transhumanistów, pisał w „Liście do Matki Natury": „Matko Naturo, jesteśmy naprawdę wdzięczni za to jakimi nas stworzyłaś […]. Jednak, z całym szacunkiem, musimy zauważyć, że pod wieloma względami efekty pozostawiają wiele do życzenia. Uczyniłaś nas wrażliwymi na choroby i uszkodzenia. Poddałaś nas starzeniu i śmierci – właśnie wtedy, gdy zaczynamy osiągać mądrość. Raczej skąpo obdarzyłaś nas świadomością własnych cielesnych, poznawczych i emocjonalnych procesów". Nadszedł czas, by człowiek wziął sprawy we własne ręce i pokonał upokarzające ograniczenia, jakich dotychczasowy ewolucyjny rozwój nie był w stanie się pozbyć. Dla transhumanistów odwieczne pytanie egzystencjalne unde malum? (skąd pochodzi zło?) ma zupełnie inny charakter. Nie ma sensu rozważać filozoficznie tego zagadnienia i dumać w pozie Stańczyka, zgłębiając metafizyczną strukturę kosmosu. Zło to po prostu problem techniczny, który prędzej czy później da się rozwiązać (jak powiedziano wyżej, bardziej optymistyczni transhumaniści sądzą, że stanie się to już 2050 roku). Tak jak ludzkość radzi sobie coraz lepiej z klęskami głodu i rozmaitymi katastrofami naturalnymi, tak w końcu zostanie pokonane całe zło. Przede wszystkim, jak by mogli dodać transhumaniści, „Jako ostatni wróg zostanie pokonana śmierć" (1 Kor 15, 26). Wyzwoleniem od wszelkiego zła mają się zająć przede wszystkim cztery nauki, niby szyderstwo z dawnego czwórmianu Epikura: nanotechnologia, biotechnologia, informatyka i nauki kognitywne. Czwórmian Epikura proponował osiągnięcie szczęścia dzięki wyzbyciu się strachu przed bogami, śmiercią i cierpieniem. Miało się to dokonać poprzez przyjęcie i zinterioryzowanie filozoficznych argumentów, Epikur zalecał pewną pracę nad sobą. Natomiast czwórmian transhumanistyczny ma przynieść wyzwolenie całkowicie z zewnątrz, przez nauki.

Człowiek podlega dotychczas cierpieniu, chorobom, starzeniu i śmierci – ale wszystko to da się zmienić dzięki postępowi technicznemu. Jak stwierdził Max More: „Rzucamy wyzwanie nieuchronności starzenia i śmierci!". „To sobie rzucajcie!", chciałoby się odpowiedzieć. Takie wyzwanie przypomina postawę małego chłopca, który przekonany o swojej sile chciałby się bić ze starszymi, po czym zbity na kwaśne jabłko wraca zapłakany do mamy. Transhumaniści oczywiście nie zamierzają nikomu narzucać nieśmiertelności – każdy powinien mieć w tym zakresie wybór. Każdy powinien mieć prawo robić, co tylko zechce, z własnym ciałem, najważniejsza jest możliwość wyboru (może się to z czymś kojarzyć). Transhumanistyczny postulat wolności umierania jest już nawet realizowany z dużą skutecznością szczególnie w Holandii, niestety jednak jak na razie

eprasa.pl e1f842f673

udaje się go realizować tylko w jedną stronę – w stronę wyboru śmierci.

Kłopoty ze śmiercią

Z tym postulatem immortalizmu wiąże się pewna istotna trudność. O ile proces starzenia już dzisiaj udaje się w jakiejś mierze powstrzymać (chociaż osiągana górna granica wieku *Homo sapiens* nie zwiększyła się ani trochę, zwiększył się tylko średni czas życia), o tyle konieczność śmierci wydaje się nie do uniknięcia. Transhumaniści obawiają się, że ich życie może skończyć się za wiele miliardów lat w wyniku końca wszechświata – obowiązująca koncepcja kosmologiczna staje się dla nich źródłem głębokiego osobistego niepokoju. Jednak koniec wszechświata stanowi tutaj stosunkowo mały, poboczny problem. Ujmując zagadnienie w terminach tomistycznych, byt, który nie jest bytem przez się (*ens per se*), który nie posiada istnienia (*esse*) w sobie samym, może przestać istnieć. Byt, do którego istoty nie należy istnienie (a tak ma się rzecz tylko w Bogu), istnieje w sposób niekonieczny. To zaś, co istnieje w sposób niekonieczny, może przestać istnieć. Ale jeśli może przestać istnieć, to prędzej czy później przestanie istnieć. Nie chodzi tutaj o jakiś pesymizm czy dowcipne bonmoty w rodzaju prawa Murphy'ego, tylko o zwykły rachunek prawdopodobieństwa. Jeśli pewne zdarzenie (śmierć) może się stać z niezerowym prawdopodobieństwem w ciągu roku, to w ciągu odpowiedniej liczby lat (być może bardzo dużej) prawdopodobieństwo śmierci będzie równe 99 proc. A w odpowiednio większej liczbie lat będzie równe 99,9 proc. Krótko mówiąc, nie można stać się bytem koniecznym, Absolutem. A jeśli byt nie jest Absolutem, to jest przygodny, na co nawet biotechnologia, nanotechnologia, informatyka i kognitywistyka nic nie poradzą.

Realizm transhumanizmu

Fukuyama, znany ze swojej tezy o końcu historii, uważa, że transhumanizm to najniebezpieczniejsza ideologia w historii z tego powodu, że wiele jej koncepcji jest możliwych do zrealizowania. Fukuyama występuje ze stanowiska mało (jeszcze) znanego w Polsce nurtu tzw. biokonserwatyzmu, postulującego zachowanie gatunku ludzkiego w jego obecnej postaci i sprzeciwiającego się wprowadzaniu radykalnych technologicznych ulepszeń. Można złośliwie spytać, czy Fukuyama jest przeciwnikiem na przykład soczewek albo protez, skoro nie życzy sobie żadnych usprawnień. Granica między radykalnym a dopuszczalnym usprawnieniem jest płynna; tym, co wyróżnia biokonserwatystów, jest po prostu stwierdzenie, że taką granicę należy gdzieś postawić, a nie stawiać na rozwój bez jakichkolwiek ograniczeń.

Fukuyama wskazuje na ryzyko związane z transhumanizmem niejako w kontrze do wcześniejszych ideologii, takich jak komunizm. Dzisiaj już dość mało osób wierzy, że gdy tylko „związek nasz bratni ogarnie ludzki ród", to skończy się „krwawy trud" oraz „dzień szczęścia będzie wiecznie trwał" („Międzynarodówka"). Obietnice komunizmu zostały brutalnie sfalsyfikowane przez historię. Zamiast wiecznego dnia szczęścia przynosił on wszędzie śmierć i pożogę. Powiązanie między uprzemysłowieniem, uwspólnieniem (upaństwowieniem) środków produkcji oraz ateizmem a powszechnym szczęściem nie wydaje się być konieczne. Przewidywane w patetycznych słowach przez Marksa przyszłe szczęście robotniczej ludzkości, mające wynikać ze wspomnianych przesłanek, przywodzi na myśl raczej płomienne starotestamentalne proroctwa niż suchą logikę, wyrażającą konieczne związki przyczynowo-skutkowe. Komunizm to nieaktualna już bajka, dobra może dla poprzednich stuleci, która straciła już swój καιρός. Transhumanizm bardziej twardo stąpa po ziemi, proponując zastosowanie nauki. Komunizm reklamował się jako światopogląd naukowy, chodziło jednak głównie o (rozwiniętą przez Marksa) naukę humanistyczną – socjologię, natomiast transhumanizm wymachuje na wszystkie strony nowymi technologiami.

Obiecuje on, że „świat stanie się lepszym miejscem, w którym życie będzie cudowne" (Nick Bostrom). Nihil novi. Podobne obietnice to specjalność szeroko rozumianej lewicy. Charles Fourier, XIX-wieczny socjalista francuski, sądził, że jak tylko wprowadzi się proponowany przez niego nowy porządek świata, drapieżniki staną się przyjazne dla człowieka, a wody morskie zamienią się w wyborną lemoniadę. Cel polegający na budowie „znaturalizowanego nieba" (określenie jednego z czołowych transhumanistów, Davida Pearce'a), pozostaje w ideologicznych wizjach niezmienny od stuleci. Transhumanizm wnosi jednak nowy element. Jak stwierdził Nick Bostrom, „transhumanizm to Oświecenie plus technologie". Szczęście na ziemi nie ma już być budowane przez przemiany światopoglądowe czy społeczno-polityczne, tylko przez wynalazki. Drapieżniki mogą stać się przyjazne dla człowieka dzięki rozpylanym w puszczach i sawannach farmakologicznym środkom uspokajającym. Wody morskie mogą stać się lemoniadą (i to wyborną!) dzięki mutacjom genetycznym, za sprawą których drzewa cytrynowe mogłyby zacząć masowo rosnąć na dnach oceanów. Nie twierdzę, że to możliwe. Nie twierdzę też, że transhumaniści lubią

eprasa.pl e1f842f673

lemoniadę tak bardzo jak Charles Fourier i wspaniała metamorfoza oceanów należy do ich programu. Powyższe przykłady służą zilustrowaniu kluczowej tezy transhumanizmu o „plastyczności" świata i nieograniczonych możliwościach modelowania go przez człowieka.

▶ Transhumanizm jako materializm

Transhumanizm jest swoiście pojmowanym materializmem. Nie chodzi nawet o to, że wszystko jest wyłącznie materialne, lecz że daje się dowolnie przemieniać. Jest to zupełnie inny materializm niż ten wyznawany przez starożytnych filozofów. Przed odkryciem rzeczywistości ponadzmysłowej przez Platona każdy filozof „musiał" być materialistą – po prostu nie było pojęć, za pomocą których można było mówić o bycie innego rodzaju. Jednak materializm nie przeszkadzał presokratykom mówić na przykład, że „wszystko jest pełne bogów" (Tales) albo że „istnieje rozum, który wszystkim rządzi, wszystko przenikając" (Heraklit). Materia była dla nich czymś bardziej „duchowym" niż w naszym pojęciu. Dopiero Platon rozczłonkowując byt na zmienny i niedoskonały świat widzialny oraz niezmienny i doskonały świat niewidzialnych idei, zdegradował materię jako niższy poziom bytu. I dopiero za sprawą Platona jest możliwy materializm polegający na negacji istnienia rzeczywistości ponadzmysłowej, materializm wojujący. Gdy Heraklit pisał, że rozum wszystko przenika, stwierdzał również, że rzeczywistość materialna w pewien sposób przekracza człowieka. Świat materialny otaczała pewna aura tajemniczości i boskości. Gdy Platon „wydelegował" bogów do wyższego, niematerialnego poziomu bytu, materia stała się czymś bardziej przyziemnym i dostępnym, mniej tajemniczym. W takim dualistycznym układzie rodzi się pokusa, by po prostu zanegować wyższy poziom bytu i dzięki temu stać się wszechwładnym panem. Wtedy wszystko – czyli materia, jako jedyny rodzaj bytu – jest czymś niższym. W miejsce różnych poziomów rzeczywistości u Platona, gdzie człowiek jest bytem pomiędzy (μεταξύ), pojawia się układ jednowarstwowy, nad którym człowiek może sprawować władzę absolutną. Materia staje się polem niczym nieograniczonego działania. O takiej właśnie materii i takim materializmie pisała św. Teresa od Dzieciątka Jezus: „Ogarniają mnie najgorsze myśli materialistów: »Potem przyjdzie wiedza naukowa, która nieustannie czyni postępy i poda naturalne wyjaśnienie wszystkiego, dowiemy się przyczyn tego wszystkiego, co istnieje«". W przewidywanym przez transhumanistów świecie nie będzie już miejsca na zdziwienie – matkę filozofii, nauka uczyni rzeczywistość całkowicie przejrzystą i znikną wszystkie tajemnice.

Gdy Arystoteles budował słownik pojęć filozoficznych (które jeszcze po prostu nie istniały), użył dla oznaczenia materii słowa ὕλη (hyle) – drewno. Chciał w ten sposób zobrazować fakt, że materię można przemieniać, formować, tak jak podstawowy surowiec, którym wówczas było drewno (teraz może mówilibyśmy raczej o plastiku). W filozofii Arystotelesa oznaczało to możliwość nadawania nowej formy, natury. Jednak w świecie transhumanistów nie ma żadnej niezmiennej natury. Cała rzeczywistość jawi się właśnie jako takie drewno, jako materiał do dowolnej obróbki. Tak jak można z drewna wyrzeźbić dowolne kształty, tak też z materii, z tych atomów, które składają się na człowieka, a ewentualnie z jakichś dodatkowych, można „wyrzeźbić" szczęście, brak cierpienia, wieczną młodość i nieśmiertelność. Różnica między wyrzeźbieniem drewnianego kołka z nieregularnego pnia a wyrzeźbieniem szczęścia z aminokwasów i białek to tylko różnica stopnia, różnica skomplikowania technicznego. Układ dający szczęście jest potencjalnie bardziej złożony niż układ dający drewniany kołek. Naukowcy jednak nie ustają w wysiłkach, żeby ten układ wytworzyć.

▶ Transhumanistyczne szczęście

Kłopot w tym, że nie bardzo wiadomo, czemu naukowcy mieliby być w stanie osiągnąć ten cel. Czemu ludzka koncepcja szczęścia miałaby mieć odzwierciedlenie w układzie materialnych cząstek? Szczęście to pewne pojęcie – dlaczego miałoby ono mieć możliwą doskonałą realizację? Z samego drewna nie da się na przykład wytworzyć czegoś tak prostego jak masa o konsystencji galarety – czemu ze wszystkich pozostałych materiałów razem wziętych miałoby się dać wytworzyć coś tak skomplikowanego i nieuchwytnego jak ludzkie szczęście? Chrześcijanie uznają dokonany przez wszechmoc Bożą cud Wcielenia, za sprawą którego Słowo stało się ciałem. Transhumaniści przewidują dokonany przez moc ludzką cud innego wcielenia, za sprawą którego szczęście stanie się ciałem. Platońska idea szczęścia ma zstąpić na ziemię i radować swą obecnością miliony transludzkich istot.

Transhumanistom nie chodzi zresztą o ludzkie, tylko o jakieś jeszcze bardziej zagadkowe ponadludzkie szczęście. Ludzkie szczęście nie wystarczyłoby na te nieskończoność lat, które obiecują w swoim programie transhumaniści – mogłoby się w końcu znudzić, człowiek ma to do siebie, że potrzebuje ciągle czegoś nowego. Transhumaniści mają na to gotową odpowiedź. Gdy człowiek osiągnie wyższą fazę rozwoju,

eprasa.pl e1f842f673

będzie miał nieznane nam niezwykle bogate rozkoszne doznania. Na czym mają one polegać? Rąbka tajemnicy uchyla David Pearce w swoim dziele o znamiennym tytule „Imperatyw hedonistyczny". Otóż przyszłe udoskonalone pokolenia będą mogły cieszyć się niezmąconą „orgazmiczną celebracją bycia". Nawiązując do powieści Aldousa Huxleya „Nowy wspaniały świat", można powiedzieć, że przyszły transczłowiek będzie uczestniczył w nieprzerwanej orgii-porgii. Będzie to zatem świat jeszcze wspanialszy niż ten rysowany przez Huxleya, tam bowiem ludzie musieli jeszcze pracować. Pozostały w nich resztki natury ludzkiej, które sprawiały, że nieustanna orgia-porgia stałaby się dość nudna, monotonna, a na dłuższą metę wręcz nie do zniesienia. Technologiczne usprawnienia człowieka mają sprawić, że ta uciążliwa niedogodność zniknie i po wiekach powolnego ewolucyjnego rozwoju w końcu osiągniemy zintensyfikowane życie bez cierpienia, nastawione na „orgazmiczną przyjemność pozbawioną pruderii" (David Pearce).

Transhumanizm jako surogat religii

Jak już wskazano wyżej, Fukuyama upatrywał niebezpieczeństwa związanego z transhumanizmem w tym, że niektóre jego postulaty są możliwe do zrealizowania. Według mnie jeszcze większe niebezpieczeństwo wiąże się z tym, że postulaty transhumanizmu w ich najmocniejszej formie są właśnie niemożliwe do zrealizowania. Żaden biotechnolog czy farmakolog nie sprawi, że ludzie osiągną niezmącone niczym szczęście. Może im zapewniać dowolnie duże dawki farmakologicznych rozkoszy, ale „w duszy jest zawsze coś na dnie,/ co wśród użycia pragnie, wśród rozkoszy żąda" (Kazimierz Przerwa-Tetmajer, „Koniec wieku"). Żaden biotechnolog nie zapewni nieśmiertelności, nie sprawi, że byt niekonieczny stanie się bytem koniecznym, nie stworzy niestwarzalnego z definicji Absolutu.

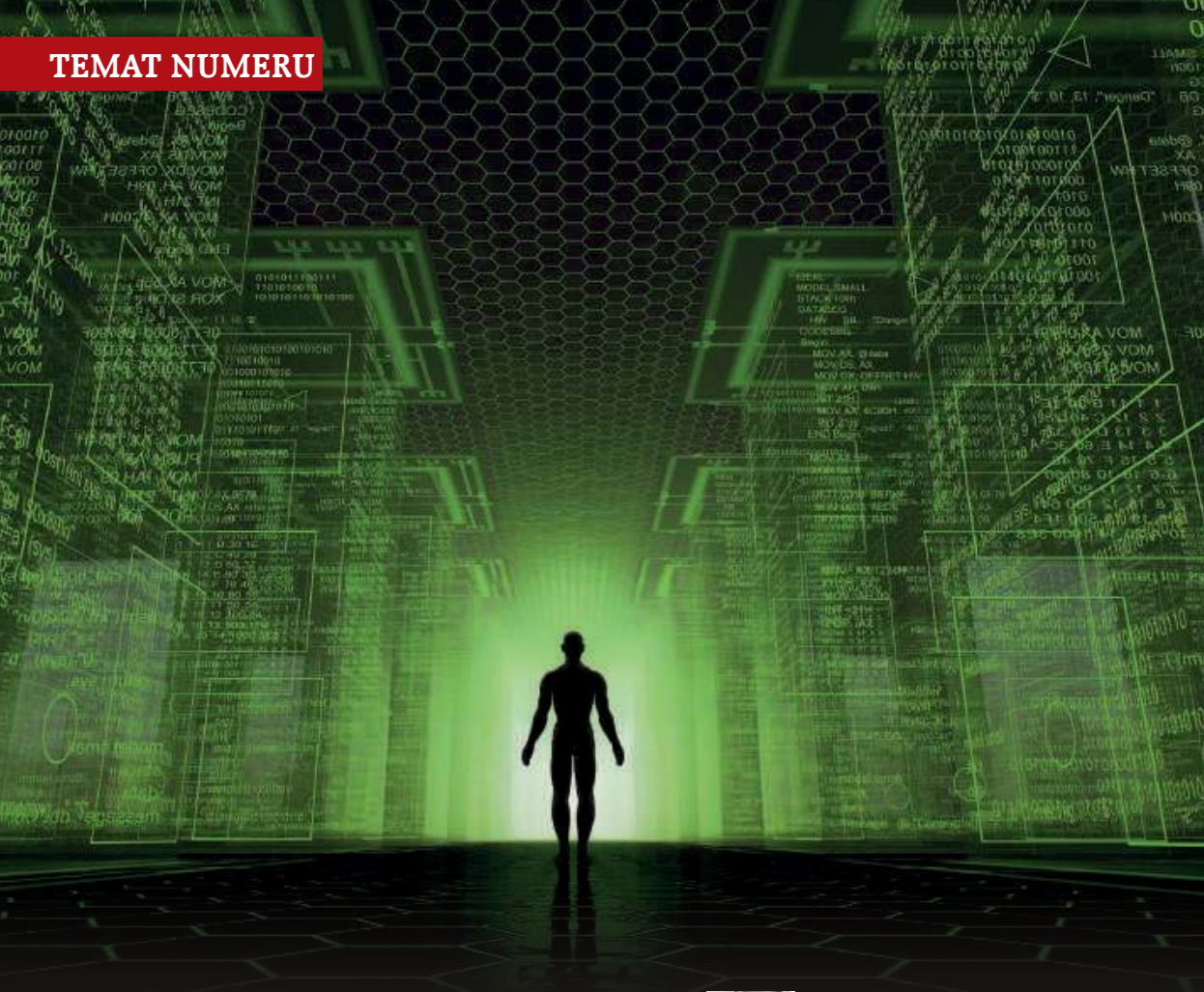
Transhumanizm obiecuje immanentne spełnienie eschatologicznych pragnień człowieka o pełni szczęścia i nieśmiertelności. Transhumaniści sami wskazują na fakt, że ich postulaty są wypełnieniem tego, co proponują religie. W transhumanistycznej wizji człowiek pokłada nadzieję na realizację swych największych pragnień już nie w Bogu, lecz w technice. To doprowadzenie do ostateczności procesu, o którym pisał Benedykt XVI w encyklice „Spe salvi". Francis Bacon postulował związanie nauki z praktyką w celu polepszenia ludzkich warunków życia. Taki postulat wydaje nam się zupełnie oczywisty, jednak wcześniej nauka służyła głównie kontemplacji dzieła stworzenia. Według Benedykta XVI współczesny kryzys wiary jest przede wszystkich kryzysem nadziei, która przyjęła od czasów Bacona nową formę wiary w postęp. Dzięki współpracy nauki i techniki będzie można dojść do zupełnie nowych odkryć, za sprawą których wyłoni się całkowicie nowy świat – królestwo człowieka. Tam, gdzie króluje wiara w postęp, nie ma już miejsca na wiarę chrześcijańską. Bacon nie przeczył wierze, tylko przesunął ją na poziom prywatny, pozaziemski. Jego wyobraźnia nie posunęła się na tyle daleko, by żądać od techniki spełnienia eschatologicznych obietnic chrześcijaństwa. Dokonał tego dopiero transhumanizm.

Chesterton pisał, że najbardziej podstępne i też najbardziej fałszywe są takie twierdzenia, które zbliżają się do prawdy. Ich łudzące podobieństwo do prawdy usypia czujność. Transhumanizm nie da szczęścia, ale już dzisiaj istnieją „pigułki szczęścia" (na przykład prozac – fluoksetyna). Transhumanizm nie da nieśmiertelności, ale już dzisiaj istnieją sposoby na spowalnianie procesu starzenia. Nie da uwolnienia od cierpienia, ale już dzisiaj można przyjmować leki przeciwbólowe. Nic zdaje się nie stać na przeszkodzie dalszemu usprawnianiu istniejących już technologii i rozwiązań. Transhumanizm zawdzięcza pewną wiarygodność temu, że cele, do których zmierza, udało się już w jakiejś mierze osiągnąć. Rzecz jednak w tym, że sugeruje on nie tyle dalszy równomierny rozwój, lecz pewien radykalny przeskok i z religijnym patosem zapewnia nadejście królestwa Bożego na ziemi.

Człowiek jednowymiarowy

Herbert Marcuse, jeden z guru rewolty studenckiej z roku 1968, był przerażony jej skutkami i odżegnywał się od niej. Uznał, że w jej wyniku powstał nastawiony na konsumpcję człowiek jednowymiarowy, któremu obce są jakiekolwiek wyższe wartości duchowe. Rewolucja pożera własne dzieci. To, co dla Marcuse'a było odrażającym wypaczeniem, dla transhumanistów stało się podstawowym założeniem. Transhumaniści nie są bynajmniej przerażeni jednowymiarowością człowieka, należy ona do ich głównych tez. Zapowiadane przez nich nowe królestwo ma mieć charakter jednowymiarowy. To właśnie wyeksploatowanie, wyciśnięcie do maksimum wewnętrznej pustki ma dać człowiekowi szczęście. Transczłowiek ma być przepełnioną rozkoszą rośliną, wyposażoną dzięki genetycznym modyfikacjom w nieustające gradienty błogości (gradients of bliss). Cóż, zapewne istnieją liczni ludzie, których nęci taka przyszłość. Sądzę jednak, że wciąż istnieje wielu, którzy powiedzieliby tak jak Tadeusz Dołęga-Mostowicz w filmie „Niepospolita": „Nie jestem zainteresowany". ■

eprasa.pl e1f842f673



Jakub Maciejewski



Najprostszy przewodnik po transhumanizmie

Totalna ideologia przebudowy człowieka, podłączenie go do maszyny i zastąpienie niektórych jego funkcji właśnie technologią nie jest tak skomplikowana czy nowa, jak wygląda na pierwszy rzut oka.

egrasa.pl e1842673

Przedrostek „trans" oznacza „przez", „poprzez", a w użyciu ostatnich dekad przyjęło się go odbierać jako „płynność". Transpłciowość zatem oznacza płynność granicy między płciami, a transhumanizm płynność granicy... człowieczeństwa. Rzecz po prostu w zastępowaniu poszczególnych części i funkcji człowieka supernowoczesnymi urządzeniami, z nanotechnologią, czyli sprzętem, którego wielkość mierzona jest w jednej miliardowej metra, włącznie.

Choć brzmi to przerażająco, to od setek lat bajki i legendy przewidywały taki rozwój wydarzeń, zaś literatura i filmy science-fiction opisały to tak dobitnie, że odpowiednia lista lektur pozwoliłaby całkiem nieźle rozeznać się w temacie transhumanizmu. Dla tych więc, dla których literatura naukowa w kwestii nowych technologii jest ciężkostrawna, prezentujemy najprostszy przewodnik po transhumanizmie z odsyłaczami do przyjemniejszych powieści, filmów, a nawet gier komputerowych.

Początki

Wydawałoby się, że opowieści o robotach żyjących w społeczeństwie niczym ludzie, to pieśń współczesności, ale legendy o stworzonych przez człowieka maszynach przeznaczonych do „życia" pojawiły się już w XVI wieku. To wtedy rabin Jehuda Löw ben Becalel z czeskiej Pragi miał ulepić wielkoluda „golema", który broniłby Żydów przed pogromami. Ożywić go miały zaklęcia i modlitwy, ale 500 lat później zrobiła to nauka. Posmak transhumanizmu poznajemy także w innym ludziku – drewnianym Pinokiu ożywionym i potem uczynionym prawdziwym chłopcem. Trudno o bardziej dobitne przekroczenie przez „trans" granicy człowieczeństwa.

W filozofii podwaliny pod transhumanizm ustanowił Kartezjusz, interpretując człowieka jako „ducha w maszynie", czyli świadomość uwięzioną w ciele i niejako od niego niezależną. A gdyby tę świadomość wyjąć i dać jej „lepsze ciało", lepszą „maszynę"? Tak podszedł do tego rosyjski filozof Nikołaj Fiodorow (1829–1903), który uznał, że nowe technologie pozwolą człowiekowi żyć wiecznie bez chorób i bólu. Zdaniem rosyjskiego myśliciela zmartwychwstanie zapowiadane i opisywane w Nowym Testamencie jest właśnie realizacją takiego postulatu. Co prawda maksymalistycznym celem transhumanistów jest postczłowiek – niemal całkowite zastąpienie ciała maszyną (świadomość przeniosłoby się do komputera), ale sama idea ulepszania ciała nie jest przecież nowa. W najpopularniejszych wyobrażeniach o piratach mężczyźni mają drewniane nogi, wstawianie nowych zębów było znane w starożytności, bizantyjski cesarz kazał sobie wstawić nowy, złoty nos po utracie starego (buntownicy obcięli mu tę część twarzy). A ileż to w nowoczesności mamy powszechnie używanych ulepszeń – okulary były już ingerencją w ciało, a co dopiero szkła kontaktowe, rozruszniki serca czy sztuczne płuca! Nikt przeciwko temu się nie buntuje, więc transhumaniści mówią: czemuż by nie więcej udoskonaleń!

Jednak istniejące już dylematy transhumanizmu dla ludzi przywiązanych do biologicznej natury brzmią szokująco. Przyjrzyjmy się podstawowym zagadnieniom.

Wolność morfologiczna – w przyszłym świecie byłoby to prawo do decyzji, czy chce się mieć ciało biologiczne czy elektroniczne, w jakim procencie miałoby być ulepszone. Poprawić pamięć? A może przywrócić wszystkie wspomnienia? Wyostrzyć wzrok? Zredukować zmęczenie? Wymienić kończyny? Obywatelu – decyduj. Wokół tej idei powstało całe uniwersum cyberpunka, w którym dzieje się akcja książek (William Gibson i jego „Neuromancer") i gier komputerowych (Cyberpunk 2077) oraz narracyjnych (Cyberpunk).

Programowanie emocji – utopiści, którzy chcą świat uczynić doskonałym już za życia, już dziś zastanawiają się nad motywem wymazania nienawiści czy zazdrości z ludzkiego umysłu. W łagodniejszej wersji chodzi na przykład o zredukowanie smutku (w depresji) albo strachu u żołnierzy. W serialu sci-fi „Czarne lustro" jest jeden odcinek poświęcony konkretnie temu zagadnieniu („Man against fire), w którym żołnierze zamiast ludzi z wrogiej grupy, z którą wojują, widzieli potwory – a więc żeby nie mieli wyrzutów sumienia i żalu przy ich zabijaniu.

Sobowtór cyfrowy – wiele zachowań, nawyków i schematów myślenia da się odtworzyć w komputerze, dzięki temu jesteśmy w stanie przewidzieć zachowania opracowanego obiektu. Człowiek ma po prostu w komputerze swojego sobowtóra, na którym można testować bodźce i sprawdzać reakcje. W filmie „Raport mniejszości" z 2004 roku na podstawie opowiadania Philipa K. Dicka mamy świat, w którym da się przewidzieć nawet przestępstwa, zatem można aresztować kogoś przed ich popełnieniem. Współcześnie Rosjanie stosują sobowtóry cyfrowe do tzw. zarządzania refleksyjnego (przewidziano na przykład gwałtowne reakcje prezydenta Gruzji Saakaszwilego w 2008 roku), tę me-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl e1f842f673

todę stosuje się też do przewidywania zachowań terrorystów.

Transfer zachowań gra–rzeczywistość – okazuje się, że w grach komputerowych ludzie przenoszą swoje zachowania z rzeczywistości. W USA wybuchł skandal, gdy na bezpłatną grę „American's Army" padło podejrzenie, że jest wykorzystywana do werbowania doborowych żołnierzy. Twórcy gry po zachowaniach gracza mogli rozpoznać, czy będzie on dobrym żołnierzem (na przykład wysportowani w realu mężczyźni przekazywali swoim postaciom większą dynamikę ruchów). W literaturze sci-fi ten problem porusza Orson Scott Card w powieści „Gra Endera", zekranizowanej pod tym samym tytułem w reżyserii Gavina Hooda.

Superzbroja i myślowe kierowanie bronią – naukowcy z amerykańskiego instytutu DARPA badali już możliwość kontrolowania nowoczesnej broni za pomocą fal mózgowych. W uproszczeniu – to nie przyciskami sterowałoby się dronem, lecz... myślami. Podobnie specjalne opancerzenie mogłoby być zgrane z ludzkim organizmem i mózgiem. W powieści Roberta A. Heinleina o tytule „Starship Troopers" żołnierze dysponowali „egzoszkieletami", czyli takimi właśnie myślącymi pancerzami, skoordynowanymi z ludzkimi ciałami.

Zwiększenie zdolności organizmu – picie kawy czy napojów energetycznych jako walka z sennością w przyszłości może być rozszerzone do zmagania się ze wszystkimi niechcianymi stanami ciała i umysłu. Osobne specyfiki pomagające w nauce, skupieniu, logicznym myśleniu, szybszym reagowaniu, większej uważności i wielu innych cechach mogą być wzmacniane poszczególnymi wynalazkami czy substancjami. Dobitnie pokazał to głośny film „Jestem bogiem" z 2011 roku w reżyserii Neila Burgera.

Samowynajdująca się broń – już dzisiaj sztuczna inteligencja potrafi sama siebie ulepszać i opracowywać unowocześnienia dla samej siebie. Tym samym broń militarna może również się tym zajmować. Tak jak na przykład między USA a ZSRS trwał wyścig zbrojeń napędzany inwencją dobrze opłacanych inżynierów, tak teraz to same roboty czy „inteligentne maszyny" mogłyby się udoskonalać, by zyskać przewagę nad wrogim krajem. NASA rozpoczęła badania nad podobnym modelem rozwoju już w 1980 roku. Stanisław Lem przewidział tę problematykę już w 1984 roku w swojej powieści „Pokój na Ziemi", w której cały wyścig zbrojeń przeniósł się na Księżyc i tam się rozwijał bez kontroli i wiedzy ludzi żyjących na Ziemi.

Zastępowanie ciała biologicznego / cyborgi – już dzisiaj najnowsze protezy kończyn pozwalają sprawnie zginać sztuczne stawy w koordynacji z resztą organizmu. Ludzie, którzy stracili ręce, mogą w przyszłości zyskać zamiennik sterowany myślami, a granice rozwoju tej technologii zdają się nie mieć końca. Może kiedyś da się zastąpić całe ciało? Ten motyw pojawiał się w tak popularnym filmie jak „Gwiezdne wojny", gdzie Lord Vader mógł mimo kalectwa sprawnie funkcjonować.

Zdalne kontrolowanie obiektów – nadzieja żołnierzy, nurków i astronautów. Zamiast osobiście narażać życie, można by wysyłać na misję człekopodobny obiekt (na przykład robota) sterowany z bezpiecznego miejsca przez człowieka. W jeszcze innym celu wykorzystano taki typ kontroli w filmowym świecie zobrazowanym w dziele „Avatar" (2009) Jamesa Camerona, gdzie człowiek kieruje ciałem przedstawiciela kosmicznej rasy Na'vi. Główny bohater współodczuwa wszystko to, co jego „avatar", przekraczając tym samym granicę człowieka i kontrolowanego przez siebie obiektu.

Transfer umysłu – wobec śmiertelności ludzkiego ciała, a także ograniczeń ludzkiego mózgu psutego starzeniem się biologicznej materii, marzeniem tych, którzy chcieliby żyć wiecznie już tutaj, na Ziemi, jest przeniesienie pełni swojej świadomości do komputera. W ten sposób umysł byłby niezależny od ciała, które mógłby zmieniać na biologiczne bądź maszynowe (Kartezjusz i jego „duch w maszynie"). Richard K. Morgan w książce „Altered Carbon" (zekranizowanej w formie serialu) oraz Wally Pfister w filmie „Transcendencja" omawiają obszernie ten problem.

Sztuczne życie – dzięki rozwiniętej technologii cyfrowej oraz neuronauce można dokonać symulacji życia tak, by umysł był przekonany, że istnieje w jakiejś zaprogramowanej rzeczywistości. Teoretycznie jest to bardzo proste – to, co słyszymy, widzimy czy czujemy, jest efektem konkretnych, ale bardzo prostych impulsów elektrycznych w naszym układzie nerwowym. A gdyby tak dostarczać takie impulsy elektryczne, które zmyliłyby człowieka, który uznałby, że widzi, słyszy i czuje to, co podsunęliby mu maszyna czy wynalazca? Właśnie ten problem jest ukazany w kultowym filmie „Matrix", gdzie cała ludzkość żyje w tak sztucznie wykreowanej rzeczywistości.

eprasa.pl e1f842f673

Fanatyzm o religijnym zabarwieniu

Problem z transhumanizmem polega na tym, że nawet sceptycy muszą nadążać za nowymi pomysłami i wynalazkami, bo pozostawanie w tyle skaże daną instytucję na klęskę w technologicznym wyścigu. W dodatku wielu uczonych nadaje swoim badaniom metafizyczny, zbawczy wymiar. Don Norman, badacz z amerykańskiego instytutu DARPA, który zajmował się przyszłością technologii, czuł się wręcz kreatorem nowego stworzenia: „Marzę, by stworzyć własnego robota. Przekazać mu moją inteligencję. Uczynić go moim umysłem [...], zobaczyć w nim siebie". Widać z tego wyraźnie, że transhumanistom nie chodzi wcale o zwykłe ulepszenie człowieka i zdjęcie z niego cierpień, bólu, słabości, lecz o jakąś wielką wizję nowego człowieczeństwa. Chodzi też o zmianę natury ludzkiej.

Furness – zaczynając w latach 70. swoje rozważania transhumanistyczne, wręcz odwoływał się do języka i pojęć religijnych. O spełnieniu swojej wizji opisanej w powyższych hasłach pisał niczym prorok, a nie naukowiec: „Wszyscy zostaniemy aniołami, na całą wieczność [...]. Cyberprzestrzeń będzie dla nas jak raj [...] – przestrzeń dla kolektywnego przywrócenia zwyczaju doskonałości".

Jednak w dążeniu do realizacji „transhumanistycznego raju" stoi wiele przeszkód. O ile udaje się w pewnym stopniu zastąpić rękę sprawną protezą czy pokierować lufą czołgu poleceniami wypowiedzianymi jedynie w myśli, o tyle mózg ludzki nadal pozostaje zagadką dalece nierozumianą i przekraczającą stan badań naukowych. Mózg też współpracuje z resztą organizmu tak drobiazgowo, że wraz z przeniesieniem jego zawartości do komputera bez dostępu do dotyku, zapachu, uczuć, bliskości itp. byłby jedynie kadłubowym umysłem, a nie jego kopią. W całym tym nurcie pojawia się też mnóstwo problemów etycznych (czy zniszczenie komputera z czyjąś świadomością byłoby niczym zabicie człowieka?), ale transhumaniści zdają się definiować moralność na nowo, w myśl swoich utopijnych marzeń.

PROBLEM Z TRANSHUMANIZMEM POLEGA NA TYM, ŻE NAWET SCEPTYCY MUSZĄ NADĄŻAĆ ZA NOWYMI POMYSŁAMI I WYNALAZKAMI, BO POZOSTAWANIE W TYLE SKAŻE DANĄ INSTYTUCJĘ NA KLĘSKĘ W TECHNOLOGICZNYM WYŚCIGU.

Jeden z twórców sztucznej inteligencji – Hans Moravec – twierdził już w latach 80., że zamiana ludzkości w maszyny nie jest opcją, lecz koniecznością, osiągnięciem wymarzonej doskonałości. Zdaniem tego technoentuzjasty, obecna sytuacja to „kłopotliwy rozjem między umsyłem a ciałem", który „kompletnie się rozpada z końcem życia, kiedy zbyt wiele ciężko wypracowanych aspektów naszej mentalnej egzystencji zwyczajnie umiera z nami". Zdaniem Moraveca, ludzie ze swoją wiedzą, umiejętnością, doświadczeniami i przemyśleniami mogliby całą taką świadomość przekazywać mechanicznemu „potomstwu". Ludzkość w tej wizji miałaby być więc pewnym ogniwem istnienia, które tworzy istoty rzekomo lepsze od siebie, a samo ginie w prawach darwinistycznej rzeczywistości. Kultowy film „Terminator" opowiada właśnie o buncie maszyn, które mają być lepsze od ludzi, przegrywających konflikt ze stworzonymi przez siebie robotami.

Kolejna utopia

Nieprzypadkowo maksymalistyczne plany i marzenia transhumanistów przypominają nam zabawę w Boga i pełne pychy parcie ku tworzeniu własnej, nowej, lepszej ludzkości. Jeden z prekursorów badań nad relacjami człowieka i maszyny – Tom

Jednak skoro śledzimy dzieła mistrzów, którzy przewidywali rozwój technologii i myślenia technologicznego, to i tym razem warto sięgnąć do klasyków literatury. Stanisław Lem w „Opowieściach o pilocie Pirxie" wytoczył wojnę przekonaniu, że maszyny są wolne od przywar, które charakteryzują człowieka. Jego tezą było to, że maszyna będzie zawsze zawodna, choć w inny sposób niż człowiek. Co więcej – zaprojektowana przez człowieka będzie miała defekty swojego ułomnego twórcy. W ostatnim z opowiadań o pilocie Pirxie wielka katastrofa promu kosmicznego okazuje się efektem pracy neurotycznego inżyniera, który niechcący przekazał komputerowi swoje złe nawyki.

Jakkolwiek zapowiedź kolejnej utopii nie nastraja optymistycznie, a doświadczenie wskazuje, że realizacje podobnych wizji kosztują zawsze morze ofiar, to jednak najtęższa zbiorowa wiedza zawarta w zachodniej filozofii, a także w chrześcijańskich założeniach, wieszczy tutaj jednoznaczny finał tych prób: wielkie żałosne fiasko. ■

eprasa.pl e1f842f673



Ryszard Czarnecki

Portret totalitaryzmu z plagiatem w tle

„Nowy wspaniały świat" to obraz totalitarnego państwa, kierującego się trzema zasadami: „wspólnością", „identycznością" i „stabilnością".

O Aldousie Huxleyu po raz pierwszy dowiedziałem się od mojej Mamy, gdy miałem może z 10 lat. Opowiadała mi o fenomenie literatury angielskiej XX wieku. Wtedy dowiedziałem się o takich pisarzach jak Graham Greene, Bruce Marshall, A. J. Cronin, Gilbert Chesterton, ale także Aldous Huxley. Ci pierwsi to katolicy, a więc religijna mniejszość na Wyspach Brytyjskich. Ten ostatni to agnostyk.

Mama opowiadała mi o książce „Nowy wspaniały świat". To przerażająca wizja, do której jakże pasuje wiersz sowieckiego poety Włodzimierza Majakowskiego, w którym padają słowa: „jednostka – zero".

Opowieści Mamy przełożyłem potem na lekturę. „Nowy wspaniały świat" to obraz totalitarnego państwa, kierującego się trzema zasadami: „wspólnością", „identycznością" i „stabilnością". Wspólność oznacza, że „każdy jest dla każdego". Identyczność – że wszyscy mają mieć takie same poglądy i upodobania, a w niższych klasach społecznych także wygląd (dzięki klonowaniu!). Wreszcie stabilność – efekt permanentnej kontroli i prześladowania wszystkich, których zachowania odbiegają od przyjętych z góry standardów. Oczywiście takie państwo było w kontrze do religii, wszelkich idei oraz dawnej literatury – a więc tradycji. Społeczeństwo w takim totalitarnym państwie ma być sterowane przez narkotyki, które mają zabić indywidualne odczucia. Obowiązuje maksyma: „Gdy jednostka czuje, wspólnota szwankuje". Proleci nie strajkują, nie oczekują podwyżki, nie mają indywidualnych potrzeb.

Mama opowiadała mi też o kolejnej książce Huxleya „Nowy wspaniały świat poprawiony". Dziś jest ona znana pod tytułem „Nowy wspaniały świat – 30 lat później – Raport rozbieżności". To zbiór reportaży, w których Aldous Huxley dokonuje rewizji swoich prognoz.

Tak, dobrze jest mieć taką Mamę, która wprowadza dziecko w świat literatury. Za to będę Jej zawsze wdzięczny.

Najważniejsza książka Huxleya ma też swój niespodziewany polski kontekst. Anglik napisał ją w roku 1931, a wydał rok później. Tymczasem polski pisarz Mieczysław Smolarski kilka lat wcześniej wydał kilka powieści: „Miasto światłości", „Podróż poślubna pana Hamiltona", „Archiwariusz Gordon", „Człowiek bez przeszłości", „Białe moce", „Lalka Hanny Korda". Polak zarzucił Anglikowi plagiat! Rzeczywiście w powieści Huxleya jest wiele podobieństw do książek polskiego autora. Do tego stopnia, że w czasie II wojny światowej do Polaka zwrócono się z pytaniem: „Powiedz, czy ty okradłeś Huxleya, czy też Huxley w »Brave new World« okradł ciebie?". U polskiego autora pan Hamilton jest zarządcą domu o 50 piętrach i 20 tys. lokatorów, u Huxleya jest 36 pięter, 60 pięter i 7 tys. pokojów. U Polaka jedzie się windą na dach, gdzie czekają samoloty o wielkiej sile, startujące pionowo w górę, u Huxleya – identycznie. Upoważnienia do takiej wyprawy powietrznej u Smolarskiego udziela Naczelnik Miasta – u Huxleya Kierownik Świata. Żeby takie zezwolenie uzyskać, bohater Smolarskiego, pan Hamilton, musi wysłuchać podczas urzędowej audiencji różnych morałów dotyczących jego prywatnego życia. Identycznie bohater Huxleya, czyli Bernard!

Są też różnice. Władze odkładają reformy do jutra – u Huxleya w ogóle na nie nie pozwalają. Jednak główna dewiza „Nowego wspaniałego świata": „Każdy pracuje na każdego, wszyscy na wszystkich" – brzmi jakże podobnie do napisu w złotej obręczy na sztandarach świata w powieści „Podróż poślubna pana Hamiltona" Smolarskiego: „Zgoda wszystkich i wspólny cel jeden".

Huxley też jakby wzorował się na „Mieście światłości" Polaka, bo jest u niego młodzieniec wychowujący się w „barbarzyńskim" społeczeństwie, sierota (u Polaka bez obojga rodziców, u Anglika bez ojca). Najpierw nasz rodak, a potem Anglik piszą, że owemu młodemu człowiekowi starsi ludzie opowiadają o Bogu, pouczają go, co to jest elektryczność lub czym są chemikalia, zapoznają go z lepieniem w glinie, malowaniem na porcelanie, rzeźbieniem w drzewie czy kości.

To rzeczywiście sensacja, gdyby jedna z najważniejszych powieści XX wieku była plagiatem książek mało znanego polskiego pisarza, od którego tłumacze z Niemiec i Włoch zabierali egzemplarze jego powieści, aby je przetłumaczyć, ale nigdy tego nie uczynili… ■

eprasa.pl e1f842f673

Marcin Wolski

Koniec człowieka

Koniec człowieka bywał tematem rozmaitych ponurych dystopii i nie należy mylić go z zapowiedzianym w Biblii końcem świata, który niektórzy ludzie przeżyją po to, by wraz ze zmartwychwstałymi nieboszczykami trafić pod Sąd Ostateczny. W myśleniu o końcu człowieka chodziło o ostateczny kres gatunku, w kształcie, jakim go znamy, niezależnie czy jesteśmy kreacjonistami, czy zwolennikami ewolucji. Nawet jeśli od dinozaurów pochodzą ptaki, dla wymarłych olbrzymów niewielka to pociecha. Jeśli chodzi o obrazy zagłady ludzkości, najlepiej definiowały je przez wieki wizje jeźdźców apokalipsy – głód, wojna, zaraza i śmierć, a czasy nowsze dorzuciły do kompletu wojnę nuklearną i katastrofę kosmiczną – uderzenie planetoidy, przegrzanie planety czy destrukcję grawitacyjną.

Większość obaw o los gatunku koncentruje się wokół prognozy, że to ludzie ludziom zgotują ten los. Jak ponure memento przyświeca nam wizja G. H. Wellsa z „Wehikułu czasu", w której ludzkość dzieli się na dwie rasy – inteligentnych i bezbronnych Elojów i żyjących pod ziemią Morloków, dla których ci pierwsi stanowią pokarm.

W dzisiejszych czasach strach u wielu budzi tzw. sztuczna inteligencja. Już kiedyś Karel Czapek przedstawił perspektywę dominacji maszyn nad ludźmi w sztuce o buncie robotów. Teraz jednak fantazja o wiele bardziej się uprawdopodobniła, bo na zdrowy rozum dlaczego mamy wierzyć, że globalna superinteligencja będzie zawsze służyć niezdarnym białkowcom, ograniczonym czasem i przestrzenią?

Ale załóżmy, że uda się zachować kontrolę nad elektroniką. Marzyciele od wieków pragnący równać się z Bogiem kombinują właściwie nad jedną kwestią – nieśmiertelnością. Już dziś można sobie wyobrazić krzyżówkę maszyny i człowieka, który przekopiuje swój mózg na dysk albo umieści go chmurze, ciało wzmocni protezami lub będzie uzupełniać biologicznymi częściami zamiennymi i jak przewidywał Lem w „Przekładańcu", będzie egzystować po wieczne czasy. Pytanie tylko, czy będzie miał po co? W dodatku przypominam niedowiarkom, jak zakończyły się poprzednie pojedynki ze Stwórcą na przykładzie choćby Wieży Babel.

Tymczasem na horyzoncie pojawiło się zagrożenie nowe, które można nazwać deprecjacją człowieka. Jest ono pokłosiem walki z światopoglądem ukształtowanym przez wielkie religie Księgi (będącej wspólnym kamieniem węgielnym żydów, chrześcijan i muzułmanów). Jeżeli pozbawimy człowieka duszy nieśmiertelnej i zredukujemy go do poziomu zwierzęcia, zabierając mu całą wyjątkowość, na której wspierała się cała cywilizacja, co zostanie? Neo-człowiek, pozbawiony swej historii (która na naszych oczach staje się raczej powodem wstydu niż dumy), wyzwolony z ram stworzonych przez religię, rodzinę i kulturę, zajęty jedynie konsumpcją i rozrywką – skoncentrowany głównie na seksie oderwanym od cudu prokreacji, stałby się rzeczywiście tylko jednym ze ssaków, i to raczej tych słabszych.

JEŻELI POZBAWIMY CZŁOWIEKA DUSZY NIEŚMIERTELNEJ I ZREDUKUJEMY GO DO POZIOMU ZWIERZĘCIA, ZABIERAJĄC MU CAŁĄ WYJĄTKOWOŚĆ, NA KTÓREJ WSPIERAŁA SIĘ CAŁA CYWILIZACJA, CO ZOSTANIE?

Współczesna walka z człowieczeństwem przebiega oczywiście na różnych poziomach i płaszczyznach – każdy jednak z jej frontów prowadzi do negacji dawnego, przez tysiące lat wypracowanego modelu życia, do zanegowania diety, relacji z przyrodą czy z własnym „stadem". Wyrywane są kolejne bezpieczniki, które w postaci rożnych tabu chroniły nasz gatunek – od świętości życia od poczęcia po zgon, przez potępienie kazirodztwa czy różnorakich zboczeń (uwaga, zakazane słowo!), które odwracają aktywność i wyobraźnię jednostek od jednego z dwóch podstawowych celów egzystencji – przetrwać i podtrzymać gatunek. Ten proces trwa. Końca nie widać, a jeśli widać, to jest straszliwy. Zeroemisyjność dwutlenku węgla będzie miała jeden skutek – likwidację roślin zielonych, a wraz z nimi życia na Ziemi.

eprasa.pl e1f842f673

DZIECKO PRZYSZŁOŚCI BEZ PRZESZŁOŚCI

Małgorzata Matuszak



Według Edmunda Burke'a ojczyzna „to związek pokoleń umarłych, żywych i tych, które przyjdą po nas". Nasza opowieść dziedziczy przeszłość przodków i staje się częścią opowieści potomków. Sama też sięgać może tam, gdzie sięga pamięć. Pamięć prawdziwej opowieści jest zaś szczególnego rodzaju pamięcią. Ona buduje naszą tożsamość. Budowaniu tej opowieści winny służyć lekcje historii i języka polskiego w szkole.



FOT. WIKIPEDIA

Nowa minister edukacji zapowiedziała wiele zmian w polskim szkolnictwie. Wreszcie, rzec by można, od dawna bowiem wiadomo, że polska szkoła tych zmian potrzebuje. I to na wszystkich szczeblach edukacji. Zewsząd usłyszeć można było stwierdzenia, że programy nauczania są „przeładowane", że nauczyciele nie są w stanie zrealizować wszystkich treści, które są w nim zawarte w sposób, który byłby korzystny dla ucznia, że uczniowie uczą się rzeczy niepotrzebnych, nadto szczegółowo, a nie rozumieją siebie i tego, co ich otacza. Czy jednak oczekiwaliśmy zmian takich, jakie są proponowane? Tak tendencyjnych? Niepokoją w szczególności propozycje dotyczące modyfikacji podstawy nauczania języka polskiego i historii, zarówno w szkole podstawowej, jak i średniej.

Diabeł tkwi w szczegółach

Skupmy się na zmianach w zakresie edukacji historycznej i języka polskiego. Idea im przyświecająca jest – w moim przekonaniu – jak najbardziej słuszna. Jednak sposób jej realizacji, przynajmniej na etapie wstępnych konsultacji, już nie. Jeśli bowiem wczytamy się w intencje zmian, jak choćby tę, by proponowane ograniczenia dały „nauczycielom i uczniom więcej czasu na spokojniejszą i bardziej dogłębną realizację tych zagadnień, które w podstawie programowej pozostaną", czy umożliwiły nauczycielom skupienie się na realizacji wymagań ogólnych podstawy programowej, to znajdują się w niej postulaty, którym przyklasnąłby każdy, zarówno uczeń, jak i rodzic, który jest zaangażowany w proces kształcenia swego dziecka. Nawet ogólne wytyczne odnoszące się konkretnie do zmian w zakresie edukacji historycznej nie budzą sprzeciwu, bo przecież wszyscy są zgodni co do tego, że program należy „odchudzić" z faktów, nazwisk i dat, a tym samym dostosować do możliwości jego realizacji w ramach godzin przeznaczonych na dany temat. Problem tkwi w tym, co z podstawy programowej zostało wykreślone.

Jak powiedział w rozmowie zamieszczonej na portalu Dziennik.pl dr Jakub Lorenc, współautor korekty podstawy programowej: „Po pierwsze staraliśmy się znaleźć takie tematy, które nie są niezbędne w pełnym zakresie do tego, żeby zbudować spójną opowieść o przeszłości i stąd wzięło się trochę skreśleń. Z drugiej strony, chcieliśmy nadać niektórym zapisom takie sformułowania, które nie gubiąc istoty, dawałyby możliwie jak największy zakres swobody nauczycielskiej i pozwalały im decydować o tym, na jaki poziom szczegółowości poszczególnych zagadnień dla swoich uczniów się zdecydują. I z tego wynikała kolejna grupa skreśleń". Zapytany o zmiany w podejściu do nauki patriotyzmu na lekcjach historii w polskich szkołach, odpowiedział: „Nasze zadanie sprowadzało się do cięć w treściach. Zmieniliśmy nieco wstępy do dokumentów, ale ich ogólna wymowa pozwala być spokojnym o wychowawczy komponent historii w szkole. Podkreślamy tam, niewiele zmieniając poprzednią wersję, że celem lekcji historii jest poznanie polskiego dziedzictwa nie jako rzeczy zewnętrznej wobec nas, ale jako kształtującego nas i świat wokoło nas dobra, za które – tak samo jak za współczesność – trzeba brać odpowiedzialność".

Patrząc jednak na to, co z programu zostało wycięte, trudno przyznać rację autorom zmian, że celem lekcji historii wciąż będzie nauka patriotyzmu i poznanie polskiego dziedzictwa. Będzie to bowiem dziedzictwo bardzo okrojone. Nie można uczyć historii, nie nazywając rzeczy po imieniu czy odzierając z dziedzictwa aksjologicznego przodków, religii i wiary. Nie można być spokojnym o „wychowawczy komponent historii", jeśli za niestosowne uznaje się kształtowanie rozumienia takich pojęć jak „ojczyzna, naród, państwo, symbole narodowe, patriotyzm". Świetną analizę zmian w podstawie programowej przedstawił na łamach „Gazety Polskiej" (nr 08/2024) Tomasz Łysiak, który swój artykuł kończy pytaniem o to, czy „późny wnuk", kształcony w ramach nowej podstawy programowej z historii, będzie w stanie czuć dumę z tego, że jest Polakiem, czy też tegoż uczucia dumy będzie musiał się wstydzić.

Jesteśmy historią

Historia życia człowieka, chociaż ono samo rozciąga się między własnym początkiem i własnym końcem, nie zaczyna się wraz z jego narodzinami i nie kończy się wraz ze śmiercią, ale jest częścią historii rodziny, miasta, państwa. Jesteśmy zawsze już dłużnikami tych, dzięki którym jesteśmy tymi, którymi jesteśmy. Tym właśnie według Edmunda Burke'a jest też ojczyzna: „to związek pokoleń umarłych, żywych i tych, które przyjdą po nas". Nasza opowieść dziedziczy przeszłość przodków i staje się częścią opowieści potomków. Sama też sięgać może tam, gdzie sięga pamięć. Opowiadamy wszak, ażeby nie zapomnieć, o tyle, o ile pamiętamy, i tyle, ile pamiętamy. Pamięć prawdziwej opowieści jest zaś szczególnego rodzaju pamięcią. Ona buduje naszą tożsamość. Budowaniu tej opowieści winny służyć lekcje historii i języka polskiego w szkole.

Rzec można, że historia to zinstytucjonalizowana – jako nauka – pamięć społeczna. Jako taka określa więc nie tylko nasze doświadczanie i rozumienie teraźniejszości, lecz także wpływa na naszą i naszych potomków przyszłość. Wielką uwagę przykładać za-

eprasa.pl e1f842f673

tem winniśmy do tego, co i w jaki sposób pamiętamy. Od szkoły wymagamy tym samym, by pamięci historycznej nie zniekształcała, by na lekcji historii uczniowie uczyli się prawdy, również tej trudnej i bolesnej. Odnosi się to także do lekcji języka polskiego. Nawet jeśli opowieść opowiadana jest językiem, który dzisiaj uznać można za „archaiczny", to przecież jest to nasza opowieść, nasze dziedzictwo narodowe. Usuwanie z programu nauczania treści, które kształtują świadomość narodową, to kolejny objaw czegoś sięgającego dużo głębiej. Zewsząd usiłuje nam się wmówić, że trzeba iść z duchem czasu, zapomnieć o tym, co przebrzmiałe, przestać mówić o tym, co niewygodne. Przymiotniki „patriotyczny", „tradycyjny", „narodowy" zaczynają budzić pejoratywne skojarzenia i zaczynają być przeciwstawiane epitetowi „nowoczesny". Bo przecież musimy być nowocześni, za wszelką cenę, musimy iść z duchem czasu. Usiłuje nam się wmówić, że trzeba wybierać pomiędzy tym, co tradycyjne, a tym, co nowoczesne. A przecież to nieprawda. Czy tak trudno zrozumieć, że dobrze pojmowana „nowoczesność" nie może odcinać się od tradycji, ale musi z niej właśnie wyrastać? Że jeśli odetniemy się od tego, co stanowi o naszej historii, naszej tożsamości, nigdy nie zrozumiemy samych siebie? Że stawiając sobie za cel bycie nowoczesnym i odcinając się radykalnie od tradycji, odcinamy sobie również drogę do celu tegoż osiągnięcia?

Kryzys tożsamości

Współczesny człowiek żyje w czasach kryzysu tożsamości, zarówno osobowej, jak i zbiorowej, a nawet tożsamości zagubienia – to jedno z częściej powtarzanych twierdzeń na temat współczesności. W obliczu różnorodności zarówno lansowanych obecnie stylów życia, norm etycznych, światopoglądów, jak i wielorakości wizji człowieka, trudno dziś o cokolwiek stałego. W zasadzie nie wiemy, czy wokół nas jest jeszcze coś niezmiennego, czy też „wszystko płynie". Oczywiście pewne zmiany są niezależne od nas, choćby te wyznaczone przez czas, warto jednak wiedzieć, kim się jest. By wbrew wszechogarniającemu relatywizmowi obstawać przy tym, co czyni nas tym, kim naprawdę jesteśmy. Zmienia się także podejście do zagadnienia tożsamości narodowej, która nabrała dziś także płynnego charakteru. Stała się dynamiczna, fragmentaryczna i coraz bardziej banalizowana. Jaką bowiem tożsamość narodową lansują niektóre współczesne media? To prawda, procesy globalizacyjne zmieniają oblicze współczesnego świata, wpływając destrukcyjnie na nasze wyobrażenie o rzeczywistości, o nas samych i o innych, a także o tym, co dotychczas kształtowało nasze myślenie o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Jednak nie możemy zapomnieć o tym, kim jesteśmy. Mówienie o Polsce i o miłości do Polski wielu Polaków dzisiaj drażni i wynika to nie tylko ze współczesnej alergii na patos i gołosłowność, jak zauważa o. prof. Jacek Salij OP. Wielu dzisiejszych Polaków, zwłaszcza młodych, zatrważająco nisko ocenia własny naród, wielu z nas, wyjeżdżając za granicę, wstydzi się, że jest Polakiem.

Mówi się nam dzisiaj, że mamy się czuć przede wszystkim Europejczykami. Jednak „bycie Polakiem" i „bycie Europejczykiem" – te pojęcia wcale się nie wykluczają, a wręcz przeciwnie. Cała Europa ma przecież wspólne korzenie osadzone w klasycznej kulturze grecko-rzymskiej oraz chrześcijańskiej i każdy europejski kraj jest integralną jej częścią. Tożsamość zbiorowa jest poczuciem „my" – tak wobec siebie, jak i wobec innych grup czy na tle innych grup. Naszą tożsamość buduje zarówno poczucie przynależności do Europy, jak i odrębność od innych krajów i narodów, które Stary Kontynent tworzą. Źródłem tożsamości narodowej są przede wszystkim kultura, język i własna historia. O ich znaczeniu pięknie mówił Jan Paweł II w przemówieniu w siedzibie UNESCO, 2 czerwca 1980 roku: „Jestem synem narodu, który przetrzymał najstraszliwsze doświadczenia dziejów, który wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć, a on pozostał przy życiu i pozostał sobą. Zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów własną suwerenność jako naród nie w oparciu o jakiekolwiek środki fizycznej potęgi, ale tylko w oparciu o własną kulturę, która okazała się w tym wypadku potęgą większą od tamtych potęg". Polska kultura sytuuje się w centrum europejskiej tradycji. My, Polacy, nie tylko nie musimy się swojej kultury wstydzić, ale wręcz mamy się czym szczycić.

„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie"...

Te słowa kanclerza Jana Zamoyskiego, wypowiedziane ponad 400 lat temu, do dziś nie straciły na swej aktualności. Pragniemy, by nasze szkoły kształciły w nowoczesny sposób, lecz chcemy równocześnie, żeby ta nowoczesność nie była pozbawiana swych korzeni. Wykorzenianie najłatwiej i najskuteczniej zaś zacząć od przedmiotów humanistycznych, one bowiem mają największy wpływ na kształtowanie postaw młodych ludzi. Pragniemy szkoły, w której uczniowie poznając przeszłość, nauczą się rozumieć teraźniejszość. By uczyli się nie w myśl zasady „zakuć, zdać, zapomnieć", lecz po to właśnie, by pamiętać. Pamiętać, że są Polakami i że mogą być z tego dumni. ■

eprasa.pl e1f842f673



Piotr Lisiewicz



Obozu niepodległościowego nie stać na plastikowego przywódcę

III RP nie należy do tych szczęśliwych państw, w których prawica rywalizuje z lewicą i spiera się z nią o kwestie społeczne, gospodarcze czy ideologiczne. U nas obóz polski rywalizuje z antypolskim. Dlatego Polski nie stać na plastikowego przywódcę obozu niepodległościowego. Musi to być lider, który znakomicie rozumie znaczenie tego najważniejszego podziału. Odnajduje się, gdy jest jednocześnie atakowany z lewa, z centrum i z prawa przez siły służące obcym. Lider, który będzie gwarancją, że obóz niepodległościowy dążyć będzie strategicznie do realizacji idei sojuszu państw Międzymorza ze Stanami Zjednoczonymi. I nie powie, że skoro Ukraina wybrała sojusz z Niemcami, to rzecz jest niewykonalna.

Jarosław Kaczyński ogłosił, że pozostanie prezesem PiS, jeśli będzie miał poparcie kongresu partii, choć wyjaśnił, że „jeśli partia zdecyduje inaczej, to będzie inaczej, ja oczywiście nie będę się upierał, nie będę Le Penem, mówię o starym Le Penie, który się bardzo upierał, że będzie szefem partii, a inni mieli inne zdanie. Ale jeśli uzyskam odpowiednie poparcie ze strony kongresu partii, to dalej prezesem będę". Pretendenci do sukcesji, których nazwiska co rusz wymieniają media, muszą więc poczekać, bo żaden z nich przeciw Kaczyńskiemu nie wystąpi, nie mając szans na zwycięstwo.

Czy to dobra decyzja? Można powiedzieć żartem, że gdyby Jarosław Kaczyński wystartował w wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych, byłby odebrany przez wyborców jako młodzieżowiec – młodszy od Donalda Trumpa o trzy lata, a od Joego Bidena o całe siedem, czyli niemal o dwie kadencje. Tymczasem w mediach trwa dyskusja na temat przywództwa w PiS. Zabrali w niej głos prof. Andrzej Nowak i Jacek Kurski, który dostarczył Jarosławowi Kaczyńskiemu tajny raport, którego „obszerne fragmenty" przypadkiem trafiły do tygodnika „Do Rzeczy" (ktoś wydarł kartki?), a jego istotą jest przekonanie o nieomylności Kurskiego. Tezy Nowaka i Kurskiego są wzajemnie sprzeczne, co jest ciekawe o tyle, że w centrum obu tekstów znajduje się bożek PR-u. Robi to wrażenie, jakby ich autorzy nagle przestali rozumieć, jak działa III RP.

Trzy kluczowe czynniki

Poza perspektywą obu autorów pozostaje to, co z punktu widzenia owego przywództwa wydaje się najważniejsze. Oto w ostatnich tygodniach pojawiły się w Polsce trzy czynniki z optyki obozu niepodległościowego kluczowe. Po pierwsze, ludzie są w stanie wychodzić setkami tysięcy na ulice nie w imię spraw bytowych, lecz niepodległości. Po drugie, rolnicy stali się ogromną siłą społeczną, która postanowiła przeciwstawić się kierownictwu UE. Niemieckiemu kierownictwu, temu, które zainstalowało w Polsce nową władzę. Po trzecie, odważnie zaczął zachowywać się Kościół. 19 lutego ukazał się niezwykle ważny apel abp. Stanisława Gądeckiego, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski: „Wyzwania, jakie przychodzą zarówno ze Wschodu, gdzie toczy się wojna, jak i z Zachodu, gdzie obserwujemy poważne zmiany kulturowe oraz dążenie do przekształcenia Unii Europejskiej w jedno państwo, stawiają dziś pytanie o niepodległość Polski". A więc koniec „terlikowszczyzny", ciągłego przepraszania i zmieniania się. Zamiast tego duma ze wszystkiego, co dobrego Kościół robi na co dzień i z kontynuowania linii Jana Pawła II i Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Znaczenie tych trzech czynników polega także na tym, że one się ze sobą nie konfrontują, a raczej sumują.

Nawet jeśli nie każdy rolnik rozumie wszystkie meandry niepodległościowej polityki i nie każdy niepodległościowiec zna się na rolnictwie, to za chwilkę mogą się znać. I choć nie każdy w nich jest pobożny, to ma na wsi i wśród niepodległościowców więcej ludzi wierzących lub szanujących Kościół niż w innych środowiskach.

Odmładzanie w III RP prawie zawsze nie dawało efektu

Tymczasem zarówno prof. Nowak, jak i Kurski wolą pisać o rozliczeniach. Co ciekawe, wybitny historyk zajmuje się tym razem także PR-em. Po tym, jak Jarosław Kaczyński przeprowadził zmianę na stanowisku współprzewodniczącego grupy EKR, które to stanowisko piastował inny krakowski profesor – Ryszard Legutko, Nowak namawiając Kaczyńskiego do odejścia, napisał: „Tylko sytuacja, w której naprzeciwko zbliżającego się do siedemdziesiątki »cesarza Europy« z Platformy, wodza »młodej, uśmiechniętej Polski« będzie mógł stanąć ktoś dużo młodszy i krzyknąć: ten wasz cesarz jest nagi, stary, brzydki i nie ma nam nic dobrego do zaoferowania – tylko wtedy takie prawdziwe stwierdzenie będzie miało szanse trafić do wyborców… Gotowość do odejścia jest miarą dojrzałości".

Cudowna wiara w odmłodzenie przywództwa jakiejś partii pojawiała się w III RP często, natomiast sprawdzała się rzadko. A konkretnie dwa razy. Młodym politykiem, który się udał, przynajmniej w sensie kampanijnym, był prezydent Andrzej Duda, którego energia w 2015 roku wpłynęła na późniejszą wygraną PiS. Pozwoliła mu także na niełatwą reelekcję w 2020 roku. Niemniej to Jarosław Kaczyński, a nie Andrzej Duda pozostał liderem obozu niepodległościowego. Wcześniej, w praprzeszłości, bo w roku 1995, jako młody polityk władzę zdobył niespodziewanie niebieskooki i odchudzony Aleksander Kwaśniewski, dla którego „starymi" byli Jaruzelski i Kiszczak. Faktycznie czynnik wieku odegrał tu kluczową rolę. Polacy, którzy odrzucili komunizm, uwierzyli, że młodszy polityk tego obozu, mimo że był wicepremierem w komunistycznym rządzie, komunistą już nie jest.

I to by było na tyle. Poza tym – porażki. SLD odrodzić mieli Wojciech Olejniczak i Grzegorz Napieralski. Napieralski próbował nawet w kampanii prezydenckiej powtórzyć metody Aleksandra Kwaśniewskiego. Nic z tego nie wyszło i skończyło się powrotem Millera i Czarzastego. PO – Borys Budka, ale Tusk szybko wskazał mu miejsce w szeregu. Próbą odmłodzenia przywództwa obozu niepodległościowego po Smoleńsku było powołanie partii Polska Jest Najważniejsza, kojarzonej na początku głównie z nazwiskami Adama Bielana i Michała Kamińskiego, której groteskowymi przywódcami zostali Joanna Kluzik-Rostkowska i Paweł Kowal. Kolejną próbą było

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

eprasa.pl e1f842f673

powołanie Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry. Z PJN nic nie zostało. Solidarna Polska, przekształcona w Suwerenną Polskę, może liczyć się w polityce tylko dzięki współpracy z partią Kaczyńskiego. Za odmłodzenie prawicy niektórzy uznawali też przywództwo Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka w Konfederacji. Owszem, pokonali oni we własnej partii weterana Janusza Korwin-Mikkego, ale poparcie dla Konfederacji pomiędzy wyborami z 2019 i 2023 roku wzrosło zaledwie o… jedną czwartą procenta.

▶ Kurski dostarcza raport o… Kurskim

Z kolei Kurski dostarczył Kaczyńskiemu tajny raport o przyczynach porażki, który przypadkiem wyciekł. Główną jego cechą jest Kursko-centryczność, a czarnym charakterem, cóż za niespodzianka, następca Kurskiego – Mateusz Matyszkowicz. Szczegółowe spostrzeżenia są trafne lub nie, ale wszystkie podporządkowane są tezie, że gdyby Kurski pozostał prezesem TVP, PiS wygrałby wybory.

Podobnie jest z wagą opisywanych wydarzeń: te, które mają dowodzić geniuszu Kurskiego, są niezwykle doniosłe, nawet gdy… nikt ich nie pamięta. Kurski wymienia wśród kluczowych, negatywnych czynników pytanie zadane Tuskowi przez Michała Rachonia pod siedzibą TVP Info (no bez jaj!), a nawet zbyt… dużą liczbę odcinków serialu „Reset" (bo miało być pięć), niewątpliwie najbardziej udanej politycznej produkcji TVP. Nawet gdyby przyjąć tę logikę, to pierwsze pięć odcinków musiałoby PiS pomóc, a reszta nie zaszkodzić. Gdzie tu logika? Od dawna zresztą wydaje się, jakby Kurski miał obsesję Rachonia wynikającą z tego, że uznaje go za młodszego i zdolniejszego od siebie.

▶ Zamach w Smoleńsku został udowodniony. Zabrakło czegoś innego

Argumenty prof. Andrzeja Nowaka są poważniejsze i w części słuszne. Niewątpliwie ma on rację, gdy pyta: „Kiedy zaczęła działać sejmowa komisja śledcza do zbadania rosyjskich wpływów w Polsce? Na miesiąc przed wyborami w roku 2023 […]. Trudno o bardziej jaskrawy przykład zaniedbania. Gdyby taka komisja zaczęła swe prace choćby w lutym 2022 roku […], o ileż trudniej byłoby […] podważyć jej sens i przedstawione w jej trakcie dowody. O ileż trudniej byłoby wrócić w triumfalnym rydwanie na Wiejską i w Aleje Ujazdowskie Donaldowi Tuskowi i jego pomagierom w dziele »resetu« z Władimirem Putinem…". Zgoda. „Nie wsparto skutecznie żadnych projektów, które pozwoliłyby zbudować silne, niezależne od władzy politycznej, ośrodki medialne". Prawda.

Dalej już nie ma zgody. Profesor Nowak wymienia wśród błędów „brak wyjaśnienia i rozliczenia tego, co stało się 10 kwietnia 2010 roku – to jest niszczących dla interesów i godności państwa polskiego działań rządu Donalda Tuska". Tu profesor nietrafnie definiuje problem. Z całą pewnością z tajemniczych powodów źle działała w tej sprawie prokuratura. Natomiast zamach w Smoleńsku został udowodniony w sposób niepozostawiający wątpliwości przez podkomisję smoleńską, kierowaną przez Antoniego Macierewicza, we współpracy z National Institute For Aviation Research z uniwersytetu stanowego w Wichita w Kansas. Kto tego nie uznaje, kieruje się albo złą wolą, albo zawinioną niewiedzą, albo brakiem odwagi. Problemem w sprawie Smoleńska nie był brak ustalenia prawdy, lecz brak odwagi w jej przekazaniu Polakom i światu. Błędem był brak pełnej identyfikacji prezydenta, rządu, a na scenie krajowej przede wszystkim TVP rządzonej przez Jacka Kurskiego z ustaleniami naukowców.

Słowa Nowaka o „całkowitej bezradności partii opozycyjnej w jej obecnym kształcie wobec metod przejmowania rządów przez koalicję 13 grudnia" – są przesadą. Faktem jest, że ciężar ulicznych protestów wzięły na siebie organizacje społeczne, jak kluby „GP", ale to dobrze. Na tym etapie protestów twarze społeczników są bardziej wiarygodne od twarzy polityków.

Profesor Nowak pisze jeszcze: „Apelowałem publicznie, osiem i pół roku temu, zaraz po wyborze Andrzeja Dudy na prezydenta, by Jarosław Kaczyński wskazał kogoś młodego do podjęcia z nową energią walki o głosy wyborcze jako nowy lider przyszłego rzą-

PRAWDA JEST TAKA, ŻE GDY ZA ILEŚ TAM LAT PIS BĘDZIE WYBIERAĆ NOWEGO LIDERA, TO NOWY PRZYWÓDCA BĘDZIE NAJPIERW MUSIAŁ UDOWODNIĆ, ŻE MA CECHY JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO POZWALAJĄCE PRZETRWAĆ WOBEC NAPORU PATOLOGII III RP.

eprasa.pl e1f842f673

du. Może nie miałem racji?". Owszem, zdecydowanie nie miał pan profesor racji. Nie było w PiS żadnego młodego polityka, który przejmując władzę w 2015 roku, poradziłby sobie z jej sprawowaniem lepiej niż Jarosław Kaczyński. Wiem, o czym mówię, bo mowa o moim pokoleniu.

Oczywiście to przywództwo miało, jak każde, wady. Chyba nikt choć trochę znający kuchnię polityczną PiS nie ma wątpliwości, że nie najlepiej wyglądała w ostatnich latach sprawa dostępu do „ucha prezesa". Jarosław Kaczyński nie zawsze miał pełną wiedzę o tym, co się dzieje. Bywało, że osoby mające nieczyste czy egoistyczne intencje miały ten dostęp lepszy, niż te działające na korzyść obozu niepodległościowego. Oczywiście nie jest możliwe, by było z tym idealnie, ale mogło być zdecydowanie lepiej. Mogło być też lepiej, gdy chodzi o analizę skutków różnych decyzji, czego najlepszym przykładem jest sprawa kosztownych błędów w „Polskim Ładzie".

Kaczyński miał przecież większy elektorat negatywny. No to co?

Alfabet Piłsudskiego

Pisząc ten tekst, zajrzałem do „Alfabetu Piłsudskiego", który opublikowaliśmy niegdyś w „Nowym Państwie", bo spodziewałem się znaleźć tam jakiś przydatny cytat. I zdębiałem, bo okazało się, że pasują… wszystkie. „Gdy w życiu mądra spotka cię przestroga: głową muru nie przebijesz – nie wierz temu", „Dajcie mi spokój z doktrynami, nienawidzę tego słowa", „Najgorszą rzeczą w polityce jest polityka zygzaków. Polska nie może się do tego przystosować, jest to niemożliwe, w swym położeniu geograficznym musi być przewidująca i nie może prowadzić polityki o linii zmiennej". „Przed Polską leży i stoi wielkie pytanie: czy ma być państwem równorzędnym z wielkimi potęgami świata, czy ma być państwem małym, potrzebującym opieki możnych? Na to pytanie Polska jeszcze nie odpowiedziała", „Z tym zdawaniem egzaminu w walce o niepodległość to nie taka prosta sprawa. Ten egzamin zdaje się wielokrotnie, zdaje się go przez całe życie, a co gorsza, na ostatnim egzaminie można się ściąć". Itd., itp.

> Nie było w PiS żadnego młodego polityka, który przejmując władzę w 2015 roku, poradziłby sobie z jej sprawowaniem lepiej niż Jarosław Kaczyński. Wiem, o czym mówię, bo mowa o moim pokoleniu.

Polski nie stać na plastikowego przywódcę

Profesor Nowak wzywa Jarosława Kaczyńskiego do dymisji, Jacek Kurski posłusznie mu raportuje, ale apele obu mają jedną słabość: stawiają w centrum PR. To jest po utracie władzy nawet zrozumiałe, ale niewystarczające, gdy rozmawiamy o przywództwie. III RP nie należy do tych szczęśliwych państw, w których prawica rywalizuje z lewicą i spiera się z nią o kwestie społeczne, gospodarcze czy ideologiczne. U nas obóz polski rywalizuje z antypolskim. Dlatego Polski nie stać na plastikowego przywódcę obozu niepodległościowego. Musi to być lider, który znakomicie rozumie znaczenie tego najważniejszego podziału. Odnajduje się, gdy jest jednocześnie atakowany z lewa, z centrum i z prawa przez siły służące obcym. Lider, który będzie gwarancją, że obóz niepodległościowy dążyć będzie strategicznie do realizacji idei sojuszu państw Międzymorza ze Stanami Zjednoczonymi. I nie powie, że skoro Ukraina wybrała sojusz z Niemcami, to rzecz jest niewykonalna. Musi być w dłuższej perspektywie wykonalna, jeśli chcemy istnieć na mapie. Co gubiło dotąd wszystkich pretendentów do odmłodzenia polskiej polityki poprzez zastąpienie Kaczyńskiego? Wcale nie słaby PR, Podstawowymi zaletami przywódcy obozu niepodległościowego muszą być pod tą szerokością geograficzną charakter, odwaga i rozum. PR może pomóc wygrać kampanię wyborczą. Nie pozwoli wygrać Polski. Jak się okazało, świetnie rozumie to przede wszystkim sam elektorat PiS, na który nigdy nie podziałał argument młodości, świeżości i PR-owej sprawności. No więc prawda jest taka, że gdy za ileś tam lat PiS będzie wybierać nowego lidera, to i tak Jarosław Kaczyński będzie dla niego głównym punktem odniesienia. Nowy przywódca będzie najpierw musiał udowodnić, że ma cechy Kaczyńskiego pozwalające przetrwać wobec naporu patologii III RP. A dopiero potem dodać do tego własne wizerunkowe przewagi. ■

Tekst jest rozwiniętą wersją artykułu, który ukazał się w „Gazecie Polskiej" nr 09/2024.

eprasa.pl e1f842f673



FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

eprasa.pl e1f842f673

Dezerter z Wehrmachtu, malarz od Andersa



Piotr Lisiewicz

Miał lewicowe poglądy i niemieckie obywatelstwo, a jego ojciec był fałszerzem banknotów. Z Wehrmachtu uciekł do armii Andersa, a do komunistycznej Polski nie wrócił. „Komunizm to była taka trochę inna wersja faszyzmu. Też pełne więzienia. Też egzekucje. Też łagry. To było dla mnie coś strasznego" – mówił o powodach tej decyzji. Leon Piesowocki na Zachodzie stał się wybitnym artystą, jego prace znajdują się w Muzeum Wiktorii i Alberta w Londynie, Museum and Art Gallery w Bradford, City and Art Museum w Oldham, Stedelijk Museum w Amsterdamie, Museum Boijmans Van Beuningen w Rotterdamie czy University of Pittsburg. Ostatni malarz z armii Andersa zmarł w ostatnich dniach, 20 lutego 2024 roku w Montélimar we Francji. Miał 99 lat.

eprasa.pl e1f842f673

Mistrz Piesowocki, wybitny malarz – wygnaniec z komunistycznej Polski. Marian Bohusz-Szyszko tak kpił sobie ze swojego ucznia na łamach emigracyjnego „Życia" w 1950 roku: „Jak to często bywa z ludźmi wyjątkowo zdolnymi, wydaje mi się, Leonie (Piesowocki), że jesteś trochę podszyty leniem. Trzy Twoje kompozycje nie tylko są powtórzeniem motywów, które znaliśmy z Twoich dawnych prac, ale ponadto, na przykład w »Pomniku« i w »Kompozycji« (groteska z manekinami) operujesz tymi samymi kontrastami seledynowych zieleni, różnicowanej ultramaryny i czerni. Robisz to, na przykład w »Pomniku«, ze zręcznością prawie godną Twoich wielkich możliwości. Ale nam, którzy liczymy na Twój pędzel, jak na miecz Zawiszy — to nie wystarcza. »Zachód słońca«, który wtargnął do Twoich ulubionych manekinów (muszę się przejść po Oxford Street i stwierdzić, jaka modelka ze sklepu z manekinami tak Ci wizję usidlała), nie rozproszył niewątpliwie brudnych zestawień, które są na tym obrazie. Nie gniewaj się na mnie, Miły. Wolno być trochę złośliwym dla tego, kogo się lubi i na kogo się liczy".

Wszyscy „Niemcy" chcą do Andersa

O tym, jak udało mu się uciec z Wehrmachtu, opowiedział Piesowocki Annie Rawskiej, dziennikarce Radia Koszalin. – Nas wysłali najpierw na okupację Francji, a później na front włoski. Byłem najmłodszy, i to z Polski, więc kazali mi nosić jedzenie, to było w artylerii. Nosiłem je z baterii na punkt obserwacyjny. Musiałem zdobywać ich zaufanie.

Mógł uciec już pierwszego dnia, ale to oznaczałoby dla jego matki i siostry wywózkę do Auschwitz, więc musiał ucieczkę zaplanować tak, by nikt nie wiedział, co się z nim stało w wojennym zamieszaniu. – Pojawiła się okazja, którą postanowiłem wykorzystać. To było w górach, w Apeninach. Były tam szyszki, takie małe, dla krów i innych zwierząt. Tam było takie skrzyżowanie, w pięciu różnych kierunkach. To mogłoby być powodem, że się zgubiłem. Byłem tam na punkcie obserwacyjnym, kiedy przyszedł rozkaz odwrotu. Powiedzieli, że będę nosił kabel telefoniczny, on był cholernie ciężki.

Odwrót i zamieszanie spowodowały, że ucieczka była możliwa. – Skomunikowałem się z Włochem, który był skłonny mnie ukryć. Schowałem się za jego domem, jak moja jednostka przechodziła i kabel zwijała. Jakieś pół godziny później słyszę, że wołają: „Leon, Leon!". Włoch dał mi cywilną marynarkę, cywilne spodnie i sam wyglądałem jak Włoch – opowiadał w rozmowie z Radiem Koszalin. Gdy ukrywał się, trafił na patrol Kanadyjczyków. – Był jeden z Kanadyjczyków, co miał rodziców Włochów. Jemu wytłumaczyłem, że nie jestem Niemcem, tylko Polakiem. Poklepali mnie po ramieniu, dali czekolady i papierosy. Wróciliśmy do ich stanowisk.

Początki nie były łatwe. Pewien sierżant uznając, że jest Niemcem, kopnął go w tyłek. W końcu trafił do pilnowanej przez strażników piwnicy. – Tam było pięciu chłopaków w mundurach Wehrmachtu mówiących po polsku, ze Śląska i Pomorza. Oni wiedzieli, gdzie jest polska armia. Wszyscy na ochotnika chcieli wstąpić do armii polskiej. Ja oczywiście też. To była niesamowita okazja, żeby być po prawidłowej stronie w tej wojnie. Nie tylko po alianckiej stronie, ale w Wojsku Polskim!

Jak sprytny Mazur banknoty drukował

Leon Piesowocki urodził się 9 grudnia w 1925 roku w Poznaniu. Był drugim dzieckiem Juliusza Piesowockiego i Łucji z domu Kurowskiej. Z siostrą Wandą i bratem Kazimierzem wychowywali się na poznańskich Jeżycach.

Jak to się stało, że trafił do Wehrmachtu? Jego matka była Polką, poznanianką, a ojciec, również narodowości polskiej, był Mazurem urodzonym w Prusach Wschodnich, a więc obywatelem niemieckim. O wielce skomplikowanej historii życiowej. Podobnie jak syn ponad 20 lat później, zdezerterował z niemieckiej armii. – Pod koniec I wojny światowej on też nawiał z armii Kaisera i wylądował w Poznaniu. Był drukarzem z zawodu, pracował w księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. On i dwóch innych takich pseudo-cwaniaków próbowali drukować banknoty. Ale nikt się z nich nie wzbogacił, wszyscy skończyli w więzieniu. W 30. latach pewnie go wywalili z Polski i siedział w Berlinie.

Relacje matki o ojcu-przestępcy nie były łatwe, niemniej w 1935 roku rodzice postanowili spróbować od nowa. Leon wraz z matką trafił do Berlina. W Radiu Koszalin wspominał: – Nie miałem nic do gadania, miałem 9 lat. Oczywiście Berlin był dla mnie fascynujący, autobusy piętrowe, kolejki podziemne – tego w Poznaniu nie było. Trzeba było chodzić do szkoły niemieckiej, ale matka nalegała, że to musi być szkoła katolicka. Była taka na drugim końcu Berlina. Mieszkaliśmy tylko rok w Berlinie, bo ojciec miał tam jakąś kochankę i matka tego nie mogła tolerować. Wróciliśmy do Poznania.

Rysownik, czyli wywiadowca

Gdy 1 września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę, oboje z matką mieli także obywatelstwo niemieckie. Do Wehrmachtu został wcielony w 1943 roku, gdy miał 18 lat. – Uciekłem pod koniec września 1944 roku, a w grudniu dostaliśmy obywatelstwo, książki żołnier-

eprasa.pl e1f842f673

skie. Po koniec stycznia nas wysłali na front. Trafiłem do 3. batalionu Strzelców Karpackich – wspominał w rozmowie w Rawską.

Trafił do polskiego obozu przejściowego w bazie II Korpusu w Motolla koło włoskiego miasta Taranto. Tam poznał realia wojny w Italii: – Kucharz zauważył, że nie palę. Powiedział: „Leon, daj mi papierosy, a ja dam ci puszki bekonu, a za bekon będziesz mógł tam najładniejszą dziewczynkę dostać". Były wszędzie afisze, że nie wolno chodzić po mieście alianckim żołnierzom. Ale Polacy, cwaniaki, mówili, że nie rozumieją po angielsku. Włosi zapraszali ich na wino, były burdele, ale też prywatne inicjatywy. No i pozbyłem się tych puszek.

Przydzielony został do II Oddziału Kontrwywiadu w Trzeciej Brygadzie Strzelców Karpackich. O tym przydziale zdecydowała procedura, o której opowiadał w Radiu Koszalin następująco: – Sierżant woła: Kto jest szewcem? Był szewc. Kto jest księgowym? Był księgowy. Kto jest kucharzem? Dziesięciu się melduje. Bo kucharz i pomocnik kucharza mają więcej przywilejów niż komendant. Polacy zawsze cwaniacy, zamawiali więcej jedzenia, niż trzeba było, i sprzedawali je na czarnym rynku. Kto jest rysownikiem? Zgłosiłem się, że ja. Ale nie wiedziałem, co też rysownik robi w piechocie. Przyłączyli mnie do takiej małej jednostki wywiadowczej. Jako rysownik na mapie miałem zaznaczać pozycje artylerii czy też jakieś bazy. Znałem niemiecki, więc byłem też tłumaczem przy przesłuchiwaniu Niemców.

Kapitulację Niemców wspominał następująco: – O 11 podali nam wiadomość, że Niemcy skapitulowali. To był najpiękniejszy dzień w moim życiu. Włosi zapraszali na wino, wszyscy jechali do Bolonii.

Ledwo żywi wygnańcy i skarby Rzymu

Młodzi artyści od Andersa uzyskali możliwość studiowania na włoskich uniwersytetach. Piesowocki uczył się rysunku i malarstwa w rzymskiej Accademia delle Belle Arti. – Nas wysłali do Rzymu i tam mieliśmy studiować. Nie wiem do końca, komu to zawdzięczaliśmy, może sam generał Anders to zainicjował. Przyjęli mnie oczywiście. Na początku rysowaliśmy greckie rzeźby, portrety, zwierzęta. Stary profesor był przeciwnikiem sztuki nowoczesnej. Jak ktoś wspomniał Picassa, robił się czerwony i krzyczał – mówił o tym w Radiu Koszalin.

Marian Bohusz-Szyszko o tych początkach polskiego malarstwa na wygnaniu pisał w „Życiu" następująco: „Lwia część spośród nich wszystkich, znalazła się w 2 Korpusie we Włoszech pod opieką wojska i polskich profesorów. We Włoszech staje się ich udziałem przywilej, jakby nagroda za lata poniewierki, którego pozazdrościłyby im wszystkie pokolenia młodych polskich malarzy. Stają w obliczu skarbów sztuki włoskiej".

Malowanie na walizkach

Poszukiwanie rodzin, które często znalazły się po drugiej stronie żelaznej kurtyny, to były działania bardzo dramatyczne. – Próbowałem ustalić, czy matka i ojciec żyją. Napisałem list i okazało się że matka żyje w Poznaniu i ma obywatelstwo polskie. A ojciec żyje w Berlinie – wspominał. Okazało się, że ma powody do dumy z ojca. – Został odznaczony przez Senat Berliński i Kanclerza Brandta za pomaganie ludziom prześladowanym w czasie terroru niemieckiego. Ukrywał ludzi poszukiwanych przez gestapo.

Ale wkrótce żołnierzy, również tych będących artystami, czekała przeprowadzka do Anglii. Piesowocki wspominał: – Po roku czy dwóch wszystkie armie alianckie musiały wracać do domu. Amerykanie, Anglicy, Nowozelandczycy no i Polacy. Ale Polacy nie chcieli jechać do Polski komunistycznej. Większa część żołnierzy wyszła z łagrów w Rosji. Komunizm to była taka trochę inna wersja faszyzmu. Też więzienia, pełne. Też egzekucje. Też łagry. To było dla mnie coś strasznego. Pojechaliśmy do Anglii. Jeszcze w mundurach, w 1947 roku.

Bohusz-Szyszko pisał o tym samym: „Zbliża się ewakuacja do Anglii. Niepewność jutra, tęsknota i poczucie krzywdy politycznej. Profesorowie i studenci nie ustają jednak w wysiłkach. Tym energiczniej, z tym większą pasją pracują. Anglia. Jakże inne warunki. Zwiększenie goryczy. Widmo demobilizacji. Zajęcie pomywacza, górnika, parobka na farmie lub robotnika ostatniej kategorii w fabryce. Ale Anglia to również wspaniałe galerie sztuki współczesnej, to wspaniałe muzea! Więc, do pracy! Nie marnujmy czasu! Nie wytrąca tych ludzi z koleiny zaciekłej pracy ani chłód w barakach, ani ciasnota pomieszczeń, ani szykany biurokratyczno-formalistyczne, ani liczne przeprowadzki z baraku do baraku i z obozu do obozu. Malują dosłownie na walizkach, słuchają wykładów w czasie przeprowadzek, przejazdów, a nawet przy posiłkach".

Rząd emigracyjny bije się o polskich malarzy

Piesowocki zapamiętał to tak: – Wyjechaliśmy z Neapolu do Glasgow. Była grupa studentów, która chciała dalej studiować, ale w Anglii. Studiowaliśmy, ale każdy musiał sobie znaleźć pracę. Byle tylko zarobić. Pracowałem w jakiejś piekarni, potem w biurze planowania miasta. Była to praca trochę artystyczna. Malowałem mapy nowych domów.

W Anglii kontynuował naukę w polskim Studium Malarstwa Sztalugowego i Grafiki Użytkowej w Wal-

eprasa.pl e1f842f673

dingfield koło Sudbury, w którym zajęcia prowadzili cytowany Marian Bohusz-Szyszko i Wojciech Jastrzębowski. Dzięki stypendium Komitetu do Spraw Oświaty Polaków mógł podjąć naukę w Sir John Cass College of Art w Londynie.

Nietypowa to była szkoła, za której sukcesem stali przywódcy emigracyjnej Polski, świadomi znaczenia polskiej kultury. „Wręczenie pierwszych 19 dyplomów ukończenia Polskiego Studium i zamknięcie szkoły, działającej w obozie PKPR nastąpiło 21 lipca 1948 r. Uroczystość, w obecności premiera gen. T. Bór-Komorowskiego, gen. W. Andersa, gen. Stanisława Kopańskiego, prof. Władysława Folkierskiego i amb. E. Raczyńskiego, uświetniła wystawa prac dyplomantów. Ze sprawozdania: »Dziwne są zaiste koleje losu tych młodych artystów…«" – pisało londyńskie „Życie".

Abstrakcjoniści z „Orła Białego"

„Wczesny okres twórczości Piesowockiego zdominował rysunek. Prace z lat 40. nie nosiły piętna osobistych doświadczeń; wspomnienia okresu wojny ograniczyły się do dokumentalnych szkiców, na których ołówkiem (Stare Miasto w Poznaniu, 1942, il. 1) lub piórkiem (Most Umberto w Rzymie, 1946, il. 3) rejestrował piękno wedut czy pejzaży. Człowiek pojawiał się na nich najczęściej w formie sztafażu. Po osiedleniu się w Wielkiej Brytanii język plastyczny stał się bardziej oszczędny, a kreska prowadzona była swobodnie. Powstały wtedy liczne, szybko kreślone widoki ulic Londynu" – pisze o pracach artysty z tego czasu recenzent z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

W 1949 roku powstała polska grupa artystyczna w Anglii. Piesowocki wspólnie m.in. z Aleksandrem Wernerem, Tadeuszem Beutlichem, Ryszardem Demelem, Januszem Eichlerem i Kazimierzem Dźwigiem, był współzałożycielem awangardowej Grupy 49, zrzeszającej polskich artystów plastyków w Wielkiej Brytanii. Jej członkowie zamieszczali swoje rysunki na łamach wygnańczego pisma „Orzeł Biały", a także pokazywali swoje prace malarskie, graficzne i rzeźbiarskie najpierw w Kingley Gallery, a następnie w Grabowski Gallery, prowadzonej przez farmaceutę i filantropa Mateusza Grabowskiego. W 1949 i 1950 roku Piesowocki wystawiał swoje prace w Young Contemporaries w Londynie.

Bohusz-Szyszko tak pisał o Grupie 49: „Jesteście mi zbyt bliscy, żebym mógł pisać recenzję o waszych pracach nie zabarwioną subiektywizmem. Podobnie lekarzowi trudno postawić diagnozę dla członków własnej najbliższej rodziny… Na terenie naszej emigracyjnej plastyki jesteście jedynym zespołem twórczym, który posiada zdecydowany charakter, zrozumienie istotnych zadań malarskich i odpowiedzialność za środki zewnętrzne własnej wypowiedzi. Ostatnie zdanie wygląda na komplement. Istotnie, ja, który widziałem pierwociny waszych wysiłków twórczych przed pięciu laty, sądzę, że na ten komplement zasłużyliście solennie". Dalej tak charakteryzował swoich uczniów: „Ogólną zaletą wszystkich spośród was jest intuicyjne (i równocześnie świadome) wyczuwanie istotnych tendencji, które przenikają dziś sztukę Zachodu, tendencji polegających na dumnej wierze, że człowiek jest w stanie budować własną rzeczywistość wizualną w oparciu nie o naśladownictwo, lecz o podziw doskonałości natury". Recenzentka „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" pisała: „W pejzażach Piesowockiego fantazja łączy się z solidnością konstrukcji i dobrym kolorem".

Stefania Zahorska, jedna z najwybitniejszych przedwojennych, a potem wygnańczych krytyków malarstwa, pisała: „Grupa 49 przeniosła się niemal cała w dziedzinę abstrakcji. Pamiętam jej wystawę kilka lat temu: wiele kompozycji figuralnych, pejzaży, martwych natur – rzeczy, a był to już okres pełnego rozbujania abstrakcji. Dziś czas abstrakcji zdaje się mijać i oto z czternastu wystawiających artystów Grupy może tylko trzech (zresztą bardzo dobrych: Leon Piesowocki, Antoni Dobrowolski, Kazimierz Dźwig) wykazuje ślady obrazowania przedmiotów. Widocznie działa tu mus wewnętrzny, potrzeba wyeksploatowania nowych możliwości. Bo abstrakcja abstrakcji nierówna. Abstrakcja w ujęciu Grupy jest pełna sensu i właściwie tłumaczy abstrakcję – w ogóle… Jeśli nie wszyscy abstrakcjoniści polscy, a nawet jeśli nie wszyscy członkowie Grupy 49 wniknęli w tajemne źródła abstrakcyjnej twórczości, to i tak zdumiewające jest, że polskie malarstwo abstrakcyjne emigracji wnika głębiej od innych w jedyny sens, który się w abstrakcji kryje, i umie go wyrazić".

Sztuka demokratyczna

By zdobyć środki do życia, Piesowocki w 1952 roku prowadził wraz z Zygmuntem Kowalewskim firmę projektującą i wykonującą witryny. Przez ponad 10 lat tworzyli, najczęściej dla biur turystycznych, oryginalne dekoracje, często z użyciem papieroplastyki. – Poznałem Zygmunta Kowalewskiego, on przeszedł przez Rosję, przez łagry. Też grafik, miał już firmę zajmującą się dekoracjami sklepów. On zajmował się stroną biznesową, czego ja nie potrafiłem, a on z kolei nie potrafił robić tego, co ja – wspominał Piesowocki w Radiu Koszalin. Także w 1952 roku ożenił się z Tillą Benderm, dwa lata później urodziła się ich córka Krystyna. W 1960 roku przeprowadził się z Londynu do Steyning. Tam urządził pracownię i, śladami ojca, warsztat drukarski.

eprasa.pl e1f842f673

Po 10 latach zakończył współpracę z Kowalewskim, bo postanowił skupić się już tylko na malarstwie. Rozpoczął się czas sukcesów artystycznych. Do 1969 roku wystawiał swoje prace trzykrotnie w A.L.A Prints Show. W 1968 roku zdobył nagrodę na British International Print Biennale, gdzie wystawiał również w latach: 1970, 1972 i 1974. W 1970 roku Piesowocki pokazał swoje dzieła na wystawie Five London Printmakers w Stedelijk Museum w Holandii; w 1971 i w 1973 roku na Premio Internationale per L'Incisione w Biella we Włoszech; w 1972 i 1974 roku na Norwegian International Print Biennale w Fredrikstad; w 1974 roku na International Graphic Biennale we Frechen w Niemczech Zachodnich. W 1969 roku jego prace pokazane zostały w USA i Japonii na British Contemporary Graphics w Tokio oraz na PMC Show w Portland Museum w stanie Oregon.

O swojej twórczości z późniejszego czasu tak mówił w Radiu Koszalin: – W 1979 roku zacząłem robić te symetryczne sitodruki… Inspirowałem się sztuką japońską i tym się galerie interesowały… Była to tzw. sztuka demokratyczna. Była ona popularna. Demokratyczna oznaczało, że jest tania. Bo druki są tańsze niż oryginalne rzeczy.

W latach 1976–1981 przeprowadził się do Pont Barret k. Montelimar w Prowansji. W latach 1981–1984 mieszkał we Frankfurcie pracując dla Figuren Theater. Projektował scenografie teatralne, plakaty oraz ilustrował książki dla dzieci. Po powrocie z Niemiec do Francji, od 1984 roku zamieszkał na stałe w Manas koło Montelimar. Wystawiał na Salon des Independants w Paryżu. W 1995 roku zdobył 31. Grand Prix International de la Peinture de la Cote d'Azur.

▶ Eksperymenty 90-latka

Jan Wiktor Sienkiewicz na stronie gov.pl tak recenzuje styl artysty: „Dwa okresy edukacyjne: rzymski i londyński, zadecydowały o karierze artystycznej i dorobku twórczym Piesowockiego, który dla polskiej historii sztuki nadal pozostaje »cały do odkrycia«". Jego zdaniem malarstwo Piesowockiego „nosi znamiona silnej artystycznej osobowości malarza. Od akademickiego warsztatu, charakteryzującego się realizmem przedstawień – tak w zakresie pejzażu jak i portretu, malarz w latach 60. XX wieku eksperymentował z kompozycjami abstrakcyjnymi, pełnymi ciekawych i mocnych w wyrazie zestawień kolorystycznych – od czerwieni i brązów, do coraz jaśniejszej i w uspokojonej tonacji – dochodząc ostatecznie do fascynacji zielenią i błękitem".

Duży wpływ na niego wywarła także Francja: „Francuskie doświadczenia z kolorytem i przyrodą Prowansji, wyzwoliły u polskiego malarza nowe zainteresowania – w których widoczna jest szczególnie fascynacja ludzką figurą, a szczególnie aktem kobiecym. Pod względem stylistycznym, dzieła Piesowockiego, powstające od lat 70. XX w., charakteryzują się ściszonymi tonacjami błękitów i zieleni, żywiołem zaś dominującym w kompozycjach staje się woda i jej »udział« w deformacji ludzkiej postaci (kąpiące się, plaże, baseny). Noszą one w sobie znamiona fascynacji malarstwem postimpresjonistycznym i doświadczeniami z zakresu sztuki abstrakcyjnej o rodowodzie geometrycznym".

Ale Piesowocki potrafił odnajdywać nowe formy działania także mając lat 80 czy 90. Jan Wiktor Sienkiewicz pisze: „Oddzielnym nurtem w malarstwie L. Piesowockiego są szczególnie chętnie realizowane przez artystę w drugiej dekadzie XXI w. kompozycje abstrakcyjne. Ich główną inspiracją są fotografie przyrody wykonywane przez malarza zwykłym analogowym aparatem fotograficznym. Przetwarzane, m.in. poprzez lustrzane odbicie, a następnie przeskalowywane i przenoszone na płótno malarskie stają się głównym źródłem symetrycznych kompozycji, o silnym ładunku emocjonalnym i ostrej kolorystycznej palecie".

▶ Czas jest dla mnie już drogocenny. Jedzenie tylko z mikrofali

Anna Rawska nagrała wywiad z artystą, gdy miał już 94 lata i nadal pozostawał twórczo i życiowo aktywny. Jak wspominała, gdy miał 94 lata, nadal prowadził samochód, a nawet zapłacił mandat za przekroczenie prędkości. Miał poczucie, że czasu na twórczość zostało mu już niewiele. – Czas jest tak drogocenny dla mnie, że odrzucam wszystko, co jest mniej ważne. Jem tylko rzeczy, które są prawie gotowe, wystarczy włożyć do mikrofali. No i zmywanie pięć minut, żeby nie tracić czasu – mówił na antenie Radia Koszalin.

W 2018 roku wziął udział w wystawie we francuskim Ales, w ramach obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę. Ales to miasto, gdzie 100 lat temu trafili za chlebem polscy górnicy. To ich potomkowie organizowali tę wystawę… W 2022 roku Muzeum Okręgowe w Bydgoszczy przygotowało dużą wystawę prac Leona Piesowockiego, który mając 97 lat osobiście uczestniczył w wernisażu. Temu muzeum przekazał część swojego dorobku. Ostatni artysta plastyk 2. Korpusu generała Władysława Andersa zmarł 20 lutego 2024 roku.

Za Poznaniem tęsknił, ale jak większość wygnańców miał poczucie obcości wobec nieznanego krajobrazu III RP. – Nikogo już w Polsce nie mam. W Poznaniu te cmentarze takie olbrzymie i tylko te kamienie, żadnych drzew, to smutne jest raczej – mówił w pożegnalnej rozmowie z Anną Rawską. ■

eprasa.pl e1f842f673



Mała robotnica porusza się na czworakach, przeciągając wózek z węglem przez ciasne tunele. Jej dzienne wynagrodzenie to dziesięć pensów. Sześcioletnia Margaret wynosi dzień w dzień 25 kilogramów węgla, wydostając się ze swym ładunkiem na powierzchnię aż dwanaście razy. Twarz dziewięcioletniego Filipa jest wręcz nieludzka. Podczas pożaru w kopalni uniknął śmierci wyniesiony przez jednego z mężczyzn, ale ogień oszpecił go na zawsze – XIX-wieczne raporty komisji królewskiej mówiły wiele o sytuacji nieletnich pracujących ponad siły w brytyjskich kopalniach.

Agnieszka Kowalczyk

Mali niewolnicy rewolucji przemysłowej



FOT. WIKIPEDIA

Kilkulatki spuszczające się w głąb kopalnianych szybów, pchające wózki z węglem, przeciskające się przez wąskie labirynty mrocznych przejść, tkwiące godzinami w ciemnościach, uginające się pod ciężarem wynoszonych brył węglowych to bohaterowie książki „Dzieci rewolucji przemysłowej" (2019) autorstwa Katarzyny Nowak.

„Błociarze", gręplarze, kapelusznicy

Laureatka konkursu „Książka historyczna nie musi być nudna" ukazuje na przykładzie Wielkiej Brytanii XVIII wieku oraz „epoki pary i elektryczności" mniej znane, drapieżne oblicze postępującej industrializacji, w której tryby wprzęgnięto setki tysięcy małych Brytyjczyków. Byli wśród nich wiecznie czarni czyściciele kominów, przywykli do ciemności, oparów siarki i ropiejących ran, nieustannie narażeni na upadek, kalectwo i śmierć… Byli nieletni pracownicy fabryk i przędzalni bawełny, którzy przez kilkanaście godzin dziennie jak automaty wykonywali mechaniczne czynności pod batem bezdusznego zarządcy. Duża część tej dzieciarni to również garncarze, „błociarze", gręplarze, kapelusznicy, łapacze szczurów, niańki i „służące do wszystkiego", to także powoźnicy, pucybuci, sprzedawcy zapałek, szewscy pomocnicy, wyrabiacze szczotek, zamiatacze, posługacze okrętowi…

„XVIII wiek przyniósł wielkie zmiany w życiu najmłodszych i najbiedniejszych" – stwierdza Katarzyna Nowak, podkreślając, że „ich praca zarobkowa stała się normą dopiero wraz z gwałtownym rozwojem przemysłu, który potrzebował taniej siły roboczej, i wraz z ubożeniem rodzin, które nie były w stanie utrzymać się z pensji rodziców. Z perspektywy przemysłowców dzieci, a w szczególności sieroty, były doskonałym materiałem na robotników. Płaciło się im niewiele lub po prostu nic. Miały małe sprawne dłonie, mieściły się w tunelach i pod maszynami, były szybkie i jeszcze zdrowe. Siłą autorytetu i przemocą można je było zmusić do posłuszeństwa […]. Poza tym nigdy ich nie brakowało i zniszczone wykańczającą pracą dzieciaki łatwo zastępowano nowymi".

Czerpiąc z zachowanych wspomnień „dzieci rewolucji przemysłowej", autorka książki odkrywa losy najmłodszych wciągniętych w ten bezwzględny system rozwoju produkcji. Wydobywa jednocześnie historie tych, którym udało się wyrwać ze stanu zniewolenia i rozpocząć nowe życie, a nawet odnieść sukces na miarę własnych możliwości. Praca ponad siły, nędza, głód i brak perspektyw życiowych tej części społeczeństwa wywołały sprzeciw ówczesnych pisarzy, dziennikarzy, polityków i duchownych, którzy rozpoczęli długą i trudną batalię o zmianę prawodawstwa wobec wykorzystywanych, burząc stopniowo wśród co wrażliwszych mur

prasa.pl ef842f673

obojętności i cichego przyzwolenia na krzywdę małego człowieka.

W ciemnościach kopalni świecą dziecięce oczy

W 1842 roku czternastoletnia Mary Barrett pracowała w kopalni już od pięciu lat. Miała dwanaścioro braci i sióstr. Swój dzień pod ziemią zaczynała o szóstej rano. Kopalni nie lubiła, ale wiedziała, że musi zarabiać, by wesprzeć rodzinę. Do górniczych robót nie zakładała ani pończoch, ani butów. Półnaga szła na wyrobisko razem z mężczyznami. Na początku się bała, ale musiała się przełamać, bo tego od niej wymagano.

W ciemnościach kopalni drżała ze strachu ośmioletnia Sarah – traperka, która, by dodać sobie odwagi, śpiewała, ale tylko przy świeczce, nigdy w zupełnym mroku.

W tych samych szybach pod ciężarem kilkudziesięciokilogramowego ładunku uginała się dwunastoletnia Isabella Read. Nosiła go na plecach, a właściwie czołgała się w wodzie sięgającej łydek, przygięta do ziemi, z lepiącymi się do twarzy włosami, czarna, wychudła. „Na początku często zasypiałam z gorąca i zmęczenia, kiedy czekałam w dole na węgiel – mówiła. – Nie lubię tej pracy. Kiedy na dworze jest ciepło, ciężko mi się oddycha. Światła w kopalni często gasną".

O swych codziennych udrękach dzieci opowiadały inspektorowi, który słuchał i zapisywał ich relacje po tym, jak królowa Wiktoria nakazała wszcząć śledztwo w sprawie wielkiej tragedii, do jakiej doszło 4 lipca 1838 roku w zalanej kopalni Huskar Pit. Tego feralnego dnia zginęło pod ziemią 26 dzieci. I tyle było „sinoniebieskich ciał na ziemi. Równo ułożone. Po prawej dziewczynki, po lewej chłopcy. Nad nimi rodzice, matki zapłakane, ojcowie bladzi. Jak mają je rozpoznać, skoro nigdy nie widzieli ich twarzy tak czystych".

Autorka książki sięga po dziewiętnastowieczne raporty komisji królewskiej, które mówiły wiele o sytuacji nieletnich z brytyjskich kopalni. „Łysa Patience już pcha swój wózek. Dziewczynka boi się bicia, a daje radę szybko przesuwać wagonik z węglem, tylko jeśli wciśnie w niego obie ręce i czubek głowy. Włosy wytarły się tam zupełnie i została tylko goła skóra. Inspektor, który wizytował kopalnię, opisał ją jako »brudną, obszarpaną i godną pożałowania«".

Inna mała robotnica porusza się na czworakach, przeciągając wózek z węglem przez ciasne tunele. Jej dzienne wynagrodzenie to dziesięć pensów. Z kolei sześcioletnia Margaret wynosi dzień w dzień 25 kilogramów węgla, wydostając się ze swym ładunkiem na powierzchnię aż dwanaście razy.

Twarz dziewięcioletniego Filipa jest wręcz nieludzka. Podczas pożaru w kopalni uniknął śmierci wyniesiony przez jednego z mężczyzn, ale ogień oszpecił go na zawsze.

„Isabel, matka dziesięciorga dzieci, wszystkie zabierała ze sobą pod ziemię. Nie tylko dla pieniędzy – przecież nie zostawi ich samych. Troje zginęło. Szybko zachodziła w kolejne ciąże, ale wózki są ciężkie, niewyobrażalnie ciężkie. Tak mocno pchała, że wypchnęła maleńki płód na ziemię między szynami. I tak pięć razy".

Zaginiony w szybie

Katarzyna Nowak przywołuje także historię Williama Withersa – kilkuletniego dziecka kopalni, o którym pisał John R. Leifchild w książce o walijskich kopalniach „Our Coal and our Coalpits" (1856), przenosząc czytelników na wybrzeże Walii połowy XIX wieku, naszpikowane setkami wejść prowadzących do szybów kopalnianych. Mały William wraz z ojcem spuszczał się w ich wnętrza każdego dnia. Oto „chłopiec nachyla się nad dziurą w ziemi, łapie sznur i siada na drewnianej belce naprzeciwko półnagiej dziewczyny". Zdąży jeszcze chwycić lampę i odepchnąć się stopami. Koło kręci się, a on obniża się coraz bardziej.

Kopalniane szyby ciągną się nawet dwa kilometry w głąb, tunele układają się w zawiły labirynt, w którym po częstokroć pracę wykonuje się na leżąco lub w kucki, z narażeniem na działanie trujących gazów bądź na wybuch metanu, który uwolniony przypadkowym uderzeniem kilofa jest w stanie rozsadzić wszystko w promieniu kilkunastu metrów. Tymczasem William rozstaje się z ojcem przy drzwiczkach, którymi jako traper przez wiele godzin będzie wpuszczał i wypuszczał wózki z węglem.

Tego feralnego dnia mały Withers zapomniał lampy i nie mogąc znieść ciemności, zdecydował się po nią zawrócić. Miało mu to zająć tylko chwilę… Przemierzając po omacku kłębowisko czarnych tuneli, szybko jednak zgubił drogę. „Jeśli zaraz nie wróci, to zorientują się, że opuścił swoje stanowisko. Zaczyna biec, przesuwając palcami jednej ręki po ścianie […], ale ciemność jest tak gęsta, jakby trzymał głowę w beczce ze smołą. Zderza się ze ścianą i upada, jego czoło zalewa coś ciepłego i lepkiego".

Uwięziony w podziemnym labiryncie mimo strachu i osłabienia usiłował przedostać się do głównego szybu. Na szczęście miał przy sobie wodę w manierce i trochę jedzenia. Słyszał nawet ludzkie głosy. Chwilami myślał, że to ojciec, że nadchodzi pomoc… Krzyczał wtedy i walił pięściami w ściany. Gdy wydało mu się, że dobiega doń głos małej Sarah, która przyśpiewuje podczas pracy, biegł za nim, raniąc się i padając co kawałek. Był jeszcze w stanie wyczuć trujący gaz i wycofać się w ostatniej chwili. Wreszcie wyczerpany wędrówką, usnął wśród pisku szczurów. W kolejnych dniach męki i głodu posuwał się na czworakach przez opustoszałe tunele, brnął wąskimi gardzielami przesmyków, wspinał się po napotkanych

eprasa.pl e1f842f673

drabinkach, głodny, spragniony, przestraszony jakimś nagłym trzaśnięciem zapowiadającym zarwanie stropu. Dopiero po kilku dniach „blask, który nagle wypełnia tunel, dociera do niego przez zamknięte powieki. Jakieś światło. Nie ma siły wstać ani krzyczeć. Światło jest coraz jaśniejsze. Wyciąga rękę. […] Górnicy zatrzymują się nad Williamem. Jeden z nich podnosi go i przystawia mu manierkę do spierzchniętych ust. Chłopiec jest lekki jako piórko. Leci przez ręce […]. Jakoś doczołgał się prawie do głównego szybu. Twarda sztuka. Wynoszą go z ciasnego tunelu. Stary Withers ucieszy się, że mały jednak się znalazł". Cudem uniknął śmierci, która niejednokrotnie wśród takich jak on zbierała swoje żniwo. Sytuacja zmieniła się dopiero, gdy 4 sierpnia 1842 roku brytyjski parlament przyjął akt zakazujący pracy w kopalniach kobietom i dzieciom poniżej 10. roku życia.

▶ Robert Blincoe. Z „raju" do piekła

Robert Blincoe nie znał swojego ojca ani matki, nie znał nawet swojego imienia. W 1796 roku, gdy miał cztery lata, został umieszczony w londyńskim przytułku parafii św. Pankracego. Był dzieckiem niczyim, a przez to skazanym na społeczną pogardę i odrzucenie. W sierocińcu „zaczął się jego trening. Rygor, rutyna, praca. Ma się tu przyzwyczaić do posłuszeństwa i ciężkiej roboty. Jeszcze kiedyś odda dług ojczyźnie za to, że go wykarmiła i odziała" – tak uważali jego nadzorcy. Mały Robert natomiast myślał tylko o tym, by stamtąd uciec i zaznać innego życia. Okazja nadarzyła się w 1799 roku podczas wybierania dzieci do pracy w fabryce bawełny. Jej właściciel William Lambert, zawarłszy porozumienie z władzami sierocińca, przyjechał po małych podopiecznych, którzy mieli odbywać u niego praktykę aż do ukończenia 21. roku życia. Chłopcy wprawialiby się w zawodzie tkacza pończoch, a dziewczęta – w wyrabianiu koronek. Podekscytowany Robert za wszelką cenę pragnął się znaleźć w grupie 80 wybrańców, tym bardziej gdy rozpuszczono plotki, że przyjęte dziewczęta zostaną w fabryce damami, a chłopcy – dżentelmenami, „na obiad jeść będą pieczeń wołową i śliwkową leguminę, […] jeździć konno, nosić srebrne zegarki i mieć kieszenie pełne pieniędzy".

To wszakże, jak straszny los zgotował dzieciom król przemysłowego imperium koło Nottingham, wydało się tuż po przyjeździe, w jadalni: „W sali, wypełnionej drewnianymi ławami, śmierdzi, aż dusi w nosie, jakby ktoś dopiero co oleił tu maszyny […]. Owsianka jest niebieskawa, chleb tak miękki, że w ustach zamienia się w lepką papkę. Dziewczynka obok zaczyna robić miny. Któreś z dzieci rzuca w ścianę kawałkiem chleba, który przykleja się jak świeży gips. W tym momencie nadzorca strzela biczem w powietrzu. […] Dzieci milkną, wlepiają oczy w stół. Do jadalni wpada grupa robotników – wyrostków, młodych dziewczyn i kilkuletnich maluchów. Śmierdzi od nich potem, mają brudne twarze, koszule wymazane smarem, włosów chyba nigdy nie czesali […], nikt nie ma pończoch ani butów. Przy nich dzieci ze Świętego Pankracego rzeczywiście wyglądają jak damy i dżentelmeni". Zaskoczeni patrzą, jak tamci rzucają się na jedzenie i pochłaniają je w mig, nie gardząc najmniejszą choćby okruszyną ze stolika nowicjuszy.

To jednak, co Robert ujrzy na hali fabrycznej, przejdzie jego najśmielsze wyobrażenia. Pierwsze zadanie, które otrzymuje, polega na czołganiu się pod krosnami i zbieraniu z podłogi strzępków bawełny. „Maszyny wirują, wznoszą się, opadają tysiącem kółek i wajch. Robert sunie po podłodze. Stara się zasłonić usta dłonią, bo bawełna tak kurzy, że ciężko oddychać. Jeśli dostanie ataku kaszlu pod krosnem, to koniec. Oczy pieką, w ustach sucho. […] Po dwunastu godzinach czuje, że już nie wytrzyma…". Przeżyje jednak jeszcze trzy kolejne, choć obolałe ciało zdecydowanie protestuje. Wkrótce potem zostaje wyznaczony do nowego zajęcia – będzie zdejmował z maszyn puste szpulki i nakładał nowe. Musi działać błyskawicznie, bo jakakolwiek opieszałość kończy się waleniem pięścią po głowie. Dozorca bije bez litości i przeklina, zmuszając do wyrobienia dziennej normy.

▶ Trzymać się życia uparcie

Robert, nie mogąc znieść przemocy i pracy ponad siły, decyduje się na ucieczkę. Na jego drodze staje jednak człowiek, który licząc na nagrodę, odprowadza go z powrotem do fabryki i oddaje w ręce prześladowców. Nic dziwnego, że po rocznym w niej pobycie udręczony chłopak chce ze sobą skończyć. Choć śmierć wydaje się ośmiolatkowi wybawieniem, nie ma jednak odwagi, by ostatecznie skoczyć z najwyższego piętra. Myśl o samobójstwie porzuca dopiero pod wpływem wstrząsu, jakim okazał się wypadek dziesięcioletniej Mary Richards wciągniętej przez pracującą maszynę. „Mary upada na podłogę, a Robert słyszy pisk, rozdzierający pisk. Biegnie w stronę dziewczynki. Jego krzyk miesza się z szumem przędzarki. Ciało Mary wiruje w maszynie jak szmaciana lalka. Trzask łamanych kości jest głośniejszy niż warkot miarowo pracującego metalu i drewna. Ręce, nogi i głowa dziewczynki pojawiają się i znikają w trybach maszyny, za każdym razem coraz cieńsze, coraz drobniejsze. Krew spływa na podłogę […]. Zmiażdżone, porozrywane ciało Mary wiruje szybciej i szybciej, aż w końcu zatrzymuje się między ramą a podłogą. Maszyna charczy po raz ostatni i staje". Widząc to, Robert osuwa się bezwładnie na podłogę. Zszokowany dowie się później, że Mary przeżyła, pozostając jednak na zawsze kaleką. On natomiast postanowił, że się nie podda i będzie walczył o siebie.

Wkrótce po tym makabrycznym wydarzeniu dwie siostry pracujące w fabryce – Fanny i Mary Collier – napisały

eprasa.pl e1f842f673

potajemnie list do swojej matki w Londynie. Donosiły jej o dramatycznej sytuacji dzieci i błagały o pomoc. Okazało się, że skarg jest znacznie więcej. W zakładzie, gdzie pracował Blincoe, zaczynają się niespodziewane kontrole, wychodzą na jaw skandalizujące fakty i poważne uchybienia. Właściciel nie ma innego wyjścia – musi zapewnić dzieciom bardziej humanitarne warunki pracy i lepiej je traktować. „Na talerzach pojawiają się kawałki mięsa, godziny pracy zostają skrócone, a z fabryki zostaje wyrzucony nadzorca, który najbardziej bił". Wkrótce jednak, w wyniku wojny Anglii z Francją, produkcja załamuje się i zakład zostaje zamknięty.

Jedenastoletni już Robert trafia więc do fabryki bawełny Ellisa Needhama i znów pracuje przy zmianie szpul na przędzarkach. To miejsce okazuje się tak samo potworne jak poprzednie, a każda forma opresji wobec dzieci jest w nim dozwolona. Najczęściej są okładanie pasem lub trzciną przy głodowych racjach żywnościowych. Nadzorca był gotów wepchnąć Robertowi w usta pilnik do metalu, przebił mu ucho, przypinał za ręce do drewnianej belki i trzymał tak aż do utraty przytomności. Robert, jak tylko potrafił, walczył o przetrwanie. W chwilach wolnych od pracy podjadał warzywa na polach, podbierał świniom żarcie z koryta, starał się unikać bicia, drzemał, gdy nikt nie widział. „Twarz ma w ranach i bliznach, nogi wyginają się coraz bardziej, pleców nie jest w stanie rozprostować. Ale skoro jest w nim jeszcze trochę życia, to trzyma się go uparcie".

Ten, który pokonał system

Tak oto dotrwał do swoich 21. urodzin, a więc do dnia, w którym zakończył przymusową praktykę i został zatrudniony w tym samym zakładzie, otrzymując pensję w wysokości czterech szylingów na tydzień. Nie wygasł w nim jednak bunt przeciwko ciągłemu wyzyskowi nieletnich. Przepowiednia wróżki starej Beccki, która za szylinga odsłoniła przed nim przyszłość, natchnęła go do opuszczenia fabryki, podjęcia nowej pracy, poczynienia oszczędności i otwarcia własnego sklepiku z bawełną. Mało tego Robert został mężem i ojcem. Zadbał o to, by jego dzieci poszły do szkoły. Syn Blincoe ukończył nawet uniwersytet w Cambridge i został pastorem, ukrywając swoje prawdziwe pochodzenie.

Historię Roberta Blincoe – sieroty bez imienia, ofiary zbrodniczej polityki przemysłowców i nieludzkiego systemu dającego przyzwolenie na wyzysk najmłodszych – poznał i opisał dziennikarz John Brown, pragnąc wstrząsnąć angielskim społeczeństwem i doprowadzić do daleko idących zmian w prawodawstwie. Z całym krytycyzmem donosił o tym, że „w fabryce, do której został wysłany Blincoe, dzieci z przytułku były postrzegane, traktowane i używane jako surowiec, ich siła, istota ich życia, zostały skonsumowane i przetworzone w pieniądz, a kiedy ten żywy inwentarz składający się z czeladników z przytułku, wyniszczył się, nowe stado ofiar przyjeżdżało na ich miejsce z różnych ośrodków i nie trzeba było nawet ponosić kosztów zakupu!". W Robercie Blincoe Brown dopatrywał się nie tylko ofiary, lecz przede wszystkim silnego człowieka, który wygrał walkę z bezdusznością systemu, potrafił się mu przeciwstawić i stworzyć swoje życie od podstaw, choć wydawało się, że jest to niemożliwe.

25 stycznia 1828 roku na łamach „The Lion" została opublikowana pierwsza część wspomnień Roberta Blincoe. Wydawcą pisma był Richard Carlile, któremu Brown przekazał manuskrypt przed swoją śmiercią. Sam Carlile też wywodził się ze środowiska robotniczego. Był synem szewca, siedem lat terminował u blacharza, wreszcie sięgnął po pióro i zaczął stawać w obronie robotników, zamierzając doprowadzić do zmiany ich sytuacji społeczno-bytowej. Ostro występował przeciwko wyzyskowi dzieci zatrudnionych w przemyśle, jednocześnie walcząc o powszechny dostęp do edukacji. Domagał się daleko idącej reformy fabrycznej – godziwych warunków pracy i płacy dla robotników.

Wszyscy ci, którzy rozchwycili pięć kolejnych numerów „Liona", nie mogli oderwać się od drukowanej w odcinkach biografii Roberta, która porażała i budziła moralny sprzeciw. Stworzony przez znanego rysownika Williama Keelinga portret Blincoe przedstawiał człowieka niskiego wzrostu, o zdeformowanym ciele, krzywych nogach, poranionej i naznaczonej bliznami twarzy. Z jego postaci biła jednak duma – patrzył odważnie przed siebie, wyprostowany, w eleganckim fraku, z cylindrem na głowie. Podobizna Roberta trafiła na okładkę jego biografii, która wydana w formie książki rozeszła się błyskawicznie w kwietniu 1832 roku, stając się prawdziwym bestsellerem. Historią Blincoe żyła cała Anglia. Stał się on symbolem walki o prawa robotnicze, w tym o prawa do godnego życia, pracy i edukacji dla sierot i dzieci z nizin społecznych.

Wspólne działania przyniosły widoczne efekty

Na czele tych, którzy odważyli się dochodzić swoich praw, znalazł się Michael Sadler, przewodzący inspekcjom w zakładach włókienniczych. Zbierał dowody obciążające fabrykantów, a tych dostarczali mu inspektorzy przesłuchujący dorosłych i małoletnich robotników. W jego przekonaniu najbardziej radykalnym środkiem mającym poprawić sytuację było ograniczenie czasu pracy – z szesnastu do dziesięciu godzin dla wszystkich zatrudnionych w fabrykach. To główny postulat tzw. Ruchu Dziesięciu Godzin, który Sadler wspierał wraz z pastorem Georgem Bullem oraz Richardem Oastlerem, bogatym kupcem okrzykniętym „królem fabrycznych dzieci". 25 sierpnia 1832 roku ta trójka bojowników o ro-

eprasa.pl e1f842f673

botnicze prawa stanęła na czele wielkiej manifestacji zorganizowanej w Manchesterze. „Tłum wybucha kanonadą okrzyków. Wyciągnięte w górę ręce potrząsają transparentami i plakatami. Flagi łopoczą na wietrze, robotnicze saboty stukają o bruk. Dziś nie będą ich rzucać w tryby krosien. Odeszli od maszyn, żeby otwarcie powiedzieć »Dosyć!«. […] Najmłodsi mają po kilka lat. Dziś zamiast przy przędzarkach i krosnach tysiące dzieci stoją na ulicach z kolorowymi flagami i kwiatami w rękach. […] W pierwszym szeregu idzie dwóch mężczyzn z ogromną flagą. Nadruk na tkaninie przedstawia niskiego zgarbionego mężczyznę o zdeformowanych nogach we fraku i cylindrze". Za godło strajkujących posłużył wizerunek jednego z nich – dziecka rewolucji przemysłowej – Roberta Blincoe. I on był w tym tłumie. „Wzruszenie, gniew, smutek, upokorzenie, które towarzyszyły mu całe życie – wszystko to nie może się równać z wypełniającą go dumą, że jest częścią tej rewolucji".

Wspólne działania przyniosły widoczne efekty. Najpierw w 1833 roku został przyjęty przez brytyjski parlament Akt Fabryczny, na mocy którego skrócono dzień pracy dzieci-robotników, wprowadzono zakaz zatrudnienia ich poniżej dziewiątego roku życia, a oprócz tego zagwarantowano im po dwie godziny nauki dziennie. Był to dopiero początek zmian. Na przyjęcie Prawa Dziesięciu Godzin przyszło czekać jeszcze do 8 czerwca 1847 roku. Zostało ono przyznane kobietom i dzieciom zatrudnionym w zakładach tekstylnych. W ten sposób uczyniono milowy krok w stronę zmiany sytuacji życiowej robotników, o którą walczył piórem także Charles Dickens. Jeszcze jako nieznany nikomu reporter sejmowy śledził on z uwagą toczącą się w parlamencie brytyjskim batalię o wprowadzenie prawa chroniącego dzieci pracujące w fabrykach. Sam też zmuszony sytuacją rodzinną (jego ojciec, matka i rodzeństwo trafiło do więzienia za długi) jako jedenastolatek naklejał w fabryce etykiety na butelki z pastą do butów. Nazbyt dobrze rozumiał więc położenie najmłodszych i stawał w ich obronie jako pisarz – twórca słynnej powieści „Oliver Twist". Wiele przemawia za tym, że prototypem jego bohatera – sieroty zmuszonego do ciężkiej pracy w fabryce – był właśnie Robert Blincoe, jak sugeruje historyk John Waller, wskazując na zbieżności między fabułą książki a autentycznymi losami Blincoe. Prapraprawnuk Roberta – Nicholas Blincoe – pisarz i publicysta, czytając „Olivera Twista", zastanawiał się, czy jego przodek, którego nie udało się zniszczyć przemysłowcom, posłużył w istocie jako pierwowzór dla Dickensowskiego bohatera, i ani myślał zmienić swego nazwiska.

***

Książka Katarzyny Nowak o dzieciach rewolucji przemysłowej nie jest wyłącznie opowieścią o przeszłości, o zamkniętym rozdziale ponurej historii, która nigdy się już nie powtórzy. Wręcz przeciwnie, ma ona wyjątkowo aktualną wymowę i dedykowana jest „pracującym dzieciom XXI wieku". Uzmysławia bowiem bolesną prawdę o tym, że historia nieletnich zmuszanych do pracy fizycznej w XVIII i XIX wieku ma swoją kontynuację we współczesności i nadal rozgrywa się na naszych oczach: „Dziesięcioletni Arthur gołymi rękami wybiera kobalt z błota w kopalni w Kongo. Taaniya szyje ubrania w Bangladeszu. Jafar zbiera bawełnę w Uzbekistanie. Pharady pakuje cegły na wózek w Kambodży. Letiefesso nosi worki z kakao na plantacji na Wybrzeżu Kości Słoniowej". Obecnie do pracy wykorzystywanych jest 160 milionów dzieci na całym świecie – alarmuje Fundusz Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci (UNICEF) oraz Międzynarodowa Organizacja Pracy (ILO). Z raportu opublikowanego przez te dwie organizacje w 2021 roku wynika, że 10 proc. nieletnich wykorzystywanych jest do pracy w przemyśle (16,5 mln), 20 proc. – w usługach (31,4 mln), natomiast aż 70 proc. – w rolnictwie (112 mln). Tak na przykład 45 proc. małych mieszkańców Ghany i Wybrzeża Kości Słoniowej pracuje na plantacjach kakao, inni zaś przy uprawie cukru trzcinowego, kawy, herbaty, bananów, winogron, orzechów, nasion i olejów, a także przy produkcji tekstyliów. Często zmuszani są do używania ostrych narzędzi i przenoszenia ciężkich ładunków, a także narażeni na działanie niebezpiecznych chemikaliów. Z danych UNICEF wynika, że od 2016 roku po raz pierwszy liczba nieletnich robotników wykonujących pracę w niebezpiecznych warunkach wzrosła – z 72,5 mln do 79 mln.

Spośród pracujących nie uczęszcza do szkoły około 28 proc. najmłodszych – liczących od 5 do 11 lat oraz 35 proc. nastolatków w wieku od 12 do 14 lat. Do pogłębienia problemu przyczyniła się niewątpliwie pandemia COVID-19, która pociągnęła za sobą wzrost bezrobocia wśród dorosłych i doprowadziła do zamknięcia wielu szkół. W krajach najsłabiej rozwiniętych średnio co piąte dziecko w wieku od 5 do 17 lat wykonuje pracę szkodliwą dla swego zdrowia i rozwoju. Najwyższy odsetek wykorzystywanych w ten sposób dzieci odnotowano w krajach Afryki Subsaharyjskiej, zwanej też Czarną Afryką. Jest ich 86,6 milionów – to liczba większa niż w pozostałych regionach świata łącznie.

„Nowe dane to sygnał alarmowy. Nie możemy być spokojni, kiedy całe pokolenie dzieci jest zagrożone" – stwierdził Guy Ryder, dyrektor generalny Międzynarodowej Organizacji Pracy. Toteż książkę Katarzyny Nowak z absorbującym podtytułem: „Kto naprawdę zbudował współczesny świat" kończy gorzka refleksja o tym, co spotyka dzieci w wielu miejscach świata, wraz z budzącym moralny niepokój przypuszczeniem: „Być może także korzystasz z pracy dziecięcych rąk". ■

eprasa.pl e1f842f673

Dariusz Jarosiński



„Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie...

„Odszedł od nas na zawsze Żołnierz, któremu przez kilka lat w krwawych zmaganiach z wrogiem oręż nie ciążył. [...] Wiernym był synem Ziemi Kresowej, wyrósł z niej i Życie swoje Jej oddał. [...] Nie umiał służyć Ojczyźnie w celu uzyskania tylko pochlebstw, wpływów i stanowiska. [...] Został tu, by oddać swe młode życie [...], by chwałą okryć żołnierza polskiego i dać świadectwo swym postępowaniem [...] jak Ojczyznę kochać należy i świętej sprawie służyć" – mówił o por. Janie Borysewiczu po jego śmierci komendant AK Okręgu Nowogródek rtm. Jan Skorb „Puszczyk".

eprasa.pl e1f842f673

Zdaniem niektórych historyków i publicystów, z dawnej Rzeczypospolitej pozostała nam jedynie nazwa, ponieważ w momencie kiedy Sowieci odebrali nam przemocą Kresy Wschodnie, Polska przestała być Rzecząpospolitą w historycznym znaczeniu tego słowa.

Mamy prawo być dumni

W wyniku II wojny światowej Polska straciła połowę swego terytorium Drugiej Rzeczypospolitej, Lwów i Wilno – dwa z pięciu najważniejszych miast – i została odcięta od najbardziej istotnej części swojej historii i dorobku kulturalnego. Do dziś Kresy Wschodnie są żywym i najważniejszym elementem polskiej tradycji i tożsamości – choćby przez literaturę tworzoną przez Adama Mickiewicza z Nowogródka, Juliusza Słowackiego z Krzemieńca, Elizę Orzeszkową z Grodna, Józefa Mackiewicza z Wilna, Floriana Czarnyszewicza z okolic Bobrujska znad Berezyny, Zbigniewa Herberta ze Lwowa.

Mamy prawo jednak być dumni, bo choć utraciliśmy Kresy Wschodnie, to nie oddaliśmy ich bolszewikom bez walki. Możemy być dumni z naszych bohaterów, obrońców Kresów, którzy walczyli w szczególnie trudnych warunkach. Na Kresach mieliśmy do czynienia ze skomplikowaną sytuacją narodowościową, z kilkoma wrogami, a Komenda Główna Armii Krajowej, najdelikatniej mówiąc, nie do końca rozumiała specyfikę tego terenu i była nadto uległa aliantom.

Pozwolę sobie przytoczyć kilka zdań dr. Kazimierza Krajewskiego, najbardziej cenionego historyka, badacza polskiego podziemia niepodległościowego na Kresach Wschodnich. Słowa pochodzą ze wstępu do książki „Na straconych posterunkach. Armia Krajowa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej": „Powojenna tragedia Kresów odbywała się w zupełnej ciszy. Mieszkańcy rządzonej przez komunistów Polski nigdy nie dowiedzieli się o walce toczonej przez rodaków za jałtańskim kordonem. W ogromnej większości nie wiedzą o niej do dzisiaj. Zapewne to milczenie, cisza i wynikająca z niej niewiedza były elementem ułatwiającym »przeorywanie świadomości« mieszkańców PRL przez komunistycznych manipulatorów. Nie chciał także wiedzieć o tej walce wolny świat za żelazną kurtyną – wszak dał Stalinowi wolną rękę w sprawie polskiej, a do tego jako bonus – pół Polski".

I jeszcze jedno. Komuniści nie mogli już bardziej upokorzyć Polaków – wygnańców z Kresów Wschodnich – niż wpisując im do dowodów osobistych „miejsce urodzenia ZSRR". Mieli milczeć na temat ziem zabranych. Wypędzenie ludności kresowej z terenów dzisiejszej Białorusi, Litwy i Ukrainy na Ziemie Odzyskane historiografia określa jako „repatriację", chociaż tak naprawdę była to ekspatriacja.

III RP niewiele zrobiła dla Kresowian. W ostatnich latach powstało kilka cennych placówek muzealnych, ale jakoś nie może powstać oczekiwane przez Polaków Muzeum Kresów Wschodnich.

Nam strzelać do Sowietów nie kazano

Kiedy we wrześniu 1939 roku Armia Czerwona zaatakowała Polskę, naczelny wódz wydał rozkaz, by z „Sowietami nie podejmować walki". Rozkazowi nie podporządkował się Korpus Ochrony Pogranicza, który stoczył kilka bitew z bolszewikami. Oddziałami dowodził gen. Wilhelm Orlik-Rückemann. Żołnierze KOP-u przez trzy tygodnie zadawali ciosy bolszewikom. 28 września kilkutysięczny oddział KOP-u dowodzony przez gen. Orlika-Rückemanna został zaatakowany przez 52. Dywizję Strzelecką Armii Czerwonej w pobliżu miasteczka Szack na Wołyniu. Po dwóch dniach zaciętych walk nasi żołnierze zdobyli miasteczko i rozbili sowiecką dywizję. W ostatniej fazie bitwy doszło do walki na bagnety. Dzień później inny bolszewicki pułk, wsparty czołgami i artylerią, ponownie zaatakował polski oddział KOP-u w pobliżu miejscowości Wytyczno. Tym razem, wobec przeważającej siły wroga, generał zdecydował się na rozformowanie oddziału i nakazał żołnierzom przedzieranie się małymi grupkami na zachód.

Dlaczego gen. Orlik-Rückemann nie wykonał rozkazu Naczelnego Wodza, choć był oficerem zdyscyplinowanym i zdawał sobie sprawę z tego, że w warunkach wojennych groziła mu za to kara śmierci? Ano przede wszystkim dlatego, że w roku 1920 brał udział w wojnie z bolszewikami i doskonale wiedział, że jest to dzicz, która nie przestrzega konwencji genewskiej o humanitarnym traktowaniu jeńców wojennych. Zdecydowanie wolał, aby zarówno on sam, jak i jego żołnierze, zginęli w walce, a nie od sowieckiej kuli w potylicę. Nie miał żadnych złudzeń co do tego, czym jest bolszewia. Szczęśliwie generał przeżył, ocalało też wielu jego podkomendnych. Nie muszę dodawać, co stało się z oficerami Wojska Polskiego, którzy trafili do sowieckiej niewoli. Była to zemsta Stalina za przegraną wojnę z Polakami w 1920 roku.

Nie były to jedyne bitwy stoczone na wschodzie w wojnie obronnej 1939 roku z Sowietami – należy pamiętać o bohaterskiej obronie Grodna, Lwowa i twierdzy w Brześciu. Sowieci w sposób bestialski zamordowali ludność cywilną, która organizowała samoobronę.

FOT. FACEBOOK

eprasa.pl e1f842f673

Notabene dwa lata temu powstał pierwszy polski film fabularny o rosyjskiej agresji na Polskę we wrześniu 1939 roku (do przesady poprawny politycznie), opowiadający o obronie Grodna pt. „Orlęta. Grodno '39". W trwającej kilka dni obronie miasta przed sowiecką dziczą oprócz żołnierzy wzięli też udział cywilni mieszkańcy i uczniowie.

Do pierwszego zrywu Polaków na Kresach przeciwko bolszewikom doszło w miasteczku Czortków na Podolu. Dwustu młodych konspiratorów organizacji Stronnictwo Narodowe podjęło brawurowy plan, a mianowicie postanowiło w nocy z 21 na 22 stycznia 1940 roku, w rocznicę wybuchu powstania styczniowego, opanować koszary oraz więzienie, w którego murach została osadzona miejscowa inteligencja. A później, po zajęciu dworca kolejowego, pociągiem mieli wydostać się do Rumunii. Niestety, z różnych powodów plany się nie powiodły. Zryw zakończył się klęską. Zginęło trzech Sowietów, 24 powstańców zostało rozstrzelanych, a 55 wysłanych do łagrów.

W roku 1939 zaczął się proces likwidacji Polaków i polskości na Kresach. „Za pierwszego Sowieta", czyli w latach 1939–1941, Rosjanie przeprowadzili cztery akcje deportacyjne obywateli II RP, podczas których na Syberię i do Kazachstanu wywieziono kilkaset tysięcy Polaków.

Sojusznik naszych sojuszników

W roku 1969 ukazała się ostatnia z wielkich epickich powieści Józefa Mackiewicza „Nie trzeba głośno mówić", która opowiada o sytuacji na północno-wschodnich Kresach w latach 1941–1944, będąca kontynuacją „Drogi donikąd", której akcja toczy się „za pierwszego Sowieta", czyli do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 roku. Recenzent londyńskich „Wiadomości", Tadeusz J. Nowacki, nazwał ją „epopeją zmierzchu polskości na dawnych kresach Rzeczypospolitej". Powieść ta to nie tylko znakomite dzieło literackie, artystyczne, lecz także imponujące studium historyczne oparte na licznych dokumentach, materiałach źródłowych, które są przytaczane w książce.

Mackiewicz naszkicował przygnębiający obraz Kresów: Polacy, Białorusini, Litwini, Rosjanie, Łotysze nie potrafili współdziałać w obronie przed okupantami, czyli Sowietami i Niemcami. Duch Wielkiego Księstwa Litewskiego, którego obywatelem czuł się Mackiewicz, wspólnoty narodów, ulotnił się wraz z klęską powstania styczniowego i pojawieniem się nacjonalizmów. Okupanci wykorzystali do własnych celów konflikty między zwaśnionymi kresowymi narodami. O ile polskie podziemie nie mogło liczyć na współpracę z Litwinami, o tyle Białorusini, szczególnie ci o słabym poczuciu tożsamości narodowej, walczyli w polskich oddziałach partyzanckich. Według ustaleń dr. Kazimierza Krajewskiego, Białorusini stanowili na Nowogródczyźnie 35 proc. naszych oddziałów.

Zbigniew S. Siemaszko, zmarły przed trzema laty historyk, publicysta emigracyjny, w recenzji powieści swego krajana z Wilna zwrócił uwagę na kilka ważnych spraw: „Na terenach tych dominował chaos. Ludzie mordowali się wzajemnie z byle błahego powodu i często można się jedynie domyślać, kto był rzeczywistym sprawcą danego morderstwa. Taki stan rzeczy prowadził w pierwszym rzędzie do wyniszczania miejscowej ludności.

Władze niemieckie oscylowały pomiędzy odmiennymi koncepcjami Ostministerium, Wehrmachtu, Abwehry i ministerstwa spraw zagranicznych w stosunku do zagarniętych narodów. […] Z biegiem czasu nastawienie władz niemieckich doprowadziło do powstania tajnych organizacji litewskich i białoruskich, a z drugiej strony polski ruch podziemny, pomimo oficjalnej postawy antyniemieckiej, walczył niekiedy z partyzantką sowiecką.

Jedynym konsekwentnym terrorem był terror sowiecki. Jedynie partyzantka sowiecka dążyła wyraźnie do celu mordując wszystkich, którzy byli jej przeciwni, bez względu na narodowość i wyznanie, i jedynie ta koncepcja wygrała. Czytelnik odnosi wrażenie, iż wygrała może nie tylko dlatego, że posiadała najlepsze zaplecze materialne, ale może również dlatego, że była koncepcją ponadnarodową. Inne koncepcje oparte na wąskich nacjonalizmach zostały zlikwidowane przez koncepcję sowiecką".

W czasie wojny na Kresach mieliśmy do czynienia z permanentnym konfliktem różnych stron, środowisk politycznych, narodowych etc. Wszyscy walczyli ze wszystkimi, starając się wypracować jak najlepszą pozycję przed zakończeniem wojny. Czy strona polska zajęła najlepszą pozycję, postawę? Zdaniem Mackiewicza: nie.

W Polsce centralnej nie były spotykane takie problemy jak na wieloetnicznych Kresach i gdzie de facto przez cały czas wojny byli dwaj okupanci – Niemcy i bolszewicy. Sytuacja ta wymagała innego podejścia Komendy Głównej AK, teoria jednego wroga obowiązująca w Generalnej Guberni nie powinna być narzucana wileńskiej i nowogródzkiej AK, które musiały bronić mieszkańców polskich przed sowieckimi partyzantkami, będącymi w istocie bandami rabunkowymi terroryzującymi polskie wioski. Nastawienie Polaków na Kresach było zdecydowanie antysowieckie, antykomunistyczne.

eprasa.pl e1f842f673

Mackiewicz był krytyczny wobec ówczesnej polskiej elity politycznej, wojskowej, która według niego wbrew interesom narodu i państwa polskiego poddawała się woli Wielkiej Brytanii, naszego sojusznika. Rząd polski w Londynie i Komenda Główna AK w Warszawie uznały bolszewików za „sojusznika naszych sojuszników". 30 lipca 1941 roku został zawarty układ Sikorski–Majski, który m.in. zakończył stan wojny pomiędzy Polską a ZSRS, Stalin łaskawie zadeklarował „amnestię" dla polskich więźniów politycznych, łagierników, a także pomoc w utworzeniu polskiej armii.

„My się komunistów nie boimy"

W powieści Mackiewicza występuje kilka postaci historycznych, jedną z nich jest Romuald Ławrynowicz, polski oficer, były peowiak, antykomunista, agent wywiadu rezydujący od roku 1921 w Mińsku. Początkowo współpracował z polską konspiracją w Mińsku, ale odmówił, kiedy zorientował się, że korzystają z jego pracy Sowieci. Swoją odmowę współpracy tak tłumaczył wysłannikowi warszawskiej konspiracji: „Przez dwadzieścia cztery lata, ćwierć wieku, zakopany w tym gnoju sowieckim, dzień po dniu pracowałem i czekałem w najskrytszych marzeniach na zniszczenie tego gówna, tej plugawej zarazy świata. Tymczasem… Pan wie, jaka jest sytuacja. Mam tym bolszewikom pomagać do zwycięstwa? Pracować z takim Piekarczukiem, który mi powiada, że jemu przy zetknięciu z partyzantką bolszewicką »wzruszenie ścisnęło gardło, że walczyć będziemy ramię przy ramieniu?«".

Ławrynowicz, który całe życie poświęcił walce z bolszewikami, był człowiekiem ideowym, świetnie rozumiejącym, jak wielkie zagrożenie dla narodu i państwa polskiego stanowią Sowieci, nie oszczędzał „konspiratora z Warszawy": „Miałem w ręku wasz »Biuletyn Sztabowy«, jak wy go nazywacie. Podobno powielany jest tylko w ilości 30 egzemplarzy. Bardzo słusznie, że dajecie go czytać wyłącznie »do użytku służbowego«. Jest bowiem sporządzany na podstawie oceny sytuacyjnej polityków i wojskowych… angielskich. Całość robi wrażenie angielskiego pisma »dla Polaków«, ale nie pisma polskiego […]. Ta lektura potwierdziła raz jeszcze moje supozycje, moje przekonanie: panowie robią politykę angielską […]. Jest to normalne szpiegostwo na rzecz i korzyść bolszewików. To miało iść do Londynu, a idzie do Moskwy. Nawet to nie prawda, że pośrednikami są Anglicy i naszymi głowami i rękami chcą wspierać Sowiety. Bo nawiązali panowie łączność bezpośrednią z bolszewikami…".

Wysłannik z Warszawy dowodził, że Polska prowadzi wojnę z Niemcami, a nie z Rosją, która jest teraz naszym sojusznikiem, w związku z tym Polska musi być lojalna, nie może być mowy o walce z komunizmem. Zarzucił Ławrynowiczowi zdradę i orientację prohitlerowską. W niedługim czasie Romuald Ławrynowicz został zamordowany przez nieznanych sprawców.

Tłumaczenie, że Sowieci byli sojusznikami naszych sojuszników, czyli Anglików, nie wytrzymywało próby życia. Anglicy kompletnie się z nami nie liczyli, a Sowieci wykorzystywali ów „sojusz" do podporządkowywania sobie Kresów. Mackiewicz nie stawiał tezy, że walka z Niemcami jest czymś złym, ale była kompletnie niezasadna politycznie od momentu, kiedy Niemcy ewidentnie wojnę przegrywali. W roku 1943, a już na pewno w 1944, nietrudno było przewidzieć, że ze starcia dwóch totalitaryzmów zwycięsko wyjdą bolszewicy.

O ile jeszcze można zrozumieć zawarcie układu Sikorski–Majski w roku 1941, to już zupełnie nie miało politycznego sensu w drugiej fazie okupacji traktowanie bolszewików jak sojusznika naszych sojuszników – po ujawnieniu w kwietniu 1943 roku zbrodni w Katyniu, po zerwaniu przez Sowietów stosunków dyplomatycznych z rządem RP, kiedy było już jasne, że rzeczywistym zagrożeniem dla Polski nie są Niemcy, lecz bolszewicy.

Bohater książki Mackiewicza, Skowroński, oficer 3. Brygady Wileńskiej AK „Szczerbca", tak komentował sytuację: „My się komunistów nie boimy. Ale do tego potrzeba nie patyczkować się, nie bawić w zasady. Tylko stosować te same bezwzględne metody co oni, i inni, dla jednego celu: dla dobra Rzeczypospolitej. Niemcy dają broń, brać. Dają rozkaz policji i SS nie strzelać pierwsi do partyzantów polskich, to korzystać z tego".

Wszelkie próby porozumienia się polskich dowódców partyzanckich z partyzantami sowieckimi kończyły się tragicznie dla strony polskiej. Wręcz samobójstwem zakończyły się dagawory i razgawory wileńskich oficerów AK z oficerami Armii Czerwonej i NKWD w lipcu 1944 roku. Jeszcze nasze oddziały pomogły Sowietom wyzwolić Wilno spod okupacji niemieckiej. Kilka tysięcy żołnierzy AK zostało aresztowanych i wywiezionych w głąb Rosji do łagrów.

Wojna polsko-sowiecka

Sowieckie oddziały leśne na Kresach Wschodnich rekrutowały się z żołnierzy Armii Czerwonej, którzy nie zdążyli ewakuować się po ataku III Rzeszy na Sowiety 22 czerwca 1941 roku i pozostali na zapleczu frontu. Szeregi bolszewickiej partyzantki

eprasa.pl e1f842f673

zasilili też dezerterzy, zbiegowie z niewoli oraz Żydzi ukrywający się przed Niemcami, na przykład w Puszczy Nalibockiej kwaterowało kilkuset Sowietów i 2 tys. Żydów. Według wyliczeń prof. Bogdana Musiała, na terenach dzisiejszej Białorusi przebywało 122 tys. partyzantów. Sowieccy partyzanci otrzymywali broń ze zrzutów z Moskwy, nasi musieli ją zdobywać na wrogu lub kupować. Oddziały kresowe AK otrzymywały z Warszawy jedynie trochę pieniędzy i rozkazy. Sowieci sporadycznie walczyli z Niemcami, ich głównym zajęciem było łupienie kresowej ludności.

W roku 1943 sowiecka partyzantka w sposób otwarty zaczęła zwalczać polskość i atakować oddziały AK. 26 sierpnia 1943 roku bolszewicy zlikwidowali nad jeziorem Narocz oddział por. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica", mordując 80 partyzantów; 1 grudnia tego samego roku bolszewicy zamordowali 40 partyzantów Batalionu Stołpeckiego. W ten sposób kończyła się „współpraca" oddziałów AK z sowieckimi partyzantami. Sowieccy partyzanci, w tym również pochodzenia żydowskiego, dopuszczali się pacyfikacji polskich wiosek: w Nalibokach zamordowano 128 mieszkańców, w Koniuchach 40, w Kamieniu zginęło 21 żołnierzy AK i 20 osób cywilnych (dane za dr. Kazimierzem Krajewskim i dr. Tomaszem Łabuszewskim). Niewiele było polskich wiosek na Kresach północno-wschodnich, które nie ucierpiałaby z rąk bolszewickiej dziczy. Kresowi dowódcy AK zmuszeni zostali do podjęcia samoobrony.

Konflikt z bolszewikami przybrał charakter lokalnej wojny partyzanckiej polsko-sowieckiej. Według Zygmunta Boradyna, przedwcześnie zmarłego historyka pochodzącego z Mińska, straty poniesione w tej wojnie wynosiły: po stronie sowieckiej 400 zabitych i 120 rannych, natomiast po stronie polskiej: 300 zabitych i 230 rannych. Zdaniem historyka „mniejsza liczba rannych niż zabitych może świadczyć o szczególnie zaciętym charakterze walk – nieprzyjaciela z reguły do niewoli nie brano". Dr Kazimierz Krajewski szacuje, że partyzanci Okręgu Nowogródek AK uczestniczyli w 459 akcjach przeciwko Niemcom oraz w 355 przeciwko partyzantce sowieckiej.

„Mściciel", czyli pod nowym pseudonimem

Nowogródzki Okręg Armii Krajowej liczył w lipcu 1944 roku prawie 8 tys. żołnierzy. Początkowo okręgiem dowodził ppłk Janusz Szlaski „Prawdzic", „Borsuk". Podpułkownik „Prawdzic" był przeciwny Akcji „Burza", a w szczególności Operacji „Ostra Brama" i ujawnianiu się żołnierzy AK przed Armią Czerwoną, w związku z czym Komenda Główna AK odwołała go z funkcji komendanta 12 czerwca 1944 roku.

Pierwszy oddział partyzancki na Nowogródczyźnie zorganizował rtm. Jan Skorb „Puszczyk" w czerwcu 1942 roku w powiecie Szczuczyn. Wkrótce powstały też inne grupy zbrojne, które wychodziły w pole wówczas, kiedy była do przeprowadzenia konkretna akcja. Wszystkie akcje bojowe skierowane przeciwko Niemcom były tak pozorowane, by ich autorstwo można było przypisać Sowietom. Miało to na celu przede wszystkim chronienie polskiej ludności przed niemieckimi represjami w odwecie. 3 maja 1943 roku oddziały AK zaprezentowały się po raz pierwszy w polskich mundurach i orłach na czapkach, choć nadal atakowały Niemców, podszywając się pod Sowietów.

Na Nowogródczyźnie walczyło wielu wspaniałych partyzantów. Szczególnie dużym szacunkiem wśród miejscowej społeczności cieszył się por. Jan Borysewicz „Krysia". Pochodził z rodziny osiadłej od kilku stuleci na Kresach, a dokładniej z niewielkiej wioski nieopodal Wasiliszek na Grodzieńszczyźnie. Był absolwentem Seminarium Nauczycielskiego w Szczuczynie oraz Szkoły Podchorążych Piechoty w Komorowie koło Ostrowi Mazowieckiej, którą ukończył w stopniu podporucznika. Wziął udział w wojnie obronnej we wrześniu 1939 roku. W latach 1940–1941 był więźniem NKWD w więzieniu w Baranowiczach.

W czerwcu 1943 roku zaczynał swoją epopeję partyzancką z siedmioosobowym oddziałem, a już w sierpniu dysponował kompanią, po roku walk miał pod swoją komendą ponad pół tysiąca partyzantów. W czasie okupacji niemieckiej przeprowadził ponad 100 akcji bojowych na terenie powiatu lidzkiego. Ze swymi partyzantami rozbił m.in. posterunki żandarmerii i garnizony okupacyjne w Koleśnikach, Koniawie, Horodnie i Raduniu.

Z uwagi na to, że placówka żandarmerii w Horodnie sprawiała polskim konspiratorom wiele kłopotów, por. „Krysia" postanowił ją w sierpniu 1943 roku zlikwidować. Przeprowadzona przez niego akcja z wykorzystaniem partyzantów przebranych za żandarmów, żniwiarzy i żniwiarki mogłaby stanowić scenariusz filmu. Niemiecka twierdza z 60 żandarmami uzbrojonymi po zęby padła błyskawicznie. Niemcy zostali zmuszeni się poddać. Partyzanci nie ponieśli żadnych strat. Stoma wozami wywieźli „Krysiacy" amunicję, broń, żywność, umundurowanie. Cały dwór wysadzono w powietrze, aby Niemcom nie przyszło do głowy ponownie tu się ulokować.

„Na początku grudnia 1943 roku oddział nasz pod dowództwem por. »Krysi« odbił między Wasi-

eprasa.pl e1f842f673

liszkami a Wawiórką 26 aresztowanych z kompanii konspiracyjnej Wasiliszki konwojowanych do Lidy pod strażą żandarmów i Ukraińców. Wybito całą eskortę – 35 ludzi" – wspominał w książce „Nowogródczyzna w walce 1940–1945" ppłk Janusz Prawdzic-Szlaski.

Porucznik „Krysia" sprawił, że od początku 1944 roku Ejszyszki i okolice faktycznie znajdowały się pod kontrolą polskich partyzantów. Rolnicy przestali dostarczać niemieckiemu okupantowi kontyngenty.

W nocy z 17 na 18 stycznia 1944 roku partyzanci „Krysi" rozbili więzienie w Lidzie, uwalniając 77 więźniów, oswobodzeni trafili do akowskich oddziałów. „Strat własnych nie było" – pisał ppłk Prawdzic-Szlaski. „Garnizon niemiecki w Lidzie liczył 10.000 żołnierzy, a całe miasto od zmroku było gęsto patrolowane".

W drodze na Operację „Ostra Brama", w lipcu 1944 roku, oddział por. „Krysi" stoczył kilka potyczek z Niemcami. W szturmie na miasto nie wziął jednak udziału z powodu zamieszania w dowodzeniu. Uniknął rozbrojenia przez bolszewików, wycofując się do Puszczy Rudnickiej, gdzie rozformował batalion. Z niewielkim oddziałem najbardziej niezłomnych partyzantów powrócił na ziemię lidzką. Postanowił bronić do końca Kresów, ciągle mając nadzieję, że nie trafią one w ręce bolszewików. Przyjął nowy pseudonim – „Mściciel".

▶ Świętej sprawie służyć

Na rozkaz komendanta Okręgu Nowogródek AK, ppłk. Macieja Kalenkiewicza „Kotwicza", objął dowództwo nad odtworzonym Zgrupowaniem „Północ", w skład którego wchodziło siedem kompanii konspiracyjnych oraz kilkanaście mniejszych oddziałów partyzanckich. Działania partyzantów miały głównie na celu ochronę Polaków przed sowiecką administracją, NKWD i agenturą.

Pod koniec sierpnia 1944 roku por. Jan Borysewicz „Mściciel" potrafił stoczyć z Armią Czerwoną trzy zwycięskie bitwy w ciągu jednego dnia. We wrześniu 1944 roku, w rocznicę napaści Sowietów na Polskę, wysadził m.in. dwa pociągi wojskowe, dwa mosty na rzece Solczy.

W nocy z 6 na 7 grudnia 1944 roku por. „Mściciel" ze 150 żołnierzami Armii Krajowej opanował na kilka godzin miasto Ejszyszki. Celem polskich partyzantów było rozbicie sowieckiego więzienia, gdzie NKWD katowało Polaków. W wyniku akcji udało się uwolnić 34 więźniów. Żołnierze porucznika Borysewicza spalili również cenną dla sowieckiego wywiadu dokumentację NKWD dotyczącą polskiego podziemia oraz placówkę komunistycznego Związku Patriotów Polskich. W czasie zdobywania Ejszyszek zginęło dwóch żołnierzy „Mściciela". Na pewien czas zdestabilizowano sowiecki aparat władzy na tym obszarze. To było właściwie drugie zdobycie Ejszyszek przez porucznika Borysewicza. Kilka miesięcy wcześniej, bo w czerwcu 1944 roku, porucznik i jego żołnierze oczyścili miasto z litewskich kolaborantów i litewskiego wojska, które dawało się we znaki polskim mieszkańcom. Wzięci do niewoli współpracujący z Niemcami Litwini zostali rozbrojeni i odesłani w samych kalesonach do Wilna.

Zaciekle tropiony przez setki sołdatów NKWD por. „Mściciel" poległ 21 stycznia 1945 roku w zasadzce koło wsi Kowalki pod Naczą. Ciało por. Jana Borysewicza niestety dostało się w ręce Sowietów. Bolszewickim zwyczajem obwozili je później saniami po terenie. Śmierć legendarnego partyzanta, dowódcy, miała złamać ducha oporu polskiej ludności.

Komendant AK Okręgu Nowogródek, rtm. Jan Skorb „Puszczyk" „Boryna", po śmierci por. Jana Borysewicza wydał rozkaz następującej treści: „Odszedł od nas na zawsze Żołnierz, któremu przez kilka lat w krwawych zmaganiach z wrogiem oręż nie ciążył. Smutna Ziemia Kresowa wyśpiewała Mu jeszcze w kolebce swą tęskną pieśń przeznaczenia syna ludu na trudy i znoje. Twarde, żołnierskie życie codzienne ukształtowało prawy i silny charakter, dlatego też niestrudzenie szedł wytkniętą drogą, walcząc o wschodnie rubieże Rzeczypospolitej Polskiej i o Wolność swojego narodu. Wiernym był synem Ziemi Kresowej, wyrósł z niej i Życie swoje Jej oddał. […] Nauczył swoim przykładem […] synów ziemi kresowej kochać strony ojczyste […]. Nie umiał służyć Ojczyźnie w celu uzyskania tylko pochlebstw, wpływów i stanowiska. […] Został tu, by oddać swe młode życie […], by chwałą okryć żołnierza polskiego i dać świadectwo swym postępowaniem […] jak Ojczyznę kochać należy i świętej sprawie służyć".

Oddział zabitego por. Jana Borysewicza przejął por. Ludwik Nienartowicz „Mazepa", który w niedługim czasie został ostatnim komendantem AK Okręg Nowogródek. Pojedynczy polscy partyzanci przetrwali na Nowogródczyźnie do połowy lat 50. Ale to już inna historia. ■

Bibliografia:
Zygmunt Boradyn, „Niemen rzeka niezgody. Polsko-sowiecka wojna partyzancka na Nowogródczyźnie 1943–1944", Warszawa 2013; Kazimierz Krajewski, „Na straconych posterunkach. Armia Krajowa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej", Kraków 2015.

eprasa.pl e1f842f673



Królowa Jadwiga i Dymitr z Goraja – protoplasta rodu Gorajaskich – na obrazie Jana Matejki

Ewa Polak-Pałkiewicz

BIŁGORAJ 1989. FRAGMENT WIĘKSZEJ CAŁOŚCI. DOKOŃCZENIE

Gdyby nie przyroda zarastająca z jakimś radosnym rozpasaniem miasto, Biłgoraj wyglądałby na smutny i opuszczony. Nie ożywiają go witryny nędznych sklepów. Wieczorami z cichnącym gwarem ulicy miesza się pracowite kumkanie żab. Ale coś zaczyna się zmieniać...

eprasa.pl

W lecie 1956 roku grupa biłgorajskich licealistów wysłana została na budowę kanału Wieprz–Krzna, w lasy parczewskie. Była to wielka budowa. Nastrój był bojowy.

– Przez cały miesiąc kopaliśmy doły – wspomina Henryk Wujec. – Dopiero na koniec okazało się, że kopiemy nie w tym miejscu, co trzeba. I następna grupa przyjechała zasypywać.

Przez radio dobiegały do lasów parczewskich wieści z Poznania. Nie byli w stanie zrozumieć, co tam się dzieje. Dopiero na jesieni przyjechał do szkoły student z UMCS-u i powiedział, że ZMP jest rozwiązane.

Przez Biłgoraj przetaczała się właśnie fala wieców. Wiecowano w zakładach pracy, na rynku, przed domem kultury obok kościółka. Domagano się likwidacji prywatnych knajp i „żeby partyjni nauczyli się żyć jak my żyjemy, za pięćset złotych". Emil Lipian, późniejszy przewodniczący Rady Narodowej, dogryzał publicznie jednemu z mówców: „Ty, Oleś, tak dużo gadasz, a jeszcze niedawno przychodziłeś skarżyć na swego ojca, że ma na ścianie święty obraz".

Dyrektor liceum Wawrzyniec Dyrka, niedoszły jezuita i wolnomyśliciel, szanowany w mieście za nienaganne maniery, ubolewał z trybuny, że tylu wykwalifikowanych nauczycieli zostało usuniętych z zawodu. Żądano przekopania terenu pod UB, gdzie – jak uważano powszechnie – miało się znajdować wiele zwłok. Sekretarz miasta i powiatu, Józef G., gdzieś zniknął. Dominik Brzyski utrzymuje, że przebywał cały czas na grzybach lub na polowaniu. Postać ta – pochodząca ze wsi Kocudza – wsławiła się sentencją: „Ja tam nie jestem, towarzysze, alfons i omega… No, no, wy się nie uśmiechajta, towarzysze!"

Dominik Brzyski tymczasem zapewniał, że znalazł odpowiednią osobę na wolne miejsce I sekretarza. Był nią Józef Dechnik, który już raz, w latach 40., został sekretarzem, ale przeniesiono go do Olsztyna. Właśnie przyjął się nowy zwyczaj, żeby posłów – a Dechnik był również posłem Ziemi Biłgorajskiej – zabierać jak najdalej od swoich wyborców.

Dominik Brzyski zbytnio się nie przejmował wiecowaniem biłgorajan. O co tym ludziom chodziło? – Ja tam nie bywałem, nie wiem. Studenci przyjeżdżali i coś gadali.

Przeszła kandydatura Dechnika, to go cieszyło. Wraz z nim znalazła się we władzach grupa bliskich mu ludzi. – Było nas kilku, kilkunastu. Tych kapłanów, powiedziałbym.

Ludziom w Biłgoraju wydawało się, że o czymś decydują, dlatego wołali tak głośno. Tylko Kościół milczał.

Podchody

Zaraz po zakończeniu wojny Dominik Brzyski, przedwojenny komunista z podbiłgorajskiej wioski, został pełnomocnikiem PKWN do spraw zabezpieczenia opuszczonego mienia („Byłem wtedy wielki czynownik"). Korzystając ze swoich możliwości, sprowadził do dwóch odbudowujących się biłgorajskich kościołów spory ładunek drewna – 70 metrów sześciennych. Po paru dniach przyszli do niego – ksiądz dziekan z dużego kościoła i proboszcz kościoła z Puszczy Solskiej. „Nie wierzymy, pełnomocniku rządu, żeś pan jest niewierzący" – powiedzieli, otwierając butelkę mszalnego wina. „A wy myślicie, że ja wierzę, że wy wierzycie?". Taki był pierwszy akt długiej historii wzajemnych stosunków nowej władzy i starego Kościoła.

Pod koniec lat 40. księdzu prałatowi Janowi Mrozowi, proboszczowi parafii Puszcza Solska, zakazano nauczania religii na terenie parafii. Mógł co najwyżej jeździć do odległych wiosek w parafiach sąsiednich i tam uczyć dzieci. Począwszy od 1947 roku systematycznie go nękano, żeby założył u siebie księgi inwentaryzacyjne. Wystarczyło zresztą, żeby poszedł do urzędu skarbowego i powiedział, że takie księgi istnieją, władza byłaby zadowolona. – Ale biskupi powiedzieli, żeby tego nie robić. Władze nakładały na mnie stale z tego tytułu grzywny; niektórzy księża mieli nawet procesy – mówi ksiądz Mróz.

Naciski dotyczyły także przyjmowania od państwa pensji za nauczanie religii w szkole. Niezależnie od tego, czy ksiądz uczył religii, czy nie, miał być na etacie i otrzymywać pieniądze.

Preludium

Jerzy Skakuj został nauczycielem i razem z żoną poszedł pracować na biłgorajską wieś. Był rok 1951; Skakujowie trafili do Różańca, wsi akowskiej. To tutaj chłopi wybudowali w ciągu jednej nocy bez pozwolenia kościół i tu przez całą wieś nieśli na ramionach taksówkę z biskupem. Poprzednika państwa Skakujów wsadzono do więzienia za słuchanie zachodnich radiostacji. Nauczyciele w tamtych czasach nieprzerwanie zdawali egzaminy ideologiczne, bez końca wysyłano ich na szkolenia. Pouczano: „Nie wiecie, co robić, by lekcja była upolityczniona? Na biologii mówcie, że oko służy do tego, żeby widziało wroga ludu".

Jeden z partyjnych prelegentów dokonywał oceny pobytu rekolekcjonisty w gminie Aleksandrów i próbował zawstydzić nauczycieli, że tacy oporni i bez polotu: „Wy nic nie umiecie robić. A ksiądz jak chce, to ludzie płaczą, jak chce, to się śmieją, jak chce – klękają przed nim".

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl e1f842f673

Kronika księdza Jana Mroza tymczasem nabiera barw. Pod datą 29 sierpnia 1966 roku ksiądz zapisał: „Pojechałem na powitanie, jakie zgotowała Matce Bożej parafia Aleksandrów. W środku pochodu jechał wóz ozdobny, przybrany zielenią i kwieciem, na nim ksiądz proboszcz wiozący symbole Nawiedzenia – zapaloną świecę i Ewangelię".

Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej rozpoczynał peregrynację po kraju. Wśród wielkich wzruszeń i przygotowań omal uszedł uwadze zgromadzonych w Aleksandrowie fakt, że sam Cudowny Obraz został w Lublinie aresztowany, pozostały jego czcigodne symbole; oddawano im cześć tak jak wizerunkowi Maryi. W Biłgoraju pojawiły się również niesione ze czcią ramy.

– Przeżycie było okropne – wspomina ksiądz Mróz. – Z jednej strony bardzo wzniosłe, ale były też naciski na nas, żeby nie prowadzić Matki Boskiej główną ulicą, tylko bocznymi drogami. Ubek Śledź osobiście mnie męczył. Nalegał, żeby umniejszać pochody z Puszczy Solskiej do dużego kościoła. Mówił, że to wszystko kamuflaż, że prawdziwym celem peregrynacji jest polityka. Ja mu na to, czy słyszał przemówienie Prymasa, kiedy on nawoływał do jedności. A on: „Co innego się mówi, a co innego wychodzi". „Co takiego?" – pytam. „Mobilizacja, żeby można było walczyć o religię, jak zajdzie potrzeba". Ja na to: „Czyżby w XX wieku chciał pan taką brudną robotę robić, żeby o religię trzeba było walczyć? Nawet Murzyni w Afryce mają swobody religijne". A on znowu swoje: „Niech się ksiądz zwróci do władz o pozwolenie na przejazd przez miasto". „Ach – mówię – to już biskupi dawno załatwili". „Ksiądz ma na koncie obciążenia skarbowe, jeśli złoży ksiądz podanie, umorzymy je…" . Na koniec poprosił mnie Śledź, żebym nikomu nie wspominał o naszej rozmowie. „A czy to tajemnica, czy pan się wstydzi tego?". Wyszedł zły. „Na pewno zostanie ksiądz biskupem!"

▶ Gdy w końcu pękła fala

To, co zdarzyło się w Biłgoraju we wrześniu 1966 roku, przeszło wszelkie wyobrażenia i oczekiwania. Mecenasowi Markiewiczowi brakuje słów, żeby to opisać.

– Nagle pojawiają się na ulicach setki, tysiące ludzi. Ze śpiewem, z chorągwiami! Jadą dziewczyny wiejskie na koniach przykrytych kapami. W białych sukniach, na oklep, na piersiach mają święte obrazy zdjęte ze ścian. Chłopi robili banderie konne, samochodowe. Jechali jeźdźcy w mundurach kawalerii, za nimi ksiądz w bryczce… Nie można się było przestraszyć? Dla naszych władz był to szok.

– Płakałem z rozpaczy – mówi Dominik Brzyski. I dodaje: – Kiedy obserwowałem jedną i drugą stronę… No, nie wiadomo było, jak się zachować. Żeby w połowie XX wieku urządzać coś takiego? Miasto udekorowane, aż oczy bolały. Nawet ze smakiem… Wszędzie wisiały łuby od sit i znaki Maryjne… Ale człowiek Zachodu ma inne pojęcie wiary, religijności.

Niektórzy – nie byli to raczej przedstawiciele Zachodu – najwyraźniej stracili głowę. Jeden z wyższych urzędników administracji pobił pałką ludzi stawiających przed jego domem słupek z symbolami Matki Boskiej i ozdabiających go girlandami. Mimo starań pobitych sprawa nie znalazła finału w sądzie.

– Jakie to było wrażenie, gdy naraz zawyły klaksony wszystkich taksówek w mieście – wspomina profesor Adamczykowa. – Wzywali potem na kolegia taksówkarzy i oni wszyscy płacili.

Pani profesor widziała, jak milicjant kazał zapłacić 200 złotych kobiecie wieszającej na swojej bramie obraz. A ona dała mu 400 złotych! „Proszę, bo jeszcze drugi wywieszę". Sama pani Adamczykowa nie miała jednak odwagi, by udekorować budynek szkoły. Na zebraniu rady pedagogicznej dyrektor apelował o czujność, informując, że w całej okolicy mają miejsce „gorszące sceny" i „awantury" i daje się to odczuć także w różnych szkołach. „Dyrektorze, koleżeństwo!" – powiedziała pani Adamczykowa – „nie obawiajcie się. Nie będzie tu wieszania obrazów. Ale czy naród polski nie może stanąć na terenie szkoły? Czyja to jest własność, jak nie narodu?"

W nocy profesor Adamczykowa udawała się na pasterkę Maryjną i zauważyła, że jedzie za nią samochód z wygaszonymi światłami. Kiedy wracała nad ranem, zobaczyła, że przez szkolne okno na czwartym piętrze woźny wciąga na frontową ścianę ogromny obraz. Podskoczyła z radości.

– Ktokolwiek walczy z duchowieństwem – stwierdza Dominik Brzyski – niech wie, że skutek będzie zawsze przeciwny. To stało się w Polsce, a skutek jest zawsze fatalny.

– Myślę, że to, co się tutaj wtedy zdarzyło – podsumowuje mecenas Markiewicz wypadki 1966 roku – przerosło nawet Dechnika. Dlatego nie zareagował na poszczególne ekscesy swoich ludzi. On miał zawsze metodę łagodzenia. Wiedział, że miasto jest religijne. Tyle że dotąd toczyło się to według określonego rytuału. Nagłe fala pękła i to się wylało.

▶ Jeszcze jedna próba: chór

Kolejną próbą dla sekretarza Dechnika była sprawa chóru. W Biłgoraju zawsze lubiano śpiewać w kościele. – Ale przedtem to był chór – mówi chó-

eprasa.pl e1f842f673

rzystka Stefania Kwiecińska – jakby myszy piszczały. Chociaż byli w nim sędziowie i nauczyciele, był fryzjer, bardzo subtelny pan, który miał taki ładny baryton.

– Cała heca wybuchła, kiedy ksiądz dziekan Dmochowski z dużego kościoła sprowadził Czesława Fornala, nowego organistę – wspomina mecenas Markiewicz. – To był organista z klasą, absolwent konserwatorium. Chór rozkwitł, z satysfakcją słuchałem oratoriów. Nieco później powstał chór przy domu kultury i Fornala zatrudniono tam jako dyrygenta. W repertuarze była „Burza", pieśni partyzanckie i radzieckie. Chór stał się sławny, zdobywał nagrody na festiwalach pieśni zaangażowanej. Na organistę Fornala zaczęto pisać donosy. Co się wtedy wyprawiało! Ksiądz dziekan też mógł powiedzieć: Nie będziesz mi pan tutaj śpiewał „Sołowiej"!, ale on zachował zimną krew. I Dechnik sprawę uciął. Powiedział, że nie widzi problemu, i wrzenie ustało.

Nielicznym wiadomo było, że ksiądz dziekan Dmochowski utrzymuje z Dechnikiem towarzyskie kontakty. Była to czysto prywatna sympatia, bo ksiądz, przedwojenny kapelan Wojska Polskiego, nie mógł uchodzić za koniunkturalistę. Na przesłuchaniu w UB pojawił się kiedyś w mundurze oficera. Przeproszono go, że to pomyłka.

– Dmochowski to był patriota – mówi Dominik Brzyski – co prawda, to prawda. Pani by powiedziała: Boga miał w sercu, a ja to nazywam, że był człowiekiem. Gdybyż to praktykujący byli wierzącymi, jakże inaczej świat by wyglądał! My, starzy komuniści, zawsze twierdziliśmy, że ludzkość nie wymyśliła lepszego niż komunizm ustroju. Ale czy trzeba było robić aż tyle kodeksów, tyle paragrafów? Czy nie wystarczyło dziesięć przykazań?

„Zamknijcie mnie!"

Po likwidacji przez najlepszy z ustrojów drobnego przemysłu (głównie włókienniczego), który uczynił z miasta w latach 1957–1970 lokalną potęgę, i po reformie administracyjnej w 1970 roku, na której Biłgoraj mocno stracił gospodarczo, kulturalnie i prestiżowo, Dominik Brzyski na zebraniach partyjnych coraz rzadziej krzyczał, machał rękami i wygrażał pięściami. Cichł i gasł. Wreszcie wyciągnął Józefa Dechnika do lasu, jak zwykle czynił w chwilach zasadniczych. Było ognisko, koniak i kiełbaski. – Powiedziałem: Józef, ja zwariowałem, zamknijcie mnie. Wszyscy naokoło spokojni, milczą, to znaczy – ja tylko jestem chory, tylko mnie coś tu nie pasuje. Zamknijcie mnie dla mojego dobra. Wariatów trzeba izolować.

Ale już w czerwcu 1976 roku role się odwróciły i to Dominik Brzyski próbował podnieść na duchu Józefa Dechnika. – Daj nam, Panie Boże, takich komunistów jak Dechnik – wspomina ksiądz Mróz. – On według etyki żył.

Inne opinie miejscowych zdają się potwierdzać tę myśl.

– Nie był taki arogancki jak niektórzy partyjni, że niby co to ja jestem. Niestety, on był delikatny.

– Pięknie znał polską poezję, mimo że był prawie analfabetą.

– Polski Ghandi.

– Wychodził wcześnie rano, karmił ptaki, sprawdzał czystość w mieście.

– Mieszkał skromnie. Dostał mieszkanie obszerne, to innemu dał, bo był w potrzebie.

– Szofer, który go woził, mówił, że widział krzyżyk w samochodzie, zakryty, maleńki.

Wielu chciałoby, żeby to była prawda, ale sekretarz Dechnik przed śmiercią odprawił z domu księdza.

Kiedy odchodził na emeryturę – było to na kilka tygodni przed samobójstwem – dwaj sekretarze z Komitetu Wojewódzkiego z Lublina wręczyli mu na pożegnanie zegarek i teczkę oraz list od Babiucha.

– Taki zegarek i teczkę można było wręczyć sekretarzowi G., ale nie jemu – mówi mecenas Markiewicz – więc zaraz pojawiły się komentarze: „Służ panu wiernie, to ci teczkę dadzą". On nie zasłużył na takie potraktowanie. Jemu należały się róże i słowa od serca. On był w Argentynie jeszcze przed wojną. To nie był człowiek zaściankowy, kmiotek jakiś. Wiedział, jak to się kręci. Na plenach KC głos zabierał i mówił z sensem, nie co to byle jaki chłop, figurant, który jedzie całą noc do Warszawy i potem śpi na obradach. On walczył, budował tutaj drogi, przemysł, ściągał dzieci chłopskie do szkół.

Ludzkie domysły

Na temat samobójstwa krążą wciąż jeszcze po mieście różne domysły.

– Podobno list zostawił: „Nie o taką Polskę walczyliśmy".

– To było wtedy, kiedy cukier podrożał. Miał zorganizować wiec, ale powiedział, że niczego nie będzie odkręcał, no i – oko wypłynęło…

– Musiał być rozczarowany, kiedy Biłgoraj tak mocno przegrał po reformie administracyjnej. Uważał, że to polityka błędna. W czerwcu miał nakazane, żeby iść do zakładów pracy i powiedzieć, że podwyżki to dobra rzecz. Poszedł, spełnił ten obowiązek partyjny i strzelił sobie w głowę.

Jak było naprawdę? Nawet wszystkowiedzący mecenas Markiewicz wstrzymuje się od odpowiedzi.

eprasa.pl e1f842f673

Widział się z nim jeszcze kilka razy, niewidomym na jedno oko, psychicznie poturbowanym, zniedołężniałym, ale do drażliwego tematu już nie wracali. „Przecież nie będę go pytał: dlaczegoś pan strzelił sobie w głowę? Albo, czemuś nie strzelił pan sobie jeszcze w brzuch?".

Obchodzono go z lękliwym napięciem, milcząco. Z partii nie wystąpił. W Komitecie Miejskim zostawiono mu pokoik na górze, ale było jasne, że Józef Dechnik jest człowiekiem skończonym.

– Chciałem jakoś wyrazić mu uznanie – wspomina Henryk Wujec – iść z kwiatami, uściskać, ale nie mogłem znaleźć formuły. Bo właściwie co miałem powiedzieć? Pogratulować mu? Podziękować? Żałuję, że nie poszedłem.

W 1980 roku Janusz Różycki, działacz „Solidarności", najbardziej ideowy z nauczycieli, a z wyboru także katecheta przy parafii, został zagadnięty przez starszego pana z „S" z Lublina. „Idźcie koniecznie do Dechnika. To mój kolega. Czerwony, ale uczciwy."

– Poszedłem. Dwadzieścia minut tam spędziłem. „Przychodzę do pana, bo do pana też ludzie się zwracali, tak jak teraz do nas przychodzą". Słuchał, kiwał głową. Ale był, biedak, schorowany. „Za późno", powiedział. „Idźcie do sekretarza Kamińskiego. A jak będą trudności, wróćcie do mnie".

Na pogrzebie Józefa Dechnika były tłumy. – Jak pogrzeb doktora Pojaska, kiedy całe miasto wyległo – wspomina mecenas Markiewicz. – Przyjechali koledzy ze studiów, profesorowie medycyny z Warszawy, Lublina, Krakowa. Na przedzie szedł krzyż. U Dechnika – orkiestra strażacka.

Duma Dominika Brzyskiego

Z sekretarzem Kamińskim rzeczywiście „Solidarność" nawiązała kontakt. Spotykali się co miesiąc: szef „Solidarności", Kamiński i naczelnik miasta. Aż do stanu wojennego, kiedy Janusz Różycki poszedł siedzieć do Kwidzyna, a Mieczysława Kamińskiego usunięto ze stanowiska. Teraz jest w Szwecji, u syna.

Na Zachodzie jest też Roman Sokal, przyjaciel Henryka Wujca. Po 13 grudnia oddał legitymację partyjną. Przestał być dyrektorem biłgorajskiego muzeum, przez jakiś czas był nauczycielem we wsi Sól. Halina Prochowska, pełna werwy działaczka kulturalna – „nasza nieoceniona artystka" – jak mówi się w Biłgoraju, sprząta w Ameryce.

Gdyby nie przyroda zarastająca z jakimś radosnym rozpasaniem miasto, Biłgoraj wyglądałby na smutny i opuszczony. Nie ożywiają go witryny nędznych sklepów. Wieczorami z cichnącym gwarem ulicy miesza się pracowite kumkanie żab.

Ale coś zaczyna się zmieniać. Mnożą się prywatne budki z pieczywem i zieleniną. Wyrastają jak grzyby po deszczu butiki z ciuchami. Na dawnych wyrębach i podmokłych – do niedawna – łąkach szaleje budownictwo jednorodzinne. Domki z każdym rokiem mają lepsze proporcje. Młodzi ludzie jeżdżą masowo do Stanów Zjednoczonych, tak jak kiedyś jeździli do Lublina. Nie chcą patrzeć w stronę państwowych posad. Marzą im się łazienki w czekoladowym kolorze we własnych domach, które zdobędą bez proszenia kogokolwiek o łaskę, bez stania w kilometrowych kolejkach.

Prywatne interesy prowadzą dzieci Dominika Brzyskiego. On sam pęcznieje z dumy, kiedy chochlą miesza w wielkiej kazi zielonozłoty miód z własnej pasieki.

– Czasem coś się odezwie w człowieku. Może to dusza? A bo ja wiem…

* * *

Jeszcze dwa słowa wyjaśnienia. Winna jestem je czytelnikom i – nade wszystko – moim bohaterom. Nie zostali przeze mnie na bohaterów wykreowani. Są nimi. Prawdziwymi bohaterami. Nie tylko starzy akowcy – biłgorajscy inteligenci i rolnicy z okolicznych wiosek, którzy w czasie wojny przywozili na podwórko Wacława Skakuja ukryte w sianie niemieckie armaty. Nie tylko stary harcerz, dla którego konspiracja nie utraciła w PRL-u nigdy sensu. Nie tylko młodzi ludzie z „Solidarności"*. Myślę o odważnych i mądrych księżach, o nauczycielkach zwalnianych z pracy przed emeryturą, które w ciągu 40 lat przeróżnych nacisków i szykan nie wyparły się wiary i teraz pochylają się w skupieniu nad stołem, gdy z ich zeszytu przepisuję utrwaloną drobnym maczkiem modlitwę do Ducha Świętego. Kiedyś zaczynały od niej swoje lekcje. Myślę o starych lekarzach, którzy usiłują zachować niezmącone poczucie godności swojego zawodu i pogodę ducha, gdy zawalają ich paraliżujące pracę papiery. A także o tych, którzy pod koniec swojego życia musieli przyznać się do klęski młodzieńczych ideałów.

O ileż łatwiej jest być bohaterem w Warszawie, Gdańsku czy Krakowie. O wielkich i małych czynach dowiaduje się tam zaraz cały świat. A tutaj? Tutaj dookoła jest tylko las.

1989 rok. ■

---

* Janusz Różycki, nauczyciel wyrzucony z pracy w stanie wojennym, katecheta, organizator i działacz „S" w Biłgoraju, został pierwszym niekomunistycznym wojewodą zamojskim; był nim w latach 1990–1992. Zmarł w 2005 roku (uzup. 2024 rok).

eprasa.pl e1f842f673



Małgorzata Matuszak

Czym jest... asceza

Asceza jest terminem pochodzącym od starogreckiego słowa „askesis", które oznaczało „ćwiczenie, trening". Ascezę praktykowano w starożytności, aby osiągnąć równowagę wewnętrzną poprzez odcięcie się od wpływu świata oraz możliwość kontroli pragnień wewnętrznych. W tym przypadku oznaczać ona mogła zarówno ćwiczenia fizyczne, jak i praktyki duchowe. Mówiąc ogólnie, asceza to wyrzeczenie się. Jest to sposób życia, który polega na minimalizowaniu potrzeb życiowych oraz rezygnacji z dóbr związanych ze światem, a więc z czerpania przyjemności z uciech oraz zasobów świata zewnętrznego.

Asceza i dążenie do niej wynika po części z poczucia, że przesyt sprawia tyle samo bólu, co niedosyt, ale ten ostatni pomaga wypracować wewnętrzną dyscyplinę polegającą na nieuleganiu trudnościom życiowym. Asceza miała początkowo charakter etyczny i filozoficzny. Była metodą osiągania szczęścia i doskonałości. Z czasem pojawiła się również asceza religijna, praktykowana głównie w chrześcijaństwie, zarówno zachodnim, jak i wschodnim.

W chrześcijańskim sensie asceza jest drogą do spotkania z Bogiem, gdyż świat z dobrami i uciechami pogrąża człowieka w grzechu i oddala od Boga. Tylko praktyka ascezy, aktywnego i dobrowolnego wyrzeczenia się pokus płynących ze świata oraz zależności do niego, pozwala zbliżyć się do Boga, który przekracza świat i jest poza nim. Wszystko, co zaspokaja nas w świecie, jednocześnie nas do niego przywiązuje, dlatego aby wyjść na spotkanie Bogu, trzeba odseparować własną duszę od wpływu świata, pozostać w ciszy, samotności i oddać siebie Bogu, gdyż tylko dbając o duszę, osiągamy prawdziwe szczęście. Również starożytni upatrywali w ascezie wolności człowieka, a chrześcijaństwo brało też pod uwagę czystość wewnętrzną oraz świętość, dzięki którym możemy wyjść na spotkanie Bogu.

Asceza w sensie religijnym była więc metodą osiągania świętości w tym życiu mimo grzeszności natury ludzkiej i pokus, na które wystawiał ją świat, mamiąc przyjemnościami doczesnymi. Wyrzekając się przyjemności doczesnych, otwieramy się bowiem na wieczne spełnienie, które nie przemija. W ascezie pojawia się uznanie marności tego świata, o którym zaświadczał Kohelet, głęboki wzgląd polegający na rozumieniu, że czasem, gdy mamy czegoś mniej, możemy zyskać więcej, gdyż dobra duchowe są niewyczerpane, a dobra świata są ulotne i nie zaspokajają najgłębszej istoty człowieka, która może rozkwitnąć tylko w blasku rzeczywistości duchowej.

Współcześnie asceza znajduje również zastosowanie, choć może być szczególnie trudna w naszym konsumpcyjnym świecie. Aktualnie bowiem chcemy jak najwięcej mieć i gonimy za dobrami doczesnymi, a ascetyczne nastawienie dla wielu może być niezrozumiałe, a nawet absurdalne. Jednak jako rodzaj ćwiczenia duchowego, które pozwala skupić się na własnym wnętrzu i odseparować od wpływu świata, który co dnia bombarduje nas tysiącem bodźców, może być asceza również przejawem pewnej „higieny" psychicznej, która pozwala nam poszukać innych niż dobra doczesne źródeł szczęścia i spełnienia. Dla osób religijnych najwyższym sensem i celem ascezy będzie jednak szczęście spotkania duszy ludzkiej z Bogiem, które dzieje się poza tym światem, właśnie w akcie wyrzeczenia się wszystkiego, co nas z nim wiąże.

> Asceza może być również przejawem pewnej „higieny" psychicznej, która pozwala nam poszukać innych niż dobra doczesne źródeł szczęścia i spełnienia.

Asceci znani z historii często postępowali radykalnie i można dziś uznać ich metody ascetyczne za zbyt rygorystyczne, jak na sposób życia współczesnego człowieka. Ich celem było upodobnienie swojego życia do życia Jezusa i jak największy udział w Jego cierpieniu, co wiązało się z biczowaniem czy umartwianiem. Wnieśli oni jednak do historii naszej ludzkości swoją opowieść o drodze do świętości, która wymaga od człowieka ogromnej pokory, ale też hartu duchowego, któremu sprzyja ascetyczne życie. Do pewnego stopnia mogą oni nadal być wzorem dla człowieka w jego poszukiwaniach Boga. Szczególnie teraz, w okresie Wielkiego Postu, który przygotowuje nas do Świąt Zmartwychwstania Pańskiego. ■

eprasa.pl e1f842f673

Piotr Lisiewicz

Czy dziś ktoś jeszcze do nas tak mówi? Jakoś wyjątkowo dobrze zapamiętałem ten list Jana Pawła II do ludzi starych, który opublikowany został, co brzmi nieprawdopodobnie, prawie 25 lat temu. Może zapamiętałem go dlatego, że media pełne były wówczas uwag w stylu: czy ten papież musi się nadal pojawiać publicznie, mimo starości i chorób? List był na tę rozszalałą współczesność mocną odpowiedzią. Co czujemy, czytając fragmenty tego listu po ćwierć wieku? Niebywałe ciepło, z jakim we współczesnych czasach już się nie spotykamy. Mądrość, pozwalającą dostrzec sens w starości, która według popularnego powiedzenia „Panu Bogu się nie udała". Umiejętność snucia opowieści pokoleniowej o wspólnym doświadczeniu milionów rówieśników. Gdy czytam te słowa, mam przed oczami starego już Jana Pawła II mówiącego w oknie na Franciszkańskiej 3, że lekarstwem na starość jest także wiara w to, że niebawem czeka nas nowa młodość. Głębokie to i stokroć piękniejsze od zimnych teorii różnych fantastów…

Jan Paweł II

Twarze wyłaniające się z przeszłości

Szeregi naszych krewnych, przyjaciół i znajomych coraz bardziej się przerzedzają: uświadamiamy to sobie przy różnych okazjach, na przykład gdy spotykamy się z najbliższymi, w gronie kolegów z dzieciństwa, ze szkoły, ze studiów, z wojska czy z seminarium… Zarazem jednak głębokim pokojem napełnia mnie myśl o chwili, w której Bóg wezwie mnie do siebie – z życia do życia!

> *Miarą naszych lat jest lat siedemdziesiąt*
> *lub, gdy jesteśmy mocni, osiemdziesiąt;*
> *a większość z nich to trud i marność:*
> *bo szybko mijają, my zaś odlatujemy*
> (Ps 90 [89], 10).

1. W epoce, gdy Psalmista pisał te słowa, siedemdziesiąt lat uważano za wiek bardzo podeszły i niewielu przekraczało tę granicę; dzisiaj, dzięki postępom medycyny oraz lepszym warunkom społecznym i ekonomicznym, w wielu regionach świata ludzie żyją znacznie dłużej. Pozostaje jednak prawdą, że lata szybko przemijają, a dar życia, mimo towarzyszących mu trudów i cierpień, jest zbyt piękny i cenny, abyśmy mogli się nim znużyć.

Sam posunięty w latach, odczuwam zatem potrzebę nawiązania dialogu z wami. Czynię to, dziękując najpierw Bogu za dary i dobrodziejstwa, jakich udzielał mi obficie aż do tej chwili. Przemierzam w pamięci kolejne etapy mojego życia, splecionego z historią większej części obecnego stulecia, i widzę wyłaniające się z przeszłości twarze niezliczonych osób, w tym niektórych szczególnie mi drogich. Wiążą się z nimi wspomnienia wydarzeń zwykłych i nadzwyczajnych, chwil radości i przeżyć naznaczonych cierpieniem. Ponad tym wszystkim jednak widzę opatrznościową i miłosierną dłoń Boga Ojca. […]

2. Drodzy Bracia i Siostry, jest naturalne w naszym wieku, że powracamy do przeszłości, aby dokonać swoistego bilansu. Takie spojrzenie wstecz pozwala na spokojniejszą i bardziej obiektywną ocenę ludzi i sytuacji, z jakimi zetknęliśmy się w życiu. Mijający czas zaciera kontury wydarzeń i łagodzi ich bolesne aspekty. […]

▶ Jesień życia

5. Czym jest starość? Czasem mówi się o niej jako o jesieni życia – tak pisał już Cyceron – przez analogię do pór roku, następujących kolejno po so-

eprasa.pl e1f842f673

bie w życiu przyrody. Widzimy, jak w ciągu roku zmienia się otaczający nas świat, gdy patrzymy na góry i równiny, pola i doliny, lasy, rośliny i drzewa. Istnieje bliskie podobieństwo między rytmami biologicznymi człowieka a cyklami życia przyrody, której i on jest częścią. [...]

Jeżeli zatem dzieciństwo i młodość są czasem, w którym człowiek stopniowo uczy się swojego człowieczeństwa, rozpoznaje swoje możliwości, poniekąd tworzy projekt życia, który będzie realizował w wieku dojrzałym, to i starość nie jest pozbawiona szczególnej wartości, ponieważ – jak zauważa św. Hieronim – łagodząc namiętności „pomnaża mądrość i służy dojrzalszymi radami". W pewnym sensie jest to czas szczególnie nacechowany mądrością, którą zwykle przynoszą z sobą lata doświadczeń, jako że „czas jest znakomitym nauczycielem". Powszechnie znane są też słowa, którymi modli się Psalmista: „Naucz nas liczyć dni nasze, abyśmy osiągnęli mądrość serca" (Ps 90 [89], 12).

Ludzie starzy w Piśmie Świętym

[...] Pismo Święte zachowuje bardzo pozytywną wizję wartości życia. Człowiek niezmiennie jest stworzony „na obraz Boży" (por. Rdz 1, 26), a każdy wiek ma swoje zalety i zadania. Słowo Boże mówi wręcz z wielkim poważaniem o podeszłym wieku, tak że długowieczność jest postrzegana jako znak Bożej łaskawości (por. Rdz 11, 10-32). W przypadku Abrahama – którego starość ukazana zostaje jako przywilej – ta łaskawość przybiera postać obietnicy: „Uczynię bowiem z ciebie wielki naród, będę ci błogosławił i twoje imię rozsławię. [...]

Stary jest Mojżesz, gdy Bóg powierza mu misję wyprowadzenia ludu wybranego z Egiptu. Z mandatu Bożego dokonuje wielkich dzieł w służbie Izraela nie w latach młodości, ale w podeszłym wieku. [...]

7. Także w Nowym Testamencie, przeniknięty światłością Chrystusa, znajdujemy wyraziste postaci ludzi starych. Na początku Ewangelii Łukasza pojawiają się małżonkowie Elżbieta i Zachariasz, rodzice Jana Chrzciciela, „oboje już posunięci w latach" (por. 1, 7). Bóg okazuje im swoje miłosierdzie (por. Łk 1, 5-25. 39-79). Zachariasz otrzymuje zapowiedź narodzin syna, choć jest już stary, co sam stwierdza: „Jestem już stary i moja żona jest w podeszłym wieku" (Łk 1, 18). Podczas nawiedzenia Maryi jej sędziwa kuzynka Elżbieta, napełniona Duchem Świętym, woła: „Błogosławiona jesteś między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona" (Łk 1, 42), zaś w chwili narodzin Jana Chrzciciela Zachariasz wyśpiewuje hymn Benedictus. Oto wspaniała para starców przeniknietych głębokim duchem modlitwy.

Gdy Maryja i Józef przynoszą Jezusa do świątyni jerozolimskiej, aby ofiarować Go Bogu czy raczej wykupić Go zgodnie z Prawem jako pierworodnego syna, spotykają tam starca Symeona, który od dawna oczekuje Mesjasza. Bierze on Dziecię w ramiona, błogosławi Boga i wznosi swe Nunc dimittis: „Teraz, o Władco, pozwól odejść słudze Twemu w pokoju [...], bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie" (Łk 2, 29-30).

Obok niego znajdujemy Annę, osiemdziesięcioczteroletnią wdowę przebywającą nieustannie w Świątyni, której owego dnia dane jest zobaczyć Jezusa. Ewangelista podaje, że „sławiła Boga i mówiła o Nim wszystkim, którzy oczekiwali wyzwolenia Jerozolimy" (Łk 2, 38).

W sędziwym wieku jest też Nikodem, otoczony powszechnym szacunkiem członek Sanhedrynu. Przychodzi on do Jezusa nocą, aby nie zostać rozpoznanym. Boski Nauczyciel objawia mu, że jest Synem Bożym, który przyszedł, aby zbawić świat (por. J 3, 1-21). Ponownie spotkamy Nikodema w chwili pogrzebu Chrystusa, kiedy przynosi mieszaninę mirry i aloesu, pokonując lęk i ujawniając, że jest uczniem Ukrzyżowanego (por. J 19, 38-40). Jakże pocieszające są te świadectwa! Przypominają nam, że Bóg każdego wzywa, aby oddał Mu swoje talenty. W służbie Ewangelii wiek nie ma znaczenia.

A cóż powiedzieć o sędziwym już Piotrze, który zostaje powołany, aby poświadczyć wiarę męczeństwem? Pewnego dnia Jezus powiedział mu: „Gdy byłeś młodszy, opasywałeś się sam i chodziłeś, gdzie chciałeś. Ale gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a inny cię opasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz". [...]

W świetle nauczania i terminologii biblijnej starość jawi się zatem jako „czas pomyślny", w którym dopełnia się miara ludzkiego życia; zgodnie z Bożym zamysłem wobec każdego człowieka jest to okres, w którym wszystko współdziała ku temu, aby mógł on jak najlepiej pojąć sens życia i zdobyć „mądrość serca". „Starość jest czcigodna – czytamy w Księdze Mądrości – nie przez długowieczność i liczbą lat się jej nie mierzy: sędziwością u ludzi jest mądrość, a miarą starości – życie nieskalane". [...]

Strażnicy pamięci zbiorowej

9. W przeszłości otaczano ludzi starych głębokim szacunkiem. Łaciński poeta Owidiusz pisał, że „wielka była niegdyś cześć dla siwej głowy". Kilkaset lat wcześniej grecki poeta Fokilides napominał: „Szanuj siwe włosy, a mądrego starca otaczaj czcią jak własnego ojca".

eprasa.pl e1f842f673

A dzisiaj? Jeśli spróbujemy przyjrzeć się obecnej sytuacji, przekonamy się, że w niektórych społeczeństwach starość jest ceniona i poważana, w innych zaś cieszy się znacznie mniejszym szacunkiem, ponieważ panująca tam mentalność stawia na pierwszym miejscu doraźną przydatność i wydajność człowieka. [...]

10. Konieczne jest, abyśmy znów spojrzeli na życie jako całość z właściwej perspektywy. Właściwą perspektywę stanowi wieczność, każdy zaś etap życia jest ważkim przygotowaniem do niej. Także starość ma swoją rolę do odegrania w tym procesie stopniowego dojrzewania człowieka zmierzającego ku wieczności. Z tego dojrzewania czerpie oczywiste korzyści również środowisko społeczne, do którego należy człowiek sędziwy. [...]

Głęboką wymowę zyskują w tym kontekście słowa jednego z moich ulubionych poetów, który tak pisze:

Nie tylko przyszłość wieczną jest – nie tylko!...
I przeszłość, owszem, wieczności jest dobą:
Co stało się już, nie odstanie chwilką...
Wróci Ideą, nie powróci sobą.

„Czcij ojca i matkę"

12. [...] „Przed siwizną wstaniesz, będziesz szanował oblicze starca" (Kpł 19, 32). Czcić ludzi starych znaczy spełniać trojaką powinność wobec nich: akceptować ich obecność, pomagać im i doceniać ich zalety. [...]

Wszyscy znamy ludzi starych, którzy mogą być wymownym przykładem zdumiewającej młodości i żywotności ducha. Tych, którzy się z nimi stykają, potrafią słowem pobudzać do działania, dodając otuchy własnym przykładem. Oby społeczeństwo umiało w pełni docenić ludzi starych, którzy w pewnych częściach świata – mam na myśli zwłaszcza Afrykę – słusznie są darzeni szacunkiem jako „żywe biblioteki" mądrości, strażnicy bezcennego dziedzictwa ludzkiego i duchowego. Choć to prawda, iż w wymiarze fizycznym zazwyczaj potrzebują pomocy, prawdą jest też, że nawet w podeszłym wieku mogą być oparciem dla młodych, którzy stawiają pierwsze kroki w życiu i szukają swojej drogi.

Mówiąc o ludziach starych, muszę zwrócić się także do młodych z zachętą, aby towarzyszyli im swoją obecnością. Wzywam was, młodzi przyjaciele, byście traktowali ich wielkodusznie i z miłością. Starsi potrafią dać wam znacznie więcej, niż możecie sobie wyobrazić. [...]

13. Chrześcijańska wspólnota może wiele skorzystać dzięki obecności osób w podeszłym wieku. Mam na myśli zwłaszcza sferę ewangelizacji: jej skuteczność nie zależy w głównej mierze od sprawnego działania. W jakże wielu rodzinach wnuki poznają podstawy wiary dzięki dziadkom! Jednak ludzie starsi mogą wnosić dobroczynny wkład także w wielu innych dziedzinach. Duch działa, jak i gdzie chce, nierzadko posługując się ludzkimi środkami, które w oczach świata uchodzą za mało znaczące. [...]

Drodzy ludzie starzy, trapieni przez kłopoty ze zdrowiem lub problemy innego rodzaju, jestem całym sercem z wami. [...] Pamiętam zwłaszcza o was, wdowcy i wdowy, którzy zostaliście sami na ostatnie lata życia; o was, starzy zakonnicy i zakonnice, którzy przez wiele lat służyliście wiernie sprawie Królestwa niebieskiego; o was, drodzy bracia w kapłaństwie i biskupstwie, którzy z powodu przekroczenia ustalonej granicy wieku zrzekliście się już bezpośredniej odpowiedzialności pasterskiej. Kościół nadal was potrzebuje. [...]

14. Jest naturalne, że z upływem lat oswajamy się z myślą o „zmierzchu". Przypomina nam o nim choćby fakt, że szeregi naszych krewnych, przyjaciół i znajomych coraz bardziej się przerzedzają: uświadamiamy to sobie przy różnych okazjach, na przykład gdy spotykamy się z najbliższymi, w gronie kolegów z dzieciństwa, ze szkoły, ze studiów, z wojska czy z seminarium. [...]

Zarazem jednak głębokim pokojem napełnia mnie myśl o chwili, w której Bóg wezwie mnie do siebie – z życia do życia! Dlatego wypowiadam często – i bez najmniejszego odcienia smutku – modlitwę, którą kapłan odmawia po liturgii eucharystycznej: In hora mortis meae voca me, et iube me venire ad te – w godzinie śmierci wezwij mnie i każ mi przyjść do Siebie. Jest to modlitwa chrześcijańskiej nadziei, która w niczym nie umniejsza radości obecnej chwili, a przyszłość zawierza opiece Bożej dobroci. [...]

Gdy zaś nadejdzie chwila ostatecznego «przejścia», pozwól, abyśmy umieli ją powitać z pokojem w sercu, nie żałując niczego, co przyjdzie nam porzucić. Kiedy bowiem po długim poszukiwaniu spotkamy Ciebie, odnajdziemy też wszystkie prawdziwe wartości, jakich zaznaliśmy na ziemi, a także tych, którzy poprzedzili nas w znaku wiary i nadziei.

Maryjo, Matko ludzkości pielgrzymującej, módl się za nami «teraz i w godzinie śmierci naszej». Spraw, byśmy byli zawsze blisko Jezusa, Twojego umiłowanego Syna, a naszego Brata, Pana życia i chwały. Amen!

Watykan, dnia 1 października 1999, w dwudziestym pierwszym roku mego Pontyfikatu. ■

Tytuł pochodzi od redakcji „Nowego Państwa".

eprasa.pl e1f842f673

Marek Kalinowski

Nie tylko hip-hop. Młodzi grają jazz!

„Generacja jazz" to spotkanie z najmłodszą sceną polskiej muzyki jazzowej. Na składance wydanej przez U Know Me Records z pewnością nie brakuje zespołów i nazwisk, o których za parę lat będzie naprawdę głośno. Zanim to nastąpi, poznajmy ich debiut.

Rozpoczyna się dość leniwie, ale za to niezwykle apetycznie, bo… „Pizzą". Utwór gdańskiego składu Klawo brzmi trochę jak wakacyjna pocztówka z Włoch i to taka w sepii, z melancholijną linią klawiszy. Świetna perkusja, z gęstym rytmem, wyrywa z błogiej sjesty i jest niespodziewaną filiżanką mocnego espresso. Jeszcze mocniej uderzy drugi w kolejce zespół quietet, skutecznie podkręcając tętno i czujność słuchacza, tym razem bardziej gitarową eksplozją. A to dopiero początek, bo album zaskoczy nas wielokrotnie. Płyta „Generacja jazz" to faktycznie doskonałe danie, w którym wielość różnorodnych składników zapewnia bardzo ciekawą muzyczną ucztę.



Różni artyści, GENERACJA JAZZ, U Know Me Records

Pomysł przeglądu najmłodszej polskiej sceny jazzowej należy do warszawskiej wytwórni U Know Me Records. Na wydanej właśnie płycie znalazły się zespoły, które są świeżo po debiucie (m.in. USO 9001, Immortal Onion czy wspomniane Klawo) obok muzyków, którzy do nagrań dopiero się przymierzają (Kosmos i quietet). Ci ostatni wyłonieni zostali na przygotowanym przez wytwórnię konkursie. Warunkiem uczestnictwa był wiek wykonawców – wszyscy musieli być przed trzydziestką.

Podobna kompilacja, lecz prezentująca młody londyński jazz („We Out Here"), ukazała się parę lat temu w legendarnej Brownswood Records, Dzisiaj jej bohaterowie są doskonale rozpoznawalnymi gwiazdami na całym świecie. Ich składy mieszają się, poszukując wciąż nowych inspiracji. Na polskiej scenie realizacji takiego pomysłu bardzo brakowało. Płyta prezentuje zaledwie wąski kadr z naszego jazzowego podwórka, a już tutaj dość łatwo dostrzec, jak wielu zdolnych muzyków odkrywa. Wśród nich odnajdziemy godnych następców Tomasza Stańki, Michała Urbaniaka czy Krzysztofa Komedy, ale zanurzonych już w zupełnie innym świecie i nowych muzycznych kontekstach. Muzyków zafascynowanych hip-hopem, elektroniką i afrobeatem.

Choć „Generacji jazz" można posłuchać także w serwisach streamingowych, to sam pomysł został sformatowany pod kątem płyty winylowej, która jest oczkiem w głowie założycieli U Know Me Records. Znalazło to także konsekwencje w samych nagraniach. Aby na jednej stronie albumu zmieściły się cztery utwory, ich czas nie mógł przekraczać 5 minut. Dla ograniczonych wyłącznie fantazją jazzowych improwizatorów wydaje się to dość ostrym kryterium. Czuć to choćby w swojsko brzmiącym „Koziołku" zespołu Kosmos, gdzie już sama sugestia nazwą uruchamia skojarzenie ze ścieżką muzyczną do starej animacji o przygodach „Koziołka Matołka". Utwór mieści jednak o wiele więcej ciekawych pomysłów, a wciągający dialog między instrumentami żal jest przerywać po zaledwie czterech minutach.

Chciałoby się również, aby projekt „Generacja jazz" nie był jednorazowym przedsięwzięciem, być może urósł do rangi festiwalu, a jeszcze lepiej znalazł swoich naśladowców wśród innych wytwórni. Miejmy nadzieję, że to dobry początek nowej drogi, a tymczasem cieszmy się tym, co mamy, bo kompilacja stanowi doskonały punkt wyjścia do dalszych poszukiwań wśród najnowszej, krajowej muzyki jazzowej. ■

eprasa.pl e1f842f673



Łukasz Czarnecki

Na tropach Twardowskiego

Jedną z najbarwniejszych postaci polskiego folkloru jest mistrz Twardowski, czarnoksiężnik, który w zamian za magiczne moce sprzedał duszę diabłu, w efekcie czego został porwany przez biesy z karczmy „Rzym" i ostatecznie skończył jako pierwszy człowiek na Księżycu. Jego dzieje zna każde dziecko. Warto jednak zadać sobie pytanie, w jakich okolicznościach zrodziła się ta legenda i czy kryje się w niej ziarno prawdy?

eprasa.pl e1f842f673



FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl e1f842f673

Postać czarownika po raz pierwszy na scenie historii pojawia się w roku 1566, kiedy to został wydany „Dworzanin polski" autorstwa Łukasza Górnickiego. W rozdziale poświęconym sztuce żartowania znajduje się anegdota o dworzaninie króla Zygmunta Starego, który miał istnego hopla na punkcie sztuki czarnoksięskiej. Jego sprytny kolega chcąc wyleczyć przyjaciela z tej manii, wykorzystał jego naiwność i podając się za ucznia mistrza Twardowskiego, zaprezentował pokaz rzekomej czarnej magii – będący w rzeczywistości sprytną sztuczką. Umówiwszy się z kramarką handlującą pod zamkiem garnkami, zapłacił jej, by widząc umówiony znak dany przez niego z okna wawelskiej wieży, wzięła kij i stłukła cały swój towar. Następnie, będąc w baszcie, na oczach rozmiłowanego w czarodziejstwie druha udał, iż rzuca na przekupkę zaklęcie, w rzeczywistości dając jej sygnał chustką wywieszoną za parapet. Baba zrobiła to, za co dostała pieniądze, a następnego dnia naiwny szlachcic opowiedział o owym „cudzie" samemu królowi Zygmuntowi Staremu, który jednak wtajemniczony wcześniej w intrygę, nakazał dowcipnisiowi wyznać prawdę, co wielce zasromało ofiarę żartu, która od tej pory wyrzekła się czarnoksięstwa.

▶ Stuletni Twardowski urządza seans spirytystyczny

Wzmianka o mistrzu Twardowskim poczyniona przez Górnickiego miała stać się później podstawą nielichego zamieszania, gdy przyszło badaczom ustalać chronologię życia pierwowzoru legendarnego czarodzieja. Przez długi czas pozostawała jednak jedynym tekstem źródłowym opisującym tę postać. Dopiero w roku 1624 nadworny lekarz króla Zygmunta III Wazy – doktor Joachim Possel – ponownie wspomniał Twardowskiego w swojej historii Polski, informując, iż w roku 1551 po śmierci królowej Barbary Radziwiłłówny król wynajął czarnoksiężnika Twardowskiego, by ten wywołał ducha zmarłej. Skądinąd wiadomo nam, że taki seans spirytystyczny rzeczywiście się odbył, bo mówi o nim pochodząca z roku 1573 relacja renesansowego poety Jana Gizy. Sęk w tym, że wedle tego źródła całe wydarzenie miało miejsce w nocy z 7 na 8 stycznia 1569 roku na Zamku Królewskim w Warszawie. Co więcej, autor relacji, który doskonale zdawał sobie sprawę, że król padł ofiarą oszustwa, nie wspomina w nim nic o udziale w tym wydarzeniu Twardowskiego, podając, że mistrzynią ceremonii była wiedźma znana jako Wielki Ożóg. Następna wzmianka o słynnym seansie spirytystycznym jest już bardzo odległa w czasie od samego wydarzenia i pochodzi z roku 1710 ze zbioru kazań jezuity Stanisława Bielickiego, który chcąc ukazać czartowskie oszustwa, przywoływał historię o mistrzu Twardowskim wywołującym z diabelską pomocą fałszywą zjawę Barbary Radziwiłłówny.

Wydawać by się mogło, że późniejsza sława Twardowskiego powinna znaleźć jakieś odbicie w źródłach z epoki, w której żył, tymczasem postać tę aż do XVIII wieku owija kokon ciszy, z którego rzadko tylko dobywają się jakieś odległe głosy. Gdy w roku 1573 na sejmie elekcyjnym powołano komisję śledczą mającą wyjaśnić nadużycia, jakich w ostatnich latach życia monarchy dopuszczały się dworskie kamaryle, na czele których stała szajka składająca się z braci Jerzego i Mikołaja Mniszchów, podkanclerzego i biskupa krakowskiego Franciszka Krasińskiego oraz królewskiej faworyty Barbary Giżanki, w aktach z jej obrad próżno szukać osoby legendarnego mistrza. Zamiast niego pojawia się cała czereda wiejskich wiedźm, służący królowi za rajfura podczaszy Jakub oraz dwóch magów – Gradowski i niejaki Duran. Historykom odkrycie prawdy dodatkowo utrudniało zamieszanie wywołane przez Górnickiego – opisane przez niego na kartach „Dworzanina polskiego" wydarzenie datowano na lata 40. XVI wieku, a że o Twardowskim mówi się tam w czasie przeszłym, jego życie i śmierć cofano w czasie, umiejscawiając je bądź to w czasach długiego panowania Zygmunta Starego, bądź w ostatnich latach XV wieku. Tymczasem gdybyśmy przyjęli taką chronologię, to nawet jeśli co do datowania słynnego seansu spirytystycznego uwierzylibyśmy relacji Possela, w trakcie całego wydarzenia Twardowski dobiegałby setki!

Tymczasem z XVII wieku pochodzą kolejne relacje dotyczące maga, który jak się zdaje, w tym okresie powoli zaczął stawać się bohaterem ludowych legend. I tak w wydanym w roku 1697 anonimowym, wymierzonym w protestantów pamflecie katolickim „Apollo chrześcijański" przeczytać możemy w skardze na upadek religijności wśród mieszkańców Krakowa, że gród ten „Z Twardowskim przy Krzemionkach targował Cygana". Jest to bodajże pierwsza wzmianka źródłowa łącząca czarnoksiężnika z formacją skalną, którą dzisiejsi krakowianie znają skądinąd jako Skałki Twardowskiego.

Twardowski zawitał też do poematu Andrzeja Morsztyna z roku 1675, w którym znaleźć można następujące słowa: „Trzy dziewieci rozumów mają i sztuk tyle / Że ich na Twardowskiego nie zjeździsz kobyle". Najwybitniejszy w XX wieku badacz zajmujący się problematyką sławnej legendy, chemik i historyk, wybitny znawca dziejów renesansowego okultyzmu – dr hab. Roman Bugaj – wzmiankę o owej kobyle uznał za znaczącą. Z kolei w roku 1684 pojawia się w spisanym przez Piotra Michałowskiego opisie Tykocina legenda przypisująca wybudowanie tamtejszej grobli czartom pozostającym na usługach Twardowskiego. Tak mniej więcej wygląda stan źródeł z wieku XVII, czyli obok re-

eprasa.pl e1f842f673

lacji Górnickiego i Possela najbliższych czasom, w których żyć mógł pierwowzór Twardowskiego.

Maszkary w zwierciadle zaklęte

XVIII wiek przynosi za to wysyp nowych rewelacji na temat mistrza czarnej magii. Od czasów Zygmunta Augusta minęło wówczas tyle lat, że fakty zostały całkowicie zapomniane, a ich miejsce zajęła fantazja ludowa. Niektórym z ówczesnych mieszkańców Rzeczpospolitej legendarny czarnoksiężnik zaczął wręcz mylić się z poetą Samuelem Twardowskim, o czym pisał w roku 1720 ukraiński pamiętnikarz Samuel Wełyczko. Co ciekawe, właśnie z czasów saskich pochodzą najwcześniejsze wersje legendy mówiącej o lądowaniu Twardowskiego na Księżycu, które na dobre miały trafić do literatury polskiej z początkiem XIX wieku.

lecz ze specjalnego stopu stali), ujrzeć można w nim straszliwe maszkary z głębi piekła. Stąd przez dekady artefaktu nie zdejmowano ze ściany, na której wisiał, i nie poddawano odpowiednim zabiegom konserwacyjnym. Pęknięcie tafli tłumaczono zaś uderzeniem kluczami do zakrystii, zadanym według różnych wersji legendy bądź to przez jednego z proboszczów, kościelnego czy też ucznia szkoły parafialnej w odpowiedzi na przeraźliwą wizję, jaką ukazało mu zwierciadło.

Polacy nie gęsi, swego maga mają

Moda na opowieści o Twardowskim, która wykreowała jego kanoniczny znany nam dziś obraz, zaczęła się w pierwszej połowie XIX wieku wraz z zapanowaniem w literaturze polskiej nurtu romantycznego. Nagłe zainteresowanie postacią czarnoksiężnika było poniekąd echem niemieckiej fascynacji doktorem

Ernest Sulimczyk-Świeżawski, usiłując wpisać naszego czarnoksiężnika w wizje duchowego krajobrazu ludów indoeuropejskich, wywodził podanie o nim z... Indii, uważając za jego pierwowzór sanskryckiego boskiego kowala – Tvashtriego!

Paradoksalnie największy wkład w wypromowanie czarnoksiężnika mieli, o ironio!, katoliccy księża, zwłaszcza ci wywodzący się z szeregów jezuitów. W krążących wówczas między klerem zbiorach kazań postać Twardowskiego pojawia się niejednokrotnie. Wykorzystywano go wszechstronnie do celów tak różnych, jak krytyka pijaństwa czy walka z napływającymi z Zachodu prądami oświeceniowymi. Warto tu odnotować, że na początku XVIII wieku do kościoła farnego w Węgrowie na Podlasiu trafiło słynne zwierciadło Twardowskiego, podarowane zarządzającym świątynią księżom reformatom przez ród hrabiów Krasińskich. Artefakt ten, który oglądać można do dziś, uważany jest przez historyków sztuki za wyjątkowy zabytek na skalę europejską, niestety bardzo nadgryziony już zębem czasu. Począwszy od XIX wieku, kiedy sporządzono pierwszy jego naukowy opis, trwają spory co do tego, czy rzeczywiście należał on do słynnego czarnoksiężnika i w jakich celach był używany. Generacje badaczy widziały w nim tzw. zwierciadło magiczne, nie były jednak w stanie wyjaśnić zasady jego działania i efektów, które mogłoby owo działanie przynosić. Lud zabobonny zaś wierzył przez ponad dwa i pół wieku, że spoglądając w metalową taflę (lustro wykonane jest nie ze szkła, Faustem, wywołanej sukcesem dramatu Goethego. Pozbawieni własnej państwowości Polacy, nie chcąc być gorszymi od Niemców, zaczęli szukać własnego mistrza czarnej magii, by przeciwstawić go Faustowi. Wiele elementów z legendy tego pierwszego przeniknęło wówczas do opowieści o jego polskim odpowiedniku, a niektórzy z co bardziej zapalczywych literaturoznawców, kierując się posuniętymi do ekstremum sentymentami, próbowali wręcz dowieść, iż pierwowzorem legendarnego niemieckiego czarodzieja był Polak z Krakowa.

Najsłynniejszym z powstałych podówczas utworów poświęconych tej postaci pozostaje ballada Adama Mickiewicza „Pani Twardowska", znana każdemu uczniowi polskiej szkoły podstawowej. Wiele innych dzieł pokrył już kurz zapomnienia, jak choćby powieść Józefa Ignacego Kraszewskiego „Mistrz Twardowski" (sam pisarz wątpił jednak w historyczność swego bohatera) czy dramat „Twardowski na Krzemionkach".

Olbrzymim zainteresowaniem odwiedzających Kraków turystów zaczęła cieszyć się wówczas tzn. „Księga Twardowskiego", przechowywana w ówczesnej czytelni Biblioteki Jagiellońskiej. Historia spisanego gotycką czcionką rękopisu jest sama w sobie

eprasa.pl e1f842f673

bardzo ciekawa. Prawdziwy tytuł jego brzmi „Księga dwudziestu sztuk" i stanowi on swego rodzaju encyklopedię sumującą całą wiedzę ludzi przełomu średniowiecza i renesansu. W połowie XVII wieku w wyniku sporów w gronie profesorskim pomiędzy zwolennikami wolnej myśli naukowej i kontrreformacji, manuskrypt został przygnieciony marmurową płytą, pod którą leżał na stole czytelni ponad sto następnych lat. Wyjęty ostatecznie ze skrytki w czasach Komisji Edukacji Narodowej, został oprawiony w pokryte skórą deski i wystawiony na widok publiczny. Zwiedzającym prezentowano go jako księgę sztuk magicznych, spisaną osobiście przez mistrza Twardowskiego, a uniwersyteccy przewodnicy z całkowitą powagą pokazywali odciśnięty na pergaminie w miejscu otwarcia manuskryptu czarny ślad czarciej łapy, będący w rzeczywistości niczym innym jak plamą inkaustu.

Powiedzieć, że opinia społeczna była rozczarowana wiadomościami upublicznionymi przez Bandtkiego, to jak nie powiedzieć nic. Prawie natychmiast po tym, jak trafiły one w obieg, przeciwko wnioskom w nich zawartym wystąpił pisarz i dziennikarz Konstanty Majeranowski, który na łamach jednego z numerów wydawanej przez siebie „Pszczółki Krakowskiej" z roku 1821 w artykule „O Twardowskim" ostro zaatakował uczonego bibliofila, nie szczędząc przy tym wycieczek pod osobistym adresem Bandtkiego, którego oskarżał o to, iż jest on „Szwabem i lutrem" pragnącym ukraść Polakom postać Twardowskiego, by zastąpić go „jakimś Żydkiem".

Sam Majeranowski nie powiedział ostatniego słowa w zakresie badań nad mistrzem sztuki czarnoksięskiej. Wydawca „Pszczółki Krakowskiej" stworzył bowiem własną hipotezę dotyczącą historyczności tej postaci, którą oparł (wedle własnych słów) na starych

W wydanym w roku 1697 anonimowym, wymierzonym w protestantów pamflecie katolickim „Apollo chrześcijański" przeczytać możemy w skardze na upadek religijności wśród mieszkańców Krakowa, że gród ten „z Twardowskim przy Krzemionkach targował Cygana".

Od Krakowa do Indii

Nagła popularność Twardowskiego sprawiła, że jego postać stała się atrakcyjnym tematem dla historyków i literaturoznawców, zwłaszcza tych żądnych rozgłosu. Początek XIX wieku przyniósł pierwsze badania naukowe dotyczące ewentualnej historyczności słynnego czarodzieja, przynosząc wysyp hipotez, z których znaczną część stanowiły pomysły cokolwiek egzotyczne.

Jednymi z najważniejszych kroków na drodze do naukowego zbadania interesującego nas tematu były te postawione przez Jacka Idziego Przybylskiego, a do literatury naukowej wprowadzone piórem Samuela Bandtkiego. Uczeni dżentelmeni, działający w Krakowie w pierwszych dekadach po rozbiorach, poddali analizie przechowywaną w czytelni Biblioteki Jagiellońskiej wspomnianą już „Księgę dwudziestu sztuk", której autorstwo przypisywano mistrzowi Twardowskiemu. Badania wykazały, że ową przekazywaną z pokolenia na pokolenie informację można włożyć między bajki, zaś sam rękopis jest w rzeczywistości dziełem żyjącego w czasie wojen husyckich czeskiego teologa, erudyty i mistrza uniwersyteckiego – Pawła z Pragi zwanego Żydkiem.

dokumentach znalezionych w tynieckim klasztorze benedyktynów. Inna rzecz, że poza redaktorem Konstantym nikt inny nigdy owych tekstów nie widział, więc można z dużą dozą pewności przyjąć, iż istniały one tylko w bujnej dziennikarskiej wyobraźni Majeranowskiego. Wedle tej wersji Twardowski żył w XV wieku i ukończywszy studia na Akademii Krakowskiej, wyemigrował do Moguncji, gdzie w obawie przed szykanami ze strony Niemców zmienił nazwisko na Faust, pisane też jako Fust (które to miano znamy skądinąd z druków wydanych w tym okresie przez oficynę należącą do zwącego się tak jegomościa), po czym wszedł w spółkę z Gutenbergiem i wraz z nim wynalazł maszynę drukarską, co przyniosło mu potem sławę czarodzieja. Czyli teraz już nie tylko okazuje się, że najsłynniejszy mag Niemiec był Polakiem, lecz jeszcze odpowiedzialnym za wspaniałe odkrycie sztuki drukarskiej jest nasz rodak! Trudno tu oprzeć się skojarzeniom z powstałą w XXI wieku w Portugalii tezą głoszącą, iż Kolumb nie był genueńczykiem, lecz miał polskie korzenie, będąc w rzeczywistości synem króla Władysława Warneńczyka, który cudownie przeżył bitwę pod Warną. Jedna i druga historia, choć świetnie nadające się na tytułową stronę gazety (pa-

eprasa.pl e1f842f673

miętajmy, że Majeranowski był dziennikarzem), mają w sobie tyle samo prawdy – czyli nic.

Kolejna XIX-wieczna i uznawana dziś za absurdalną hipoteza, którą pierwszy wysunął Tadeusz Czacki, utożsamiała Twardowskiego z działającym w XIII wieku polskim uczonym mnichem i badaczem optyki – Witelonem. Najdalej posunął się jednak Ernest Sulimczyk-Świeżawski, który usiłując wpisać naszego czarnoksiężnika w wizje duchowego krajobrazu ludów indoeuropejskich, wywodził podanie o nim z… Indii, uważając za jego pierwowzór sanskryckiego boskiego kowala – Tvashtriego.

Tymczasem w roku 1864 pojawiła się nowa relacja źródłowa rzucająca trochę więcej światła na postać legendarnego maga. Kazimierz Władysław Wójcicki w artykule opublikowanym na łamach „Tygodnika Ilustrowanego" informował o odkryciu rękopisu XVI-wiecznego biskupa kijowskiego – Józefa Wereszczyńskiego, spisanego w roku 1578, a będącym tekstem wspominkowym o jego bliskim przyjacielu – zmarłym biskupie krakowskim Franciszku Krasińskim. W piśmie owym wyczytać można było, iż purpurat nieboszczyk za młodu został wysłany na studia do Wittenbergi, gdzie spędził jakiś czas, po czym na prośbę rodziny, bojącej się, iż ucząc się na zdominowanym przez reformatorów uniwersytecie, młodzieniec odejdzie od wiary katolickiej, wrócił do kraju, by kontynuować studia na Akademii Krakowskiej. Tym, co najbardziej nas jednak w tej chwili interesuje, jest to, że biskup kijowski w swojej relacji wspomina, iż to właśnie w Wittenberdze Krasiński spotkał Twardowskiego, pod którego kierunkiem zgłębiał sztuki magiczne, a wracając do ojczyzny, zabrał go ze sobą. Wedle dalszej części rękopisu, gdy Franciszek Krasiński zaczął robić karierę na dworze, zostając podkanclerzym i biskupem krakowskim, frukty popłynęły też do jego protegowanego czarnoksiężnika, któremu powierzono urząd koniuszego.

Rozwiązanie zagadki?

W ostatnich latach istnienia PRL-u dr hab. Roman Bugaj, o którym już wspominaliśmy, podjął się zadania ostatecznego wyjaśnienia tajemnicy osoby mistrza Twardowskiego. Dokonawszy obszernej kwerendy i konfrontując ze sobą poszczególne źródła, doszedł do ciekawych wniosków, składających się na podpartą solidnymi argumentami teorię.

Uczony, kierując się relacją Wereszczyńskiego, zbadał rachunki dworu Zygmunta Augusta, koncentrując się na stanowisku koniuszego. Nie znalazł tam nic o Twardowskim, za to w dokumentacji, począwszy od roku 1563, wielokrotnie pojawiało się nazwisko Laurentius (Lorenz) Dhur, figurujące jako obroczny. Krótko przed swą śmiercią Zygmunt August awansował Dhura na koniuszego litewskiego. Osobnik ten opisywany był też jako Laurentius Szwab. Bugaj porównał ową wzmiankę z protokołami komisji śledczej badającej nadużycia na królewskim dworze, w których o żerowanie na królewskiej naiwności oskarżono między innymi maga Durana oraz „pewnego Szwaba". Dhur i Duran brzmią bardzo podobnie, można też przypuszczać, że w obu badanych źródłach mowa o tym samym dworzaninie szwabskiego pochodzenia, którym, co wiemy z rachunków królewskich, był Dhur właśnie.

Kolejnym tropem podjętym przez Bugaja było miejsce spotkania Twardowskiego z Krasińskim, czyli Wittenberga. Tu znów przyszło badaczowi zanurzyć się w archiwalia, dokładnie w spis studentów uczęszczających na tutejszą uczelnię w pierwszej połowie XVI wieku. Twardowskiego wśród nich nie było, za to badacz ponownie spotkał starego przyjaciela – Lorenza Dhura, którego immatrykulacja została odnotowana w roku 1532, czyli sześć lat przed przyjazdem do miasta Krasińskiego. Jako miejsce pochodzenia studenta podano Norymbergę w… Szwabii!

Tak więc dr hab. Bugaj miał już solidne postawy, by podejrzewać, że Lorenz Dhur z Norymbergii i Twardowski to jedna i ta samo osoba. Wskazywały na to relacja Wereszczyńskiego, rachunki królewskiego dworu i archiwa uniwersytetu w Wittenberdze. Wspomniane przez nas zwierciadło z kościoła farnego w Węgrowie również pasowało do tej układanki, świątyni podarowali jej krewni Franciszka Krasińskiego, będącego, jak wskazywały źródła, protektorem Dhura-Twardowskiego. Artefakt, jak głosi tradycja, czarownik zapisał mu w spadku, zaś po śmierci biskupa przez następne pokolenia pozostawał on w rękach jego krewnych.

Pozostaje tylko zadać pytanie, dlaczego norymberczyk Lorenz Dhur został zapamiętany jako Twardowski? Przyczyną całego zamieszania jest anegdota przytoczona przez Łukasza Górnickiego w „Dworzaninie polskim". Roman Bugaj postawił tezę, że historyjka ta, napisana w okresie, gdy pogrążony w pogłębiającej się depresji Zygmunt August praktykował czarnoksięstwo, otaczając się różnego rodzaju wiedźmami i mistrzami nauk tajemnych, w rzeczywistości była ironiczną krytyką porządków panujących na królewskim dworze. Oczywiście Górnicki nie mógł otwarcie zaatakować monarchy, więc za swój cel obrał jednego z jego faworytów, stojącego stosunkowo nisko w dworskiej hierarchii Lorenza Dhura. Jednak i tak chcąc się na wszelki wypadek zabezpieczyć przed królewskim gniewem, pisarz umieścił akcję anegdoty w czasach Zygmunta Starego, a norymberskiego czarnoksiężnika przechrzcił, nadając mu polskie nazwisko. Jego wybór nie był jednak przypadkowy, z dokumentacji wynika, że Dhur używał niekiedy też łacińskiego miana Durus – słowo to znaczy zaś „twardy" – stąd też Twardowski. ■

eprasa.pl e1f842f673



Krzysztof Karnkowski

Miłość i zdrada w cieniu historii i Tatr

Prawica, przynajmniej piórami części publicystów, widzi w „Białej odwadze" film antypolski, lewica odbrązawianie historii. Ja natomiast uważam, że to dobry artystycznie film, z którego można wyciągnąć wnioski, które zapewne samych twórców dzieła mogłyby zaskoczyć.

Film „Biała odwaga" Marcina Koszałki wchodzi do kin w dość wyjątkowym momencie dla debat o historii Polski. Trwa burza wokół zaproponowanych zmian w podstawie programowej, z której wycina się wiedzę o polskim bohaterstwie i bohaterach. Film Koszałki pokazuje zdradę części społeczności góralskiej, łatwo przechodzącej pod niemieckie panowanie.



Bez fajerwerków, ale...

8 lat rządów PiS nie spełniło zapewne oczekiwań publiczności marzącej o profesjonalnym, wysokobudżetowym kinie historycznym i tożsamościowym. Ostatnie lata przyniosły jednak wiele produkcji, które wyobraźnia młodych twórców wzniosła na przyzwoity, a zarazem atrakcyjny dla widza poziom. Mam wrażenie, że nie zawsze potrafimy to zresztą docenić. Przykład? Spora część konserwatywnych odbiorców przekreśliła dobre moim zdaniem „Orlęta. Grodno 1939", ponieważ bohaterem filmu Krzysztofa Łukaszewicza był żydowski chłopak mierzący się z antysemityzmem części swoich kolegów. Umknęło im jednak, że nie jest to kolejna opowieść o polskim antysemityzmie, a wręcz przeciwnie – o atrakcyjności, można by rzec „promieniowaniu" polskości, będącej ideałem, romantycznym wzorcem dla młodego chłopca. A przy tym Łukaszewicz pokazał w bardzo mocny sposób piekło sowieckiej inwazji, temat wciąż w naszym kinie reprezentowany w sposób niewystarczający lub toporny.

Pojawiło się wiele produkcji o Wyklętych, o ludziach Kościoła, wreszcie znów trochę zjedzony przez kontrowersje, lecz moim zdaniem broniący się, choć wpadający w scenach obozowych i więziennych estetykę „torture porn" – dramat „Raport Pilec-

eprasa.pl e1f842f673

kiego". Co więcej, wiele z tych filmów, często współprodukowanych przez TVP, weszło szybko również do oferty Netfliksa, czyniąc z tego niezbyt cenionego przez konserwatystów miejsca potencjalne źródło wiedzy historycznej młodych polskich (i nie tylko polskich) widzów. „Raport" trafił nawet na światowe pirackie serwisy filmowe, co zwolenników legalizmu raczej nie ucieszy, lecz z punktu widzenia polskiej polityki historycznej nie jest już tak złą wiadomością.

Pochwała zdrady. Czy na pewno?

Od początku było wiadomo, że „Biała odwaga" nie będzie filmem z tego nurtu. Niektórzy obawiają się wręcz, że to raczej powrót do za dobrze znanej nam pedagogiki wstydu. Czy tak jest rzeczywiście? Zaczynem tej historii jest konflikt dwóch braci, spór o dziewczynę i podejście do życia. Choć Bronka (Sandra Drzymalska) kocha Andrzeja (Filip Pławiak), a obie rodziny chcą połączyć siły za pomocą małżeństwa, ojciec dwóch braci wymusza jej ślub z Maćkiem (Julian Świeżewski), według niego bardziej odpowiedzialnym. Podczas wesela Maciek dowiaduje się, że panna młoda jest już w ciąży i przyjdzie mu wychować dziecko brata. Andrzej wkrótce opuszcza dom rodzinny, rzucając się w wir życia krakowskiej bohemy. Jako znakomity taternik poznaje młodego Niemca, fascynata gór i teorii o germańskich korzeniach górali, który wkrótce da koncesji Goralenvolku naukowe podstawy, a ze swojego przyjaciela uczyni jednego z jego liderów. Nowe porządki porwą tych z górali, którzy dobrze wspominali czasy Austro-Węgier i nie zdążyli jeszcze zżyć się na nowo z niepodległą Polską. Inni uznają to za zdradę i tak dojdzie do dramatycznych podziałów i krwawych porachunków.

Historycy (a także górale, również ci skłonni do pewnego rozgrzeszania amatorów współpracy z Niemcami) będą się na to zżymać, Koszałka broni się, że skupia się tu na losach ludzi, historię biorąc bardziej za tło. Znając film, jestem skłonny interpretację tę przyjąć, ponieważ to niewątpliwie atrakcyjne tworzywo nie zostało zmarnowane, co więcej – widzę w historii braci pewne bardzo ludzkie, a zarazem nawet szlachetne rysy, ujawniające się zwłaszcza w relacji Macieja i Bronki. Wbrew części prawicowej publicystyki, a nawet i niektórym wypowiedziom osób związanych z produkcją filmu, nie widzę w tej opowieści ani zbyt łatwej relatywizacji, ani tym bardziej pochwały zdrady. Choć hitlerowskiej brutalności nie widzimy tu za wiele, niemniej w wielu scenach jesteśmy świadkami bezduszności i okrucieństwa tej maszyny. Co warto zresztą dodatkowo docenić, twórcy zadbali o realia od strony językowej, górale mówią tu swoją gwarą w wersji odpowiedniej dla miejsca i czasu, ale i z najeźdźców nie da się tu zrobić dzięki temu zabiegowi pozbawionych ojczyzny i pochodzenia nazistów – porozumiewają się po niemiecku.

Tatrzański majestat

Warto wspomnieć, że producent, firma Monolith Films, promuje film m.in. sceną subtelnego upokorzenia niemieckiego oficera. A ludzie, cóż, ludzie są ludźmi. Kto bardzo chce zobaczyć w tym atak na polskość i świętości – zobaczy, ale można ten film potraktować zupełnie inaczej. Wręcz jako podwójne ostrzeżenie. Żyjemy w czasach, w których znów, jak przed laty, granice i tożsamości są kwestionowane, a wszelkie konflikty rozgrywane, również przez siły zewnętrzne. Patriotom „Biała odwaga" może dać do myślenia, ponieważ pokazuje zagrożenie, jak łatwo, czasem przez sprawy pozornie nieistotne, zawalić może się konstrukcja państwa, a wraz z nią więzi międzyludzkie, ale też ludzi z kulturą, tożsamością, państwem już nie jako administracją, a ideą czy wartością. Równocześnie jednak los tych, którzy postanawiają związać się z pozornie atrakcyjniejszym, chwilowo mającym przewagę najeźdźcą, licząc na spokój, przywileje i autonomię, okazuje się być jak najgorszy. Dla wczoraj jeszcze „swoich" są zdrajcami, dla nowych panów zaś godni pozostają tak długo, jak długo są użyteczni, płacąc za swoje złudzenia coraz wyższą cenę. To bardzo cenna lekcja na dzisiejsze czasy, choć nie wiem, czy ci, którym bardzo wadzi polskość z jej wartościami i problemami, będą ją w stanie przyswoić.

Dlatego też nie spieszyłbym się z przekreślaniem filmu, i to nawet pomimo, że nie pomagają nam ani niektóre polityczne deklaracje Marcina Koszałki, ani dość jednostronna promocja w mediach liberalnych, w tym w przejętym TVP Info. „Biała odwaga" to film wielowymiarowy, a przede wszystkim udany artystycznie. Do wspomnianej już pieczołowitości językowej dodać trzeba dobre aktorstwo, realistyczną scenografię i etnografię, a do tego wszystkiego wyjątkową tatrzańską przyrodę. Ta pokazana jest w całym swoim pięknie, majestacie i grozie równocześnie, chwilami determinując losy bohaterów i odgrywając pierwszoplanową rolę w tej opowieści. Jeśli więc ktoś kocha góry, powinien się wybrać do kina choćby dla szczytów, wspinaczek, zamieci i lawin. Z tego samego powodu pewien dyskomfort mogą w kinie poczuć osoby z lękiem wysokości. Natomiast obawiających się o swoje uczucia patriotyczne, ze świadomością wszystkich wspomnianych już zastrzeżeń, na seans namawiam. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl e1f842f673



Kalina Błażejowska, „Bezduszni. Zapomniana zagłada chorych”, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023

Krzysztof Wołodźko



Piekło najsłabszych. Zapomniana niemiecka zbrodnia

Reportaż „Bezduszni. Zapomniana zagłada chorych” Kaliny Błażejowskiej przywołuje jedną z najmroczniejszych i najbardziej przemilczanych historii z czasów II wojny światowej. Na terytorium podbitej Polski Niemcy wymordowali co najmniej 20 tysięcy pacjentów szpitali psychiatrycznych i pensjonariuszy domów opieki.

eprasa.pl e1f842f673

Niepełnosprawne dzieci, chorzy psychicznie dorośli, niesamodzielni seniorzy – obywatele II Rzeczypospolitej po napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę stali się ofiarami nieludzkiej narodowosocjalistycznej doktryny. Niemcy wprzęgli raczkującą nowoczesną eugenikę w służbę rasistowskiej doktryny, by pozbyć się „życia niewartego życia". Jeszcze w latach 20. XX wieku w Republice Weimarskiej ukazała się rozprawa „Przyzwolenie na niszczenie życia niegodnego życia" pióra prawnika Karla Bindinga i psychiatry Alfreda Hochego. Uczeni Niemcy chcieli „odejścia od zasad przesadnego humanizmu" w imię „wyższej państwowej moralności". Ich zdaniem dopuszczalne było zabijanie ciężko chorych na podstawie orzeczenia komisji złożonej z lekarza i prawnika.

▶ Decyzja Hitlera w sopockim Grand Hotelu

Adolf Hitler szybko wprzągł „eutanazję" w projekt „wzmocnienia rasy niemieckiej". Jeszcze przed dojściem do władzy w styczniu 1933 roku dowodził: „Gdyby w Niemczech przybywało co roku milion dzieci i jednocześnie ubywało siedemset–osiemset tysięcy najsłabszych, wtedy w ostatecznym rachunku wynikiem byłoby wzmocnienie sił narodu". Kanclerz III Rzeszy ściśle wiązał realizację planu eksterminacji „chorych niegodnych życia" z rozpoczęciem wojny. Ale jeszcze w połowie września 1939 roku dał ciche przyzwolenie na mordowanie chorych dzieci. Niemieccy lekarze i położne zostali zobligowani do rejestrowania nieuleczalnie chorych dzieci, które kierowano do „dziecięcych oddziałów specjalistycznych", gdzie były one zabijane w zgodzie z niemieckim prawem.

We wrześniu 1939 roku Hitler zdecydował o metodach zabijania chorych i upośledzonych dorosłych. Stało się to na naradzie w sopockim Grand Hotelu. Tak powstał plan „T4". To skrót od Tiergartenstrasse 4. Pod tym berlińskim adresem działała Państwowa Wspólnota Pracy Rzeszy na rzecz Zakładów Opiekuńczo-Leczniczych. Instytucja o tak szumnej nazwie opracowała plan, w wyniku którego „osoby niechciane" duszono dwutlenkiem węgla. Niemiecki statystyk Edmund Brandt, na etacie w hitlerowskim ministerstwie rolnictwa, podał, że od stycznia 1940 do sierpnia 1941 roku zagazowano ponad 70 tys. chorych osób (najczęstsza oficjalna diagnoza – schizofrenia). Brandt wyliczył, ile niemieckie państwo oszczędzi „na piżamach, łóżkach, chlebie, maśle, mięsie i kawie dla pacjentów". Sięgał daleko: „wyszło mu, że do końca 1951 roku »uzysk« wyniesie ponad osiemdziesiąt milionów Reichsmarek".

Skoro Niemcy nie mieli najmniejszej litości dla zbędnych obywateli i obywatelek własnego kraju, tym bardziej nie mieli jej dla ludności podbijanych państw. Na czele z Polską. Na ziemiach II Rzeczypospolitej (i w kolejnych napadniętych przez Niemcy krajach) „eutanazja" jeszcze mocniej łączyła się z kwestią rasową. Zbrodnia na najsłabszych miała oswajać naród niemiecki ze zbrodnią, moralnie i etycznie znieczulać z masową eksterminacją.

▶ „Morderstwo przestało stanowić kwestię sporną"

Prokurator Marian Kaczmarek z Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich zwracał uwagę kilkadziesiąt lat temu, że tym sposobem kładziono podwaliny „pod przyszłe ostateczne rozwiązanie »kwestii« nie tylko żydowskiej, ale i słowiańskiej. [...] W planach narodowosocjalistycznego kierownictwa »eutanazja« miała być i była istotnie doświadczalnym poligonem i kuźnią kadr, przeznaczonych do planowanego mordowania Żydów oraz innych przeciwników politycznych i światopoglądowych". Miało to niezwykle destrukcyjny wymiar społeczny: „W 1945 roku zinstytucjonalizowane morderstwo było już czymś normalnym w takim stopniu, że przestało stanowić w Niemczech kwestię sporną".

Za analizą socjologiczną, ponurą lekcją historii idei i opisem faktów kryje się rzecz najstraszniejsza. Ludzka gehenna, niezawinione cierpienie najsłabszych. Nie tylko tragedie dorosłych osób z chorobami psychicznymi, zniedołężniałych starców i upośledzonych dzieci, lecz także cierpienie i złamane życie polskich lekarzy i lekarek psychiatrów, którzy przed wojną pracowali choćby w dziecięcej klinice psychiatrycznej w Lublińcu (Opolszczyzna), domu opieki w Śremie (moje rodzinne okolice w Wielkopolsce) i zakładu psychiatrycznego w mazowieckim Gostyninie.

Kalina Błażejowska w swoim reporterskim śledztwie przywraca ich ludzkiej pamięci – jej książkę czyta się ze ściśniętym sercem i poczuciem, że bestialstwo wobec najsłabszych jest najcięższą i największą ludzką chorobą. Czasem przejawia się w dzikich barbarzyńskich formach, czasem przybiera postać najnowocześniejszej w swoich czasach, „cywilizowanej" machiny państwowej, instytucjonalnej, technologicznej. Tak było właśnie w przypadku III Rzeszy. Wykształceni służbiści, oddani nauce, medycynie, ekonomii i administracji Niemcy pytali o to, jak jeszcze efektywniej zabijać „zbędnych ludzi". Jak zrobić, żeby było szybciej i taniej? Co uczynić, by masowe zabijanie nie budziło niepotrzebnych niepokojów?

eprasa.pl e1f842f673

Droga przez mękę

Solidnie ukryta zbrodnia potrzebuje dobrze dobranych słów. Mordowano po lasach, nad jeziorami, w samochodach transportowych. Mordowano w Poznaniu, w Forcie VII. Jeden ze świadków tak opisał gehennę pacjentów zakładu psychiatrycznego w podpoznańskich Owińskach, która dokonała się jeszcze w październiku 1939 roku: „Przez odgłosy czynnego motoru przebijały jakieś dziwne głosy. Nienaturalne śmiechy, jęki, płacze, śpiewy wesołe bądź ponure, słowa rzucane bezładnie, głosy kobiet przeklinających bądź zanoszących się od śmiechu, piski dzieci. [...] Z aut ściągano lub znoszono ludzi anormalnych lub, jak przypuszczaliśmy, ludzi nieuleczalnie chorych, bo część całkiem normalnie się zachowywała, a po wyglądzie można było poznać, że są to prostytutki. Były i zdziecinniałe staruszki, i dzieci kilku- i kilkunastoletnie. Wszyscy zostali wpędzeni wśród bicia i wyzwisk do jednej z cel. Jakiś czas dolatywały jeszcze głosy, później już wszystko ucichło".

Czasem droga przez mękę trwała dłużej: chorych z Gostynina wywieziono także do Kobierzyna pod Kraków. Tamtejszy kierownik zakładu Alex Kroll stosował „terapię głodową": tysiąc kilkokalorii dziennie dla chorych niepracujących, tysiąc dwieście dla pracujących. Jeden ze świadków zezna po wojnie: „Chorzy puchli z głodu [...]. Siostry zakonne pracujące na oddziałach przychodziły często do mnie i płacząc, opowiadały, że chorzy proszą o pożywienie i że nawet w momencie śmierci wołają o chleb".

Ukrywaniem ponurego procederu w Kraju Warty zajmowała się Centrala do spraw Przenoszenia Chorych. Albo Komando Pogodowe z Inowrocławia. Niemcy dbali o pozory. W Kraju Warty miejscem fikcyjnych zgonów i pochówków „zbędnych ludzi" mógł być Zakład dla Ubogich w Śremie. Po wojnie jeden z polskich świadków zeznał przed Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich, że wiosną 1940 roku musiał narysować szkic cmentarza zakładowego. „Potem otrzymałem polecenie zrównania z ziemią istniejących grobów. Na tym miejscu uformowano nowe nagrobki" – mówił Walenty Zalewski.

Komando Pogodowe i „zwykli Niemcy"

A czym zajmowało się Komando Pogodowe? Oficjalnie – pomiarami meteorologicznymi. W praktyce: paleniem zwłok z rozkopywanych grobów ofiar niemieckiej „eutanazji". Najcięższe prace przy rozkładających się zwłokach wykonywali Żydzi, Polacy wskazywali odpowiednie, ustronne miejsce i przygotowywali prowizoryczne krematorium, Niemcy zawiadywali procederem. Esesmani za udział w akcji dostawali dodatek motywacyjno-relaksacyjny („piętnaście Reichsmarek dziennie i trzy czwarte litra wódki co dziesięć dni"). Polacy trafiali do obozów koncentracyjnych, Żydzi byli rozstrzeliwani na miejscu. Jako miejsce palenia zwłok świadek, uczestnik wydarzeń, wskazał „las koło Śremu, być może Mosiny". Już po przejściu frontu, w 1945 roku, Polacy zaczęli dociekać prawdy. Pośród popiołów i rozkładu zdarzały się makabryczne obrazy dobrze zachowanych zwłok: „Mężczyzna w pasiaku, ktoś nagi, ktoś owinięty w kraciasty płaszcz, brodaty starzec przykryty kocem, dużo zwyczajnie ubranych kobiet, starcy w czarnych garniturach".

Za zbrodnią stali konkretni ludzie. Lekarze, którzy wysyłali starców, zniedołężniałych i osoby z niepełnosprawnościami na śmierć. Był wśród nich psychiatra Fritz Wernicke, który do podbitej Polski przyjechał z Nadrenii. Przez kilka wojennych lat, jako szef placówki w Gostyninie, tłumaczył swoim podwładnym, że „chorzy wyjeżdżają do innych zakładów". Wraz z wysłannikiem „berlińskich władz psychiatrycznych" wybierał „pacjentów niezdolnych do pracy". A to oznaczało dla nich zagładę. Po wojnie niemiecka komisja denazyfikacyjna, stworzona na rozkaz władz okupacyjnych, wpisała go do kategorii ludzi, którzy odnieśli korzyść z nazistowskiego reżimu, ale nie byli jego jawnymi zwolennikami. To pozwoliło mu pracować dalej w zawodzie pod własnym nazwiskiem. Wernicke do końca życia w 1961 roku przyjmował chorych w Dortmundzie.

Chorzy psychicznie „pod natryskami"

Lubliniec przed II wojną światową należał do Polski. Polacy wywalczyli go sobie w III powstaniu śląskim. Tamtejszy szpital psychiatryczny sięgał tradycjami końca XIX wieku – początkowo trafiali tam alkoholicy w ciężkim stanie, a także górnicy i hutnicy, którzy nie radzili sobie z traumą po wypadkach. W czasach II Rzeczypospolitej to Śląski Zakład Psychiatryczny. Dyrektorem szpitala był Emil Cyran, powstaniec śląski, działacz plebiscytowy. Przed wybuchem wojny trafił do „Specjalnej księgi Polaków ściganych listem gończym". To wyrok śmierci od niemieckiej III Rzeszy. Życie Cyrana uratowało powołanie do wojska w sierpniu 1939 roku. I obóz dla internowanych polskich żołnierzy w Rumunii.

Pełniącym obowiązki dyrektora placówki w Lublińcu, przemianowanej na Landes-Heil und Pflegeanstalt Loben, został Ernst Buchalik, od 1933 roku członek NSDAP, komisarz w Reichsbund Deutsche Familie, przykładny ojciec wielodzietnej rodziny.

eprasa.pl e1f842f673

RDF dbał o „odnowę biologiczną narodu" i „selekcję zdrowych, to jest pełnowartościowych rodzin wielodzietnych niemieckiej krwi". Partia nie miała jednak do Buchalika pełnego zaufania. W tajnych raportach czytamy: „nieco miękki", „gorliwy katolik", „ma silne powiązania klerykalne, ale na zewnątrz stara się sprawić wrażenie, że żyje zgodnie z ideologią NSDAP", „w kategoriach politycznych absolutnej gwarancji udzielić nie można". Pełniący obowiązki dyrektora musiał udowodnić swoją pracą i postawą, że zaprzedał duszę diabłu. Był szczególnie bezwzględny dla Polaków, tak by pozbyć się odium nazwiska. I skrupulatnie wykonywał swoje obowiązki w służbie eugenicznej zbrodni.

Buchalik szybko zajął się selekcją pacjentów. Wytypował kilkudziesięciu Żydów uznanych za psychicznie chorych. Przyjechały po nich samochody Towarzystwa Użyteczności Publicznej dla Transportu Chorych (niem. Gekart). To instytucja III Rzeszy służąca do transportu ludzi przeznaczonych do zagłady do sześciu „zakładów opiekuńczo-leczniczych ze szczególnym wyposażeniem do procedury humanitarnej". Zimą 1941 roku Buchalik wytypował ponad 850 kolejnych chorych. Po nich karetki Gekartu przyjechały wiosną i latem tego roku. „Procedura humanitarna" kończyła się „pod natryskami" z tlenkiem węgla w saksońskim sanatorium Pirna-Sonnenstein. Błażejowska szczegółowo opisuje cały proceder. Nie zapomina o opisie ruchomych rusztów i dwóch opalanych koksem piecach do spalania zwłok, dostarczonych przez berlińską firmę Kori, która wyposażała również obozy zagłady – i pod niezmienioną nazwą działała do 2012 roku, „projektując między innymi system ogrzewania kościołów i spalarnie odpadów".

Terror i zbrodnie na dzieciach

„W czasie II wojny światowej na terenie miejscowego szpitala psychiatrycznego Niemcy dokonali mordu na 194 dzieciach w wieku od pięciu do siedemnastu lat, które zabijano zastrzykami z barbituranów" – tyle mówi lakoniczny wpis w Wikipedii. Reportaż Błażejowskiej daje nam znacznie więcej informacji; wtajemnicza w piekło. Dyrektorką Jugendpsychiatrische Klinik Loben, czyli Kliniki Psychiatrycznej dla Dzieci i Młodzieży w Lublińcu, została Elisabeth Hecker, zdecydowana zwolenniczka „państwowej eugeniki". NSDAP miała do niej pełne zaufanie („zawsze aktywna i niezawodna towarzyszka"). Kilka lat przed wojną jasno określiła swoje poglądy: „występowanie umysłowych i fizycznych defektów to nie hańba do ukrycia, lecz nieszczęście do zwalczenia". Gdy ludobójcza machina dostała zielone światło, Frau Hecker od przymusowej sterylizacji przeszła do zawiadywania masowymi morderstwami.

Hecker na swoje ofiary najczęściej typowała dzieci między drugim a czternastym rokiem życia. Nieletni trafiali do Lublińca z Dolnego Śląska i Saksonii. Wskazania? Nocne moczenie, powtarzanie więcej niż jednego roku szkolnego, zaburzenia ruchu i zachowania. To autorskie pomysły dyrektorki. Nad nimi był tajny okólnik MSW Rzeszy i kancelarii Führer, który jako możliwy powód eksterminacji dzieci do lat siedemnastu początkowo wskazywał „upośledzenia umysłowe, mongolizm, mikrocefalię, wodogłowie, zniekształcenia wszelkiego rodzaju, zwłaszcza kończyn, poważny rozszczep czaszki lub kręgosłupa itp., paraliż, włącznie z chorobą Little'a [zespołem Downa – K.W.]". By nie wzbudzać zbędnych niepokojów, jako powód ściągania małych pacjentów do Lublińca podawało się nowatorską terapię. Część rodziców dostawała nakaz umieszczenia dziecka w szpitalu w Loben.

Ani okruch zbrodni nie może się zmarnować

Na czym polegała terapia na otoczonym złą sławą oddziale B? „Jak najwięcej barbituranów i jak najmniej kalorii". Buchalik kazał podawać luminal dzieciom nawet pięć razy na dobę – wyjaśnia Błażejowska. Bardziej oporne dzieci dostawały też zastrzyki z morfiny lub skopolaminy. Terapii służyły: zamykanie w izolatkach, bicie, wychładzanie, podtapianie. Zachowanie ofiar, także w agonii, poddawane było skrupulatnym opisom, standaryzowane w odpowiednich rubrykach, stymulowane kolejnymi okrucieństwami.

Ani kruszyna zbrodni nie mogła się zmarnować. Wszystko mogło się przecież przydać niemieckiej nauce, technologii i przemysłowi. Buchalik i Hecker byli gorliwi, ale nie byli „działającymi na własną rękę sadystami. Są współpracownikami Komitetu Rzeszy do spraw Naukowego Opracowania Ciężkich Chorób Uwarunkowanych Dziedzicznie i Konstytucjonalnie". Konsultowali swoje zbrodnie z wyżej postawionymi lekarzami, którzy decydowali: „zgoda na terapię wyżej wymienionego dziecka nie została jeszcze wydana". Sprawa miała zaczekać do końca 1943 roku.

Od lat nie miałem tak dużego oporu przed lekturą, jak w przypadku „Bezdusznych" Kaliny Błażejowskiej. To straszna książka. Tym straszniejsza, że żyjemy w świecie, w którym wołanie „nigdy więcej wojny", z całym jego dobrze zrozumiałym kontekstem czasów pogardy, znów wydaje się rozpaczliwym wołaniem na próżno. Ale ten reportaż oddaje sprawiedliwość cieniom najsłabszych i zapomnianych. To rzecz bezcenna. ■

eprasa.pl e1f842f673

NAWALNY A ROSYJSKI IMPERIALIZM

Piotr Grochmalski



FOT. SERGEI ILNITSKY/PAP/EPA



Aleksiej Nawalny wyrastał w specyficznym środowisku, przesiąkniętym sowieckim imperium i na styku dwóch etnosów – rosyjskiego i ukraińskiego. Taki świat kształtował jego młodą wyobraźnię. Dla niego rosyjski imperializm był oczywistą wartością. Oburzała go korupcja, bo osłabiała Rosję. Dlatego był też przeciw Putinowi i jego KGB-owskiej bandzie, która okradała imperium. Nie krytykował jednak Putina za jego politykę międzynarodową, za zbrojenia. On także chciał wielkiej i silnej Rosji.

Putin, wydając polecenie zabicia Aleksieja Nawalnego tuż przed zbliżającymi się w Rosji prezydenckimi wyborami, dawał jasny sygnał, że eliminuje opcję alternatywną wobec jego władzy na Kremlu.

Breaking news

To Angela Merkel naciskała na Putina, aby Nawalny, po próbie jego otrucia, mógł być przewieziony ze szpitala w Omsku do wojskowej kliniki Charité w Berlinie. Gdy został uratowany i usunięto skutki użycia trucizny z grupy nowiczok, osobiście odwiedziła go kanclerz Niemiec. Tak później relacjonował owo spotkanie: „Drzwi się otworzyły, wszedł mój lekarz i Merkel. Byłem pod wrażeniem, jak dobrze zna Rosję i moją sprawę. Ona zna niektóre szczegóły lepiej niż ja". Berlin chciał, niemal po 104 latach, dokonać podobnego manewru jak z Leninem w kwietniu 1917 roku, gdy w wagonie eskortowanym przez niemieckich żołnierzy przewiózł go przez linię frontu do Piotrogrodu, aby wywołał rewolucję w Rosji. Nawalny dał się namówić Merkel. Był przekonany, że będzie pod szczególną ochroną Niemców, co zapewni mu bezpieczeństwo. Bo Putin nie odważy się na fizyczne wyeliminowanie kanclerskiego faworyta. Powrót jego osobistego wroga miał wywołać wielką falę protestów i być też zachętą dla miękkiej, kremlowskiej frakcji, aby wymienić podpułkownika KGB na bardziej „europejski" model. Miała być zmieniona jedynie fasada. To wzmocniłoby relacje między Berlinem i Moskwą w momencie, gdy Putin był coraz bardziej niecierpliwy w realizacji swoich geopolitycznych interesów.

Przybycie Nawalnego do Rosji relacjonowały niemal wszystkie agencje światowe. Umieściły tę wiadomość na pierwszym miejscu – Aleksiej Nawalny, pięć miesięcy po tym, jak dwukrotnie podległe Putinowi służby próbowały go zabić, 17 stycznia 2021 roku rzuca Putinowi wyzwanie i wraca do Rosji z żoną Julią i bratem Olegiem. Jego aresztowanie i film wyemitowany 19 stycznia w serwisie YouTube, przygotowany przez jego Fundację Walki z Korupcją, o gigantycznym pałacu zbudowanym dla Putina w Gelendżyku nad Morzem Czarnym, wywołały w Rosji falę protestów. 23 stycznia w 120 miastach Rosji 200 tys. ludzi wyszło na ulice. Od rozpadu Związku Radzieckiego był to największy społeczny protest przeciwko Kremlowi. Połowa protestujących to byli ludzie młodzi. Policja zatrzymała 3700 osób.

Peter Dickinson z Atlanta Cuncil wskazuje, że „Putin od dawna obawiał się perspektywy rewolucji na Majdanie w stylu ukraińskim w samej Rosji. W obliczu niepokojów narastających na wschodnich i zachodnich krańcach kraju […] może teraz uznać, że nadszedł czas, aby usunąć Nawalnego, który jest jedną z nielicznych postaci publicznych w dzisiejszej Rosji z potencjałem do przewodzenia ogólnokrajowemu ruchowi protestu przeciwko reżimowi". W tym samym czasie, gdy policja w środę 27 stycznia 2021 roku wchodziła do mieszkań opozycjonistów w Rosji, aby ich zastraszyć przed spodziewaną drugą falą protestów, Putin z Kremla, za pomocą wideo skierowanego do uczestników Światowego Forum Ekonomicznego w Davos, wyjaśniał, iż „Rosja jest częścią Europy, zarówno pod względem geograficznym, jak i przede wszystkim kulturowym. W rzeczywistości jesteśmy jedną cywilizacją".

To nie była samobójcza misja

W trzecią rocznicę swego powrotu do Rosji, 17 stycznia 2024 roku, Nawalny złożył oświadczenie, w którym wyjawił przyczyny: „Wszystko jest tak naprawdę bardzo proste. Mam mój kraj i moje przekonania i nie chcę rezygnować ani z tego, ani z tego. Nie mogę zdradzić ani jednego, ani drugiego. Jeśli twoje przekonania są czegoś warte, to powinieneś być gotów ich bronić, a jeśli trzeba – to ponieść jakieś ofiary" – głosi oświadczenie. Tłumaczył, że skoro brał udział w wyborach i obiecywał Rosjanom, że ich nie zawiedzie, to powrót do kraju jest spełnieniem obietnicy danej wyborcom. „Tak się złożyło, że teraz w Rosji za moje prawo do posiadania i nieukrywania moich poglądów muszę zapłacić odsiadką w pojedynczej celi. […] Ale nie wyrzeknę się ani moich idei, ani mojej ojczyzny" – stwierdził.. Wracał z poczuciem własnej siły. Był na fali. Jego wielka kampania, ujawniająca korupcję lokalnych przedstawicieli Jednej Rosji, przyczyniła się do tego, że w regionalnych wyborach we wrześniu 2019 roku gwałtownie spadło poparcie dla przedstawicieli putinowskiej partii władzy. W połowie lipca 2020 roku w Chabarowsku ludzie masowo wyszli na ulice. Protestowali przeciw aresztowaniu gubernatora Kraju Chabarowskiego, Siergieja Furgała, który w 2018 roku pokonał człowieka Putina, Wiaczesława Szporta. Furgał był z Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji Żyrinowskiego, a więc należał do ugrupowania jednoznacznie lojalnego wobec Putina. Wygrał miażdżąco z człowiekiem, który był głową lokalnej, skorumpowanej mafii trzymającej władzę. A jednak w Moskwie zdecydowano się wymienić Furgala. Po jego aresztowaniu pod zarzutem zabicia w przeszłości kilku osób, Putin wysłał w jego miejsce Michaiła Diegtiarowa. Region eksplodował. Dziesiątki tysięcy ludzi zbuntowały się przeciwko Kremlowi. Robili to co tydzień – w mieście liczącym 580 tys. co dziesiąty człowiek brał udział w akcji oporu. Fala rozlewała się na inne miasta – na półmilionowy Irkuck, milionowy Ka-

eprasa.pl e1f842f673

zań, stolicę Tatarstanu, na 700-tysięczny Krasnodar. Zaczęły się pojawiać hasła solidarności z protestującymi na Białorusi. Domagali się też ustąpienia Putina. W badaniach sondażowych Centrum Lewady przeprowadzonych pod koniec lipca 2020 roku 83 proc. Rosjan potwierdziło, że słyszało o protestach. Aż 45 proc. oceniło je pozytywnie, 26 proc. neutralnie, a jedynie 17 proc. negatywnie. Była to katastrofa wizerunkowa Kremla. Fala protestów stopniowo opadała, ale trwały one niemal nieprzerwanie do aresztowania Nawalnego po jego powrocie do kraju.

▶ Wówczas wydawało się, że pokonał śmierć

FSB próbowała go zabić w momencie, w którym zakładano na Kremlu, że jest w stanie rozpalić głębokie emocje na Syberii. Rutynowy lot. 20 sierpnia 2020 roku. Samolot startuje z Tomska – cel Moskwa. Dystans 2,2 tys. kilometrów, około 3,5 godziny. To ważna informacja. Aleksiej Nawalny wraca ze swoją rzecznicz-ką, Kirą Jarmysz. Nagle zaczyna się pocić, dusić. Prosi, aby Kira mówiła do niego. Chce słyszeć ludzki głos. Potem traci przytomność. Liczy się każda minuta. Ratownicy medyczni już na pokładzie podejmują działanie. Pilot decyduje się na awaryjne lądowanie w Omsku. Opozycjonista przewieziony jest do szpitala. Nagle przybywają do budynku funkcjonariusze FSB, zabezpieczają teren. Wstępna diagnoza – „zatrucie niezidentyfikowanym środkiem psychodysleptycznym". Potem pełna blokada informacji. Według późniejszych ustaleń niemieckich lekarzy, podano mu bojowy środek trujący z grupy nowiczok. Próba otrucia Nawalnego miała miejsce, gdy wracał po intensywnych spotkaniach w syberyjskich miastach. Trwały przygotowania opozycji do jesiennych wyborów parlamentarnych. A to właśnie Dalekowschodni i Syberyjski Okręg Federalny są tymi obszarami, gdzie najwyraźniej widać pęknięcia w imperium Putina.

W latach 20. XX wieku powstała tu Republika Dalekiego Wschodu. A pod koniec istnienia Związku Sowieckiego, w 1990 roku, powstało Porozumienie Syberyjskie, które domagało się statutu odrębnej republiki. Na kilka miesięcy przez upadkiem ZSRS powstał też Ruch na rzecz Republiki Dalekowschodniej. Nastroje były wówczas coraz bardziej radykalne, a Partia Niepodległości Syberyjskiej z Borysem Pietrowem na czele zaczęła otwarcie głosić ideę utworzenia własnej państwowości. Nadal żywa jest na wschodzie Rosji pamięć tamtych wydarzeń. Putin tworząc Dalekowschodni Okręg Federalny, o obszarze 6,95 mln km^2, który zamieszkuje 8,2 mln ludzi, nieświadomie dał impuls do wzmocnienia odrębności tego ogromnego obszaru od Kremla. Gdyby połączył się on z Syberyjskim Okręgiem Federalnym (5,1 mln km^2 i 19,2 mln ludzi) razem utworzyliby największe państwo świata położone na obszarze Heartlandu (teren o kluczowym, geopolitycznym znaczeniu w ujęciu klasyka geopolityki Halforda Mackindera). Ich utrata znaczyłaby dla Rosji ostateczny kres wszelkich iluzji mocarstwowych.

Jak wynika ze śledztwa dziennikarzy z Bellingcatu, specjalna komórka FSB śledziła Nawalnego już od 2017 roku po tym, jak ogłosił on zamiar startu w wyborach prezydenckich. Kilkakrotnie podtruwali go, aby określić odpowiednią dla niego dawkę.

Taka była stawka w tej grze. Lekarze w Omsku nie wykryli trucizny u Nawalnego. Nie chcieli się też zgodzić na jego transport do Niemiec na dalsze leczenie. Na prośbę rodziny opozycjonisty wyczarterowanym samolotem przybyła z Niemiec grupa wybitnych specjalistów. Ocenili, że można bezpiecznie przetransportować chorego do kliniki w Berlinie. Miał być osobistym pacjentem kanclerz Merkel. Bomba eksplodowała na cały świat, gdy 2 września 2020 roku niemiecki rząd oświadczył, że badania przeprowadzone w laboratorium wojskowym wykazały obecność bojowego środka trującego z grupy nowiczoków w organizmie Nawalnego. Ten sam środek bojowy rosyjscy agenci użyli wobec Siergieja Skripala i jego córki, Julii, na terenie Wielkiej Brytanii w 2018 roku.

▶ Nawalny: „Zadzwoniłem do mojego zabójcy. Wszystko wyznał"

Dziennikarze śledczy z Bellingcatu, witryny założonej w 2014 roku przez Brytyjczyka Eliota Higginsa, pomogli Nawalnemu w odkryciu, która sekcja FSB wykonała zadanie. 14 grudnia 2020 roku wyniki śledztwa równocześnie opublikowane zostały przez wiele światowych mediów. Jak wynika ze śledztwa,

eprasa.pl e1f842f673

specjalna komórka FSB śledziła Nawalnego już od 2017 roku po tym, jak ogłosił on zamiar startu w wyborach prezydenckich. Latali za nim po Rosji 40 razy. Kilkakrotnie podtruwali go, aby określić odpowiednią dla niego dawkę. Ustalono też, że w dniu, w którym próbowano zamordować opozycjonistę w Tomsku, w pobliżu miejsca, gdzie zatrzymał się największy wróg Putina, przebywali agenci tajnego wydziału FSB, odpowiedzialnego za operacje w wykorzystaniem broni chemicznej. Dziennikarski zespół ustalił, w jaki sposób Rosja nadal prowadzi swój program rozwoju tej broni. Po jego oficjalnym zamknięciu naukowców zatrudniły instytuty, które oficjalnie zajmowały się badaniami dla celów cywilnych. Faktycznie, na polecenie Kremla kontynuowali oni rozwój tych narzędzi masowej zbrodni. Ich produkty były przeznaczone do wykorzystania przez rosyjskie służby. Reporterzy ujawnili też, że dysponują 49-minutowym nagraniem rozmowy, jaką przeprowadził Nawalny z członkiem oddziału FSB oddelegowanym do jego otrucia. W jej trakcie Konstantin Kudriawcew, który według Bellingcat jest agentem FSB oraz specjalistą ds. broni chemicznej, nieświadomie wyjawił Nawalnemu szczegóły planu jego zabicia. Gdy 19 sierpnia Nawalny opuścił na moment swój lokal, aby pójść popływać, agenci umieścili truciznę w jego niebieskich bokserkach, na szwach w okolicach krocza. Podano ją w postaci sprayu lub maści. Nawalny zamieścił to nagranie na swoim Twitterze. Według oceny zabójcy, nie udało się zabić wroga Putina, bo samolot za szybko wylądował i za wcześnie rozpoczęła się akcja ratownicza. Tego nie przewidzieli.

Agenci FSB podjęli w trakcie transportu do szpitala drugą próbę jego zabicia, ale podane już leki zneutralizowały nową dawkę. Kudriawcew odpowiadał później za wyczyszczenie jego ubrań ze śladów trucizny. Także ciało Nawalnego zostało dokładnie umyte. Do prowokacji Nawalny użył specjalnej aplikacji, która powodowała, że na telefonie Kudriawcewa wyświetlił się numer telefonu stacjonarnego FSB, z którego łączono się z uczestnikami tej operacji. Numer ten, jak wynikało z zapisów rozmów, regularnie łączył się z telefonami członków operacji. Nawalny przedstawił się jako Maksym Ustinow. Wyjaśnił, że jest doradcą przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa Rosji Nikołaja Patruszewa. Musi przygotować pilny raport dla swojego szefa na temat tego, dlaczego operacja się nie udała. Z początku agent był nieufny, ale gdy opozycjonista zdradził skład zespołu FSB, który przeprowadził operację, stał się mniej czujny. Nawalny zrobił rzecz, która nie ma precedensu w długiej historii mordów dokonywanych bezkarnie przez FSB na wrogach Putina. Kat przyznał się ofierze – przed całym światem. Fakt, że ujawnił dane sądząc, że rozmawia z człowiekiem przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa Rosji, nie pozostawia też wątpliwości, że sam kat jest głęboko przekonany, że była to decyzja autoryzowana przez Putina.

▶ Nawalny był przyszłością Rosji?

Generał Leonid Iwaszow, lider Wszechrosyjskiego Zgromadzenia Oficerów, tuż przed wybuchem wojny, w liście otwartym do Putina stwierdzał, iż nie ma zagrożenia dla Rosji ze strony NATO. Diagnozował, iż „Elity polityczne zdają sobie sprawę, że nie są w stanie wyprowadzić państwa z kryzysu systemowego, który może doprowadzić do powstania ludowego i zmiany władzy w kraju". Wybuch wojny ma doprowadzić do konsolidacji społeczeństwa wokół Kremla. W tej grze na czas Nawalny wydawał się największym realnym zagrożeniem dla Kremla. Jego aresztowanie zwiększyło jego wiarygodność na Zachodzie. W sierpniu 2021 roku w poważnym wydawnictwie brytyjskim Hurst Publishers ukazała się książka „Nawalny: wróg Putina, nadzieja Rosji" napisana przez zespół politologów i socjologów, Jana Matti Dollbauma, Morvana Lallouet a i Bena Noble'a. Miesiąc później wydało je prestiżowe amerykańskie wydawnictwo Uniwersytetu Oksfordzkiego. Był to w istocie portret polityka, który ma potencjał, aby sięgnąć po władzę w Rosji. Według jednego z autorów, Dollbauma, powrót Nawalnego do Rosji spowodował, że nastąpiła prawdziwa eksplozja zainteresowania tą postacią na Zachodzie. Nie rozumiano tego czynu. Ale też pojawiła się prawdziwa fascynacja człowiekiem, który potrafił doprowadzić do największych protestów antykorupcyjnych pod względem ich zasięgu geograficznego w ciągu ostatnich 100 lat. Książka próbowała też rozjaśnić ciemne plamy w jego życiorysie – gdy objawił się jako zadeklarowany zwolennik Wielkiej Rosji. Luke Harding recenzując książkę na łamach „Guardiana", twierdził, że w sposób przekonujący ukazano „najbardziej znaczącą i interesującą postać w postkomunistycznym świecie", równocześnie tłumacząc zakusy Nawalnego na nacjonalizm.

▶ Nawalny chciał wielkiej, imperialnej Rosji

Nawalny wyrastał w specyficznym środowisku, przesiąkniętym sowieckim imperium i na styku dwóch etnosów – rosyjskiego i ukraińskiego. Jego ojciec, Anatolij, urodził się w 1947 roku w Zalisii, dawnej wsi w pobliżu ukraińskiej granicy z Białorusią, leżącej rzut kamieniem od Czernobyla. Duża osada, licząca ponad 3 tys. dusz, została przesiedlona po katastrofie w elektrowni. Teraz koczuje tam na wła-

eprasa.pl e1f842f673

sne ryzyko kilka osób. Ojciec Nawalnego ukończył elitarną Kijowską Szkołę Łączności, a potem służył w armii pod Moskwą w Obnińsku, zamkniętym mieście, gdzie pod kierunkiem pułkownika Piotra Zacharowa powstała pierwsza na świecie elektrownia atomowa i realizowano projekty wojskowe o strategicznym znaczeniu dla Związku Sowieckiego. Odszedł z armii w randzie podpułkownika. Matka Nawalnego pracowała jako laborantka w tajnym Instytucie Badawczym Mikrourządzeń Zelenograd, gdzie powstawały urządzenia dla systemów satelitarnych i rakiet strategicznych. Oboje więc rodzice byli silnie związani z resortem obrony.

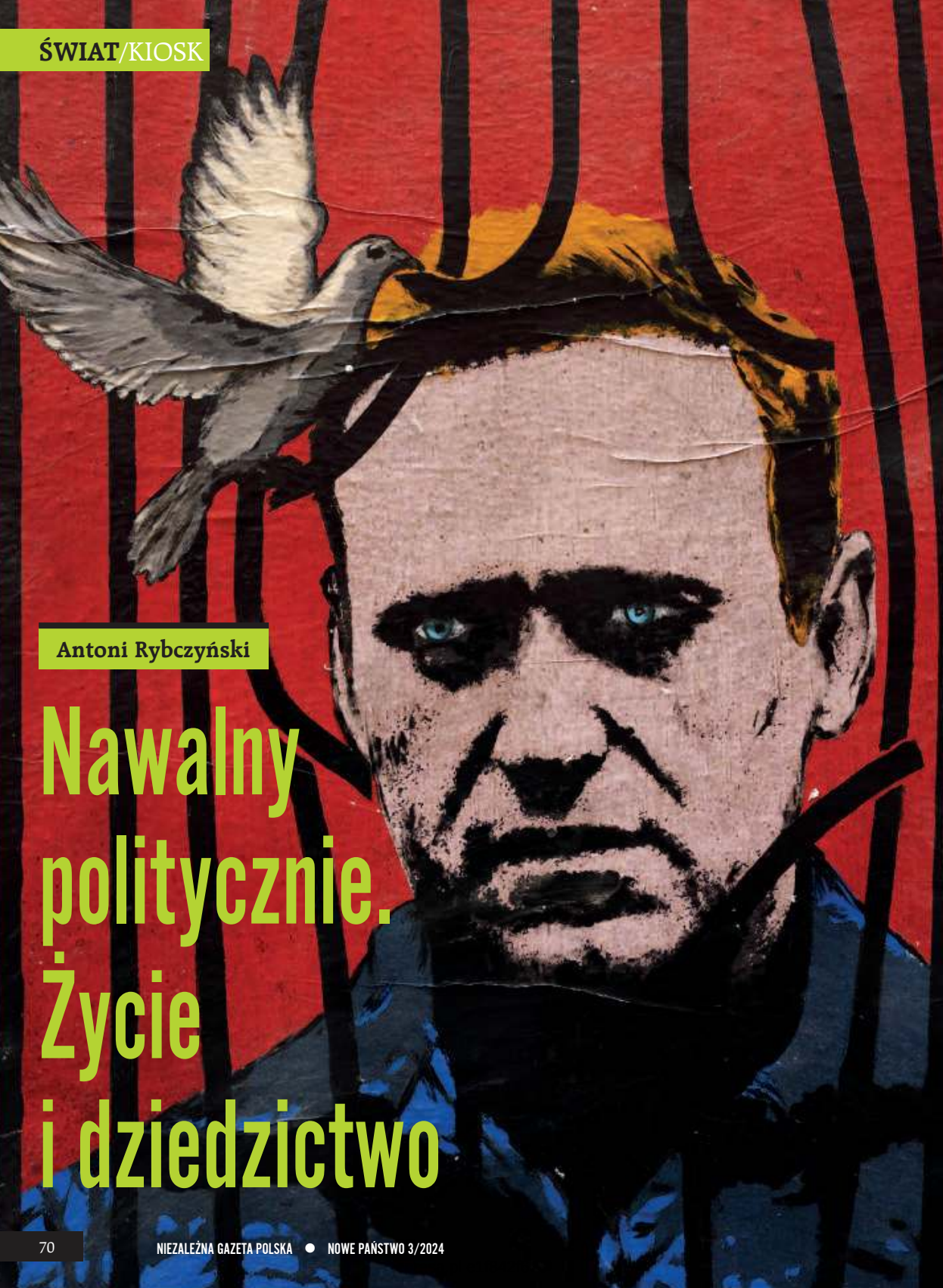
Aleksiej urodził się w Butyni w 1976 roku, w zamkniętym wojskowym mieście (jego ruiny stoją do dzisiaj, otoczone prestiżowymi willami Odintosowa). Potem przenieśli się do innej osady wojskowej, Kaliniec, gdzie ukończył szkołę średnią. W wiosce stacjonuje słynna 2. Tamańska Dywizja Strzelców Zmotoryzowanych, jedna z elitarnych formacji dziś walcząca na Ukrainie w ramach 1. Gwardyjskiej Armii Pancernej. Taki świat kształtował jego młodą wyobraźnię. Dla niego rosyjski imperializm był oczywistą wartością. Oburzała go korupcja, bo osłabiała Rosję. Dlatego był też przeciw Putinowi i jego KGB-owskiej bandzie, która okradała imperium. Dlatego współinicjował „Marsze Rosyjskie" w imię rosyjskiego imperium. Ostro wypowiadał się też przeciw narodom Kaukazu Północnego. Przekonywał i promował hasła: „Przestańcie karmić Kaukaz". Był za odcięciem finansowania tego regionu. A gdy Putin napadł na Gruzję w 2008 roku, wspierał „rosyjskich zuchów", domagał się wydalenia Gruzinów z Rosji i ostrzelania kwatery głównej „tych gryzoni" (w kwietniu 2023 roku, z więzienia, przeprosił za te słowa i wsparł moralnie izolowanego Saakaszwilego, domagając się jego uwolnienia; napisał też: „Wierzę w szczęśliwą europejską przyszłość Gruzji"). Wielokrotnie wypowiadał się o Krymie. W 2015 roku w wywiadzie dla Radia Liberty zauważał co prawda, że włączenie Krymu do Rosji narusza porozumienia i traktaty międzynarodowe. Ale podkreślił, iż kiedy zostanie prezydentem FR, nie zwróci półwyspu. Jak stwierdził: „Czy Krym to kanapka z kiełbasą, żeby to zwracać w tę i z powrotem". Potem opowiadał się za uczciwie przeprowadzonym referendum, które miałoby rozstrzygnąć przyszłość tego ukraińskiego terytorium. Potem jednak zmienił retorykę. A z więzienia słał protesty w sprawie wojny i nawoływał do przeciwstawiania się jej. Choć z drugiej strony była mu bliska putinowska narracja, że Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini to w rzeczywistości jeden naród. Nawalny nie krytykował Putina za jego politykę międzynarodową, za zbrojenia. On także chciał wielkiej i silnej Rosji. A wstępując na tę drogę, mógł się okazać bardziej skuteczny od bandytów Putina. Choć bardziej prawdopodobne wydaje się, że niewiele byłby w stanie zmienić. Aby to państwo, dziś do gruntu przeżarte korupcją, paraliżowane wszechwładzą służb, moralnie spacyfikowane i zabagnione, mogło wyzwolić się ze stalino-putinizmu, musi doznać głębokiej katastrofy, musi spektakularnie przegrać wojnę z Ukrainą.

FSB próbowała zabić Nawalnego w momencie, w którym zakładano na Kremlu, że jest w stanie rozpalić głębokie emocje na Syberii.

▶ Niekończąca się liczba zbrodni

Nagle 18 grudnia 2023 roku sąd we Włodzimierzu odroczył wszystkie siedem rozpraw, które tego dnia miał mieć Nawalny, aby ustalić jego obecne miejsce pobytu! Okazało się, że nie przebywa już w Kolonii karnej Nr 2 w Pokrowie, ale nie wiadomo gdzie został wywieziony. Jego współpracownicy zaczęli poszukiwać go w 200 obozach rozsianych po całej Rosji. Potem okazało się, że przerzucano go z miejsca na miejsce – z Pokrowa do Włodzimierza, potem do Moskwy, Czelabińska przy granicy z Kazachstanem, Jekaterynburga, Workuty na północy, osławionej tysiącami zabitych skazańców, aż dotarł na końcu do wioski Charp, położonej 60 km za kręgiem polarnym i został zamknięty w izolatce w zakładzie karnym Ik-3, „Wilk Polarny", którego naczelnikiem jest Wadim Kalinin. Wcześniej prowadził obóz IK-8, ale w 2011 roku został zmuszony do rezygnacji za przestępstwa kryminalne. 14 lutego 2024 roku przybyła do Charp ekipa z FSB i z Dyrekcji Federalnej Służby Więziennej (przysłana przez Siergieja Zubowa, szefa pionu operacyjnego). Wyłączyli kamery monitorujące izolowaną celę Nawalnego i spacerniak. Dwa dni później został zamordowany. ■

eprasa.pl e1f842f673



Antoni Rybczyński

Nawalny politycznie. Życie i dziedzictwo

Aleksiej Nawalny, wieloletni bojownik antykorupcyjny i najbardziej znany polityk opozycyjny w Rosji od ponad dekady, zmarł w kolonii karnej 16 lutego, poinformował lokalny oddział Federalnej Służby Więziennej. Miał 47 lat. Czy był tak krystalicznym politykiem i realną alternatywą dla Putina, jak dziś można wyczytać w zdecydowanej większości mediów światowych? Jak jego tragiczna śmierć wpłynie na Rosję i stosunek Zachodu do reżimu? Wydaje się, że Nawalnemu nie chodziło o to, by mu wystawiać laurki. Bardziej zależało mu na zmianie Rosji i Rosjan. Czy był tylko kolejnym niepoprawnym idealistą?

FOT. VINCENZO LIVIERI/IPA/PAP/PA

Nawalny przebywał za kratkami od stycznia 2021 roku, kiedy to został aresztowany po powrocie do Rosji po rekonwalescencji za granicą po zatruciu środkiem paralityczno-drgawkowym, które według niego było sponsorowaną przez państwo próbą zabójstwa przeprowadzoną przez rosyjskich agentów bezpieczeństwa i zatwierdzoną przez Putina" – czytamy w tekście opublikowanym na stronie Radia Wolna Europa („Aleksiej Nawalny, nieustępliwy krzyżowiec antykorupcyjny i szczery przeciwnik Kremla, umiera w więzieniu", Robert Coalson, Radio Free Europe/Radio Liberty, 17 lutego 2024). Nawalny nieustannie bowiem rzucał wyzwanie Kremlowi, uczestniczył w protestach i próbował ubiegać się o urząd prezydenta pomimo prześladowań ze strony reżimu Putina z powodu ujawnienia korupcji, odważnego aktywizmu i aspiracji politycznych – czytamy w analizie Jamestown Foundation. „Rosyjski opozycjonista pozostał odporny i pracował przeciwko Kremlowi także w więzieniu. Jego dziedzictwo jest symbolem oporu przeciwko dyktaturze zarówno w Rosji, jak i na arenie międzynarodowej" („Kreml bał się Nawalnego za życia i nadal boi się go po śmierci", Ksenia Kiryłłowa, Eurasia Daily Monitor, 20–21 lutego 2024).

„W pewnym momencie Nawalny był przydatny Rosji jako znak, że sprzeciw wobec Putina jest tolerowany. Ta przydatność skończyła się dawno temu" – mówi Keir Giles, senior fellow w Chatham House. „Do tej pory Rosja zdążyła porzucić wszelkie pozory, że jest czymś innym niż represyjnym reżimem. Rosja powróciła do swojej historycznej strefy komfortu, mordując przeciwników w kraju i za granicą bez skrupułów i nie dbając o międzynarodowe potępienie" („Co śmierć Nawalnego może zmienić – lub nie", Steve Gutterman, Radio Free Europe/Radio Liberty, 16 lutego 2024). Ale jak podkreśla rosyjski publicysta Andriej Kolesnikow, „Nawalny nie zostanie zapomniany ani na Kremlu, ani w siedzibie FSB, ani pod innymi oficjalnymi adresami. Był dla nich alternatywą i stanowił alternatywę dla ogromnego narodu. Przez co najmniej ostatnie pół wieku tylko Michaił Gorbaczow i Borys Jelcyn odgrywali taką rolę: każdy na swój sposób i z różną popularnością wśród mas, które chciały zmian w swoim kraju" („Śmierć Aleksieja Nawalnego i jego alternatywna Rosja", Andriej Kolesnikow, Carnegie Endwoment for International Peace, 16 lutego 2024).

Nawalny kontra Kreml

Z wykształcenia prawnik, Nawalny był charyzmatycznym i bystrym politykiem, który został ukształtowany przez Internet i ulicę i wykorzystał oba media

eprasa.pl e1f842f673

w swojej nieustępliwej i często innowacyjnej kampanii przeciwko coraz bardziej niedemokratycznemu rządowi Putina – pisze Coalson. „Zyskał rozgłos w całym kraju, gdy stał się jednym z liderów dużych protestów antyrządowych w 2011 roku, kiedy jego posty na blogu ujawniające korupcję podsyciły gniew opinii publicznej w okresie poprzedzającym wybory parlamentarne. Wezwał wyborców do oddania głosu przeciwko »partii oszustów i złodziei« u władzy, termin, który ukuł, aby opisać rządzącą partię Jedna Rosja". „Skrupulatna praca Nawalnego ujawniająca korupcję, odważne filmy i aspiracje polityczne od dawna irytowały rosyjskie władze. Przez lata Kreml wahał się jednak przed zastosowaniem ostrych represji wobec opozycjonisty" – zauważa Kiryłłowa.

W 2013 roku Nawalny został nawet dopuszczony do udziału w wyborach na mera Moskwy. Wtedy jednak Kreml wszczął przeciwko niemu pierwsze sprawy karne. Został oskarżony o defraudację i oszustwo w sprawach „Kirowles" i „Yves Rocher", z których obie zakończyły się wyrokiem skazującym na kary w zawieszeniu. „Oprócz presji związanej ze sprawami karnymi, władze próbowały zdyskredytować Nawalnego na wszelkie możliwe sposoby. Wiosną 2016 roku jeden z czołowych rosyjskich propagandystów, Dmitrij Kisielow, poświęcił cały program temu, jak rzekomo CIA i MI6 jednocześnie zwerbowały Nawalnego. Historia była wyjątkowo nieudolna. Ponadto Kisielow poinformował, że inny znany krytyk reżimu Putina, Bill Browder, zlecił Nawalnemu »podważenie podstaw systemu konstytucyjnego w Federacji Rosyjskiej« i nadał mu pseudonim nadany przez agencje wywiadowcze, który był taki sam jak login Nawalnego na Skype. Rekrutacja i przydzielanie zadań odbywały się za pośrednictwem Skype'a, a korespondencja między dwoma kontami Skype'a została przedstawiona jako jedyny dowód »zdrady«" (K. Kiryłłowa, op. cit.).

Mniej więcej w tym czasie wielu w Rosji zaczęło uważać go za realnego rywala Putina, czyli byłego oficera KGB, który stoi u steru Rosji od 2000 roku – pisze Coalson. W 2017 roku rosyjska Centralna Komisja Wyborcza odmówiła zarejestrowania Nawalnego jako kandydata na prezydenta, powołując się na jego wcześniejsze wyroki skazujące. „W wywiadzie udzielonym wiosną 2020 roku rosyjskiej redakcji RFE/RL Nawalny powiedział, że pandemia koronawirusa i sposób radzenia sobie z nią przez rząd przyspieszyły spadek popularności Putina i stworzyły możliwości dla opozycji. – Wystarczy spojrzeć na notowania rządu. Widzimy ich bezprecedensowy spadek, który będzie kontynuowany. Rząd nie może nic z tym zrobić – mówił Nawalny. Kilka miesięcy później zasłabł na pokładzie samolotu lecącego do Moskwy z Tomska, gdzie odwiedzał lokalnych zwolenników. Samolot został przekierowany do miasta Omsk, gdzie jego pracownicy dowiedzieli się, że został otruty" (R. Coalson, op. cit.).

Władze zgodziły się, żeby był leczony za granicą. Do dziś nie wiadomo, dlaczego go wtedy wypuszczono. Może zakładano, że tak się przestraszy, iż już nie wróci? Niemieccy eksperci ustalili, że został otruty środkiem typu nowiczok, zaś Bellingcat ustalił, że Nawalny był celem zamachu przeprowadzonego przez agentów FSB. „Lider opozycji wrócił do Rosji 17 stycznia 2021 roku i natychmiast został aresztowany. Wcześniej zawieszone wyroki Nawalnego zostały zastąpione prawdziwymi. Jednocześnie zaczęto fabrykować nowe sprawy karne" – przypomina na łamach Jamestown Foundation Ksenia Kiryłłowa.

▶ Nacjonalista i rasista. Pragmatyk?

„Osobista charyzma Nawalnego i jego obycie z mediami społecznościowymi szybko zjednały mu rzesze zwolenników, mimo że był niemal ignorowany przez państwowe media. Przez wiele lat Putin nie był w stanie lub nie chciał wymówić nazwiska Nawalnego na głos. Ale jego wczesne antyimigranckie komentarze, w tym filmy na YouTube, w których porównał migrantów zarobkowych z Azji Środkowej do szkodliwych ubytków w zębach, a mieszkańców muzułmańskiej większości Kaukazu Północnego w Rosji do karaluchów, kładły się cieniem na jego karierze, a niektórzy w polityce opozycyjnej – szczególnie w nierosyjskich ruchach narodowych – trzymali się od niego z daleka" – przypomina Coalson. Na nacjonalistyczne i ksenofobiczne cienie w karierze Nawalnego zwrócił też uwagę, przypominając publikację partnerskiego portalu MOPO (Hamburger Morgenpost) z 2020 roku, czyli tuż po próbie otrucia Nawalnego, portal niemieckiego magazynu „Focus".

Na początku działalności politycznej Nawalny należał do liberalnej partii Jabłoko, z której został wyrzucony. „Nawalny twierdził, że wydalenie go z partii miało »podłoże osobiste«, ponieważ krytykował założyciela tego ugrupowania, Grigorija Jawlinskiego. Ten ostatni twierdził jednak, że do usunięcia Nawalnego doprowadziły jego »wypowiedzi nacjonalistyczne i rasistowskie«. [...] Sam Nawalny lepiej udokumentował swoje ówczesne poglądy na własnym blogu. Nazywał tam działaczy na rzecz praw obywatelskich »quasi-liberalnymi palantami«, a homoseksualistów »pedałami«, których należy zamykać. Gdy Rosja najechała Gruzję w 2008 roku, opowiadał się za deportacją wszystkich Gruzinów z Rosji. Napisał też, że »gniazdo gryzoni« (Tbilisi) powinno zostać zniszczone rakietami manewrującymi". Po wydaleniu z Jabłoka Nawalny brał udział w tzw. Marszach Rosyjskich, gdzie „kon-

eprasa.pl e1f842f673

serwatyści, nacjonaliści, monarchiści i otwarcie prawicowe grupy ekstremistyczne spotykają się, aby demonstrować przeciwko rządowi" („Ciemna strona kremlowskiego krytyka Nawalnego jest ukrywana w naszym kraju", Focus.de, 20 lutego 2024).

„Nacjonalistyczny ton wczesnej kariery Nawalnego i niejednoznaczne wypowiedzi na temat Krymu po zajęciu przez Rosję ukraińskiego półwyspu na Morzu Czarnym w 2014 roku wzbudziły sprzeciw wielu osób na Ukrainie, a jego gwałtowne potępienie inwazji na pełną skalę rozpoczętej przez Putina w 2022 roku niewiele poprawiło jego reputację na Ukrainie" – przyznaje Coalson. W poście w mediach społecznościowych w pierwszą rocznicę niesprowokowanego ataku Nawalny powiedział, że Putin „rozpętał niesprawiedliwą wojnę agresji" i odrzucił usprawiedliwienia Putina jako „śmieszne preteksty". Wezwał do przywrócenia uznanych na arenie międzynarodowej granic Ukrainy z 1991 roku. – Będziemy musieli wynagrodzić Ukrainie wszystkie szkody spowodowane agresją Putina – podsumował. Wiele osób na Ukrainie pozostało jednak nieufnych lub krytycznych wobec Nawalnego, nie ufając jego publicznym komentarzom na temat wojny i wątpiąc w jego oddanie dla ukraińskiej suwerenności.

Nie ma Nawalnego, co będzie dalej?

Czy upadek najgłośniejszego krytyka Kremla coś zmienia – i w jaki sposób? Czy może to przynieść jakąkolwiek zapowiedź zmiany, za którą opowiadał się Nawalny, czy tylko dalsze dokręcanie śruby? – pyta Steve Gutterman. „Pierwszą rzeczą, którą należy obserwować, jest kampania przed wyborami prezydenckimi 15–17 marca. Biorąc pod uwagę ścisłą kontrolę państwa nad polityką i mediami, Putin z pewnością wygra, o ile nie dojdzie do nieoczekiwanych wydarzeń – ale analitycy twierdzą, że Kreml chce, aby wygrał z marginesem, który pokaże Rosjanom i światu, że nie ma alternatywy". Czy śmierć Nawalnego zmieni też coś w relacjach Zachodu z Moskwą? „Być może najtrwalszą byłaby zmiana sposobu, w jaki zachodni przywódcy postrzegają możliwość rozmów pokojowych z Putinem. Perspektywa ta zyskała nowy wymiar w niedawnym wywiadzie Putina z Tuckerem Carlsonem. Przywódca Kremla nie rzucił żadnych nowych wskazówek dotyczących praktycznych propozycji. Uznał za konieczne wyjaśnienie swojej krajowej publiczności, że jego determinacja do pokonania wszystkich współczesnych przejawów »nazizmu« pozostaje niezachwiana i że w tym celu można kultywować międzynarodową sieć przypominającą stary sowiecki model Kominternu. Wykład historyczny Putina na temat Ukrainy jako naturalnej części Wielkiej Rosji był czymś więcej niż tylko objawem jego geopolitycznej obsesji. Była to również próba przekazania amerykańskim ustawodawcom jego gotowości do zakończenia wojny, jeśli zagłosują za zaprzestaniem wsparcia dla Ukrainy" („Przyszłość Rosji po Putinie staje się mroczniejsza", Paweł Bajew, Eurasia Daily Monitor, 20 lutego 2024).

Bez względu na przyczynę śmierci Nawalnego, stanowi ona wyzwanie dla Putina i państwa. „Nawalny stał się postacią historyczną, uosabiającą nieugiętą antyputinowską postawę polityczną i reprezentującą najbardziej znaczącą alternatywę dla reżimu Putina od 2000 roku. Jego niezrównana rozpoznawalność,

> „W pewnym momencie Nawalny był przydatny Rosji jako znak, że sprzeciw wobec Putina jest tolerowany. Ta przydatność skończyła się dawno temu".

znaczenie dla elit i zaangażowanie w politykę wewnętrzną odróżniały go od innych opozycjonistów, cementując jego status wybitnego polityka. A to stwarza poważny problem polityczny dla reżimu – będą musieli poradzić sobie ze spuścizną Nawalnego" – napisała Tatiana Stanowaja, z Carnegie Russia Eurasia Center. Ale sposób, w jaki Kreml będzie próbował sprostać temu wyzwaniu, nie jest trudny do przewidzenia, dodała. „Nie mam wątpliwości, że wkrótce będziemy świadkami znaczącej fali represji, nalotów po oburzeniu w sieciach społecznościowych, spraw karnych i aresztowań" (S. Gutterman, op. cit.). „Nawalny nie miał nic wspólnego z nieżyjącym już najemnikiem Jewgienijem Prigożynem, ale ich zniknięcie sprawia, że autokrata jest jeszcze bardziej samotny na swoim Olimpie. Wszystkie cele wyznaczone przez referendum latem 2020 roku w sprawie zmiany konstytucji, aby umożliwić Putinowi rządzenie praktycznie bezterminowo, zostały osiągnięte. Władza nie tylko została zachowana, ale jest absolutna" – twierdzi Kolesnikow.

Śmierć Nawalnego w odległym arktycznym więzieniu wpłynie nie tylko na Putina – zauważa Bajew. „Wielu kremlowskich popleczników – sędziów, więźniów, agentów służb specjalnych i bezwstydnych pro-

eprasa.pl e1f842f673

pagandystów – przyłożyło rękę do tej zbrodni i miało dobre powody, by obawiać się konsekwencji. Skorumpowani dworzanie i zdradzieccy sługusi, którzy mogli rozważać pozbycie się swojego szefa i zrzucenie na niego winy za katastrofalną wojnę, muszą teraz zdać sobie sprawę, że ich oferty negocjacji z Zachodem będą traktowane z poważnym uprzedzeniem. Starzejący się przywódcy różnych gałęzi rozległej rosyjskiej biurokracji państwowej, ich młodsi zastępcy i najwyżsi dowódcy wyczerpanej armii faktycznie nie mają wyjścia. Elity te mogą czuć się zmuszone do zwarcia szeregów wokół przypuszczalnie niezastąpionego autokraty, zdyskredytowanego i pozbawionego złudzeń". Polityczne konsekwencje tego, co się stało, tylko zwiększą poczucie absolutnej wszechmocy i braku odpowiedzialności klasy rządzącej i jej aparatu represji – dodaje Kolesnikow.

▶ Ofiara z życia. Czy coś da?

„Oznacza to, że milcząca część społeczeństwa, która woli przyklaskiwać każdej inicjatywie autokracji niż wolności słowa, jeszcze bardziej zamknie się w sobie, a nawet zacznie gorliwie demonstrować swoje poparcie dla władz. Niektórzy bierni konformiści zrozumieją, że dla własnego spokoju ducha muszą zmienić się w aktywnych konformistów. Władze nie czują się w żaden sposób zagrożone: ci, którzy nie milczą, tylko potwierdzą swoją reputację wrogów, a dla nich istnieje ogromna machina ucisku i równie ekspansywny zestaw represyjnych przepisów. Ci, którzy milczą, będą trzymać usta mocno zamknięte, a ci, którzy wspierają reżim, będą to robić jeszcze głośniej i agresywniej" – twierdzi Andriej Kolesnikow. „Michaił Chodorkowski, wygnany były potentat naftowy, który spędził dekadę w więzieniu po wyrokach skazujących, które według niego i jego zwolenników były częścią zaaranżowanej przez Kreml kampanii mającej na celu ukaranie go za zaangażowanie się w politykę opozycyjną i przekazanie aktywów jego firmy w ręce państwa, wezwał Rosjan do wpisania nazwiska Nawalnego na kartach do głosowania podczas głosowania. Ale każdy taki wysiłek – nie mówiąc już o protestach ulicznych w związku z wyborami, losem Nawalnego czy wojną przeciwko Ukrainie – stanowi poważne ryzyko dla Rosjan, którzy się do niego przyłączą" – zauważa Gutterman.

Według Kolesnikowa, oczekiwanie reżimu, że wspomnienia o Nawalnym wyblakną, jest częściowo uzasadnione. W lutym 2022 roku 14 proc. respondentów stwierdziło, że „nie wie", kim był Nawalny, podczas gdy w lutym 2023 roku liczba ta wzrosła do 23 proc., według sondażu Centrum Lewady sprzed roku. „Nasuwa się pytanie, czy ta »ignorancja« stała się wyuczona i jest sztucznym wynikiem ostrożności. Postawy wobec Nawalnego również pogorszyły się w tym samym okresie, a więcej osób było skłonnych wierzyć, że został on uwięziony za popełnienie prawdziwego przestępstwa, a nie tylko w celu wyrównania rachunków. Nie widzieć zła, nie słyszeć zła, dystansować się od najnowszych złych wiadomości, wierzyć tylko w oficjalną wersję: konformistyczna większość zachowywała się tak samo w każdej podobnej sytuacji, w tym w przypadku otrucia Nawalnego. W innym sondażu Centrum Lewady przeprowadzonym w grudniu 2020 roku, kilka miesięcy po otruciu, 30 proc. osób stwierdziło, że »nie było żadnego otrucia, wszystko zostało zainscenizowane«, 19 proc. stwierdziło, że była to »prowokacja zachodnich służb wywiadowczych«, a tylko 15 proc. stwierdziło, że była to »próba wyeliminowania przeciwnika politycznego przez władze«. Łatwiej jest żyć i myśleć w ten sposób – a raczej nie myśleć wcale. Ta większość była gotowa na wszystko, co władze mogły wymyślić, i nie jest zaskoczeniem, że zaakceptowała zarówno samą »operację specjalną«" (A. Kolesnikow, op. cit.).

„Nawalny stanowczo sprzeciwiał się wojnie na Ukrainie i przy wsparciu swojego zespołu podejmował różne inicjatywy antywojenne zza krat. Nawalny stał się ważnym symbolem oporu przeciwko dyktaturze w Rosji i na arenie międzynarodowej. Warto zauważyć, że poświęcony mu film dokumentalny otrzymał w ubiegłym roku Oscara dla najlepszego filmu dokumentalnego. Niewątpliwie wydarzenia te nie mogły ujść uwadze i irytacji rosyjskich władz. Jego spuścizna nadal rozprzestrzeniała się, gdy był za kratkami, i będzie nadal wpływać na przyszłość Rosji po jego śmierci" – pisze Ksenia Kiryłłowa z Jamestown Foundation. Zaś dziennikarz z Radia Wolna Europa Robert Coalson w swoim artykule przypomina przesłanie, jakie Nawalny wygłosił, wychodząc z moskiewskiego aresztu w sierpniu 2019 roku po odbyciu 30 dni kary za zachęcanie do protestów: „Kłamstwa i fałszerstwa nie wystarczą. Muszą aresztować dziesiątki, pobić setki i dokonać nalotów na organizacje". Jednak Paweł Bajew zauważa, że wiara Nawalnego, iż państwo Putina samo pewnego dnia upadnie, może być zbyt optymistyczna. „Aby obalić tego okrutnego Lewiatana, konieczna jest ciężka walka i bolesne poświęcenie. Podczas gdy Nawalny uczynił z tego drugiego zadanie swojego życia, to do Ukrainy należy realizacja tego pierwszego. [...] Ostateczne zwycięstwo Ukrainy na polu bitwy jest najlepszą nadzieją Rosji na rehabilitację, choć lider opozycji, który pracowałby nad przekonaniem niezadowolonej ludności, że to marzenie może stać się rzeczywistością, nie może już wyjść z więzienia, aby zmobilizować rosyjski naród". ■

eprasa.pl e1f842f673



Hanna Shen



Po śmierci Aleksieja Nawalnego pojawiły się głosy, że Chiny bacznie przyglądają się reakcji Zachodu i że będzie to także sygnał dla Xi Jinpinga, jak daleko sam może się posunąć. Jednak wielu chińskich internautów i dysydentów zwróciło uwagę, że wobec tych, którzy są dla niego niewygodni, Pekin od lat stosuje podobne metody jak Putin.

Tak zabija Pekin

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl e1f842f673

Los Nawalnego dla wielu Chińczyków podobny jest do losu dysydenta i pisarza Liu Xiaobo. Liu za poparcie studentów protestujących na placu Tiananmen w 1989 roku został skazany na dwa lata więzienia. W 2008 roku był jednym z autorów tzw. Karty '08. Manifest podpisało ponad 300 chińskich intelektualistów i działaczy na rzecz swobód obywatelskich.

Mord polityczny na nobliście

W Karcie '08 stwierdzono, że „reforma i otwarcie pod koniec XX wieku wydobyły Chiny z wszechobecnej biedy i absolutnego totalitaryzmu ery Mao Zedonga oraz znacznie zwiększyły majątek prywatny i poziom życia zwykłych ludzi". Zauważono jednak, że cały czas nie podjęto reform politycznych. „Elita rządząca nadal trzyma się swojej autorytarnej władzy, odrzucając reformy polityczne. Spowodowało to korupcję urzędniczą, trudności w ustanowieniu praworządności, brak praw człowieka, bankructwo moralne, polaryzację społeczną, nienormalny rozwój gospodarczy, zniszczenie zarówno środowiska naturalnego, jak i kulturowego, brak zinstytucjonalizowanej ochrony praw obywatelskich [...] i ciągły wzrost niezadowolenia" – napisano w Karcie '08. Sygnatariusze manifestu żądali od komunistycznych władz Chin wprowadzenia, jak to opisał w książce pt. „Chińska sieć zła" brytyjski dziennikarz Benedict Rogers, „podstawowych wolności, praw człowieka, zasad ekonomii, demokracji i konstytucjonalizmu" oraz mieli „bardziej szczegółowe propozycje co do tego, jak miałoby to wyglądać, w tym rozdział władzy, demokrację parlamentarną, niezależność sądownictwa i gwarancje praw człowieka".

KPCh szybko odpowiedziała na dokument. W grudniu 2008 roku zatrzymano Liu Xiaobo. W czerwcu 2009 roku oskarżono go o „podżeganie do obalenia władzy państwowej", a dokładnie w Boże Narodzenie tego samego roku skazano go na 11 lat więzienia i dwa lata pozbawienia praw politycznych. W 2010 roku Liu Xiaobo otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Na uroczystość w Oslo Pekin nie pozwolił udać się jego żonie, Liu Xia.

Gdy w 2013 roku Xi Jinping został prezydentem Chin, pojawiły się nadzieje, że w końcu rozpoczną się zmiany polityczne. Liczono, że może jakaś niewielka część postulatów z Karty '08 wejdzie w życie, a Liu Xiaobo wcześniej wyjdzie na wolność. Nic takiego nie miało miejsca. Dziś o Xi mówi się, że jest drugim Mao Zedongiem. To za rządów Xi Jipinga opóźniano leczenie schorowanego Liu Xiaobo. Gdy Liu trafił z więzienia do szpitala, jego nowotwór wątroby był już w stadium nieuleczalnym. Zmarł 13 lipca 2017 roku w wieku 61 lat. Chińscy opozycjoniści nie mieli wątpliwości, kto jest odpowiedzialny za śmierć pisarza. Wang Dan, jeden z przywódców protestu na placu Tiananmen z 1989 roku, śmierć Liu Xiaobo nazwał „kolejnym w ostatnich latach mordem politycznym dokonanym przez władze w Pekinie". Podobnie jak Wang mówił Hu Jia, chiński dysydent, laureat przyznawanej przez Parlament Europejski Nagrody im. A. Sacharowa, który nagłośnił m.in. sprawę masowych zakażeń HIV przez transfuzje w Chinach. „W taki sposób partia komunistyczna ChRL rozprawia się ze swoimi wrogami" – stwierdził.

Ciało Liu poddano szybkiej kremacji, a uroczystości pogrzebowe odbyły się pod ścisłą kontrolą KPCh. Żona i inni członkowie rodziny noblisty byli pod ciągłą inwigilacją. W pogrzebie mogli uczestniczyć tylko żona, jej brat oraz dwóch braci Liu Xiaobo. Pojawiło się też kilka innych nieznanych rodzinie Liu osób, prawdopodobnie była to bezpieka. Po uroczystości najstarszy brat Liu, Liu Xiaoguang, wystąpił na konferencji prasowej i podziękował Komunistycznej Partii Chin, a także rządowi, „ponieważ wszystko, co zrobili dla naszej rodziny, świadczy o wysokim poziomie ich człowieczeństwa i troski o nas". Według mieszkającego w USA chińskiego pisarza Yu Jie, Liu Xiaobo od lat nie utrzymywał kontaktów ze swoim starszym bratem i nazywał go „drobnym biurokratą KPCh". Po uroczystości prochy Liu zostały rozsypane na morzu. Władze twierdziły, że było to życzenia rodziny, ale Yu Jie twierdzi, że była to decyzja wymuszona przez chiński rząd, który nie chciał, aby po śmierci noblisty zostały po nim jakiekolwiek ślady.

Zamęczony biskup

Chiński katolicki biskup Cosma Shi Enxiang spędził w więzieniu ponad 40 lat. Jego „zbrodnią" było to, że odmawiał zrzeczenia się lojalności wobec Watykanu. Duchowny po raz pierwszy został zatrzymany w 1957 roku. Do 1980 roku był więźniem Laogai, czyli chińskiego obozu pracy. Pracował w kopalni siedem dni w tygodniu, nawet po 16 godzin na dobę. Chińskie obozy pracy są przeludnione i często na dwóch więźniów przypada jedno łóżko. Na porządku dziennym jest widok nagich skazańców walczących o dostęp do pryszniców, których jest tam wyjątkowo mało. Po pracy następuje tzw. czas szkolenia, kiedy poddaje się ich komunistycznej indoktrynacji. Skazani zmuszani są wówczas do samokrytyki i potępiania współwięźniów. Czasem organizowane są tzw. sesje walki, podczas których więźniowie się biją. To wszystko zwiększa wzajemną nieufność i stwarza poczucie izolacji. W takich warunkach ks. Shi spędził 23 lata.

Trzy lata po wyjściu z Laogai katolicki duchowny ponownie za wierność Stolicy Apostolskiej został skazany na trzy lata aresztu domowego. W 1982 roku Jan Paweł II potajemnie wyniósł Shi do godności biskupa Yixian, na północy Chin. Kolejne zatrzymanie duchownego przez chińską bezpiekę miało miejsce 13 kwietnia 2001 roku. Nie miał wtedy żadnego procesu. Nie było oficjalnego oskarżenia. Nikt nie wiedział, gdzie biskup jest przetrzymywany.

2 lutego 2015 roku informację o śmierci bp. Cosmy Shi jako pierwsza podała katolicka agencja prasowa UCANews, powołując się na wiadomość otrzymaną od Shi Chunyan,

eprasa.pl e1f842f673

siostrzenicy biskupa. Jednak jak podaje hongkońska dziennikarka Lucia Cheung, gdy kilka dni później rodzina poprosiła o wydanie ciała zmarłego, otrzymała informację, że urzędnik, który wcześniej potwierdził wiadomość o śmierci biskupa, był albo pijany, albo ktoś go wprowadził w błąd. Po kilku dniach znów zmieniono narrację i jednak przyznano, że duchowny zmarł. Rodzina bp. Shi twierdzi, że 94-letni duchowny prawdopodobnie umarł w wyniku zagłodzenia albo tortur. Władze nie wydały zwłok. Obawiały się, że pogrzeb biskupa Shi może przekształcić się w wielką manifestację. Gdy tylko rozeszła się wiadomość o śmierci katolickiego księdza, wielu chińskich wiernych zaczęło opłakiwać go jako męczennika i świętego, który spędził prawie połowę swojego życia w więzieniu z powodu wierności wierze katolickiej i papieżowi.

„Nieszczęśliwy" wypadek

Wang Jian jako chiński przedsiębiorca odniósł ogromny sukces. W 1990 roku wraz z Chen Fengiem był założycielem i prezesem Hainan Airlines i stowarzyszonego konglomeratu HNA Group, którego aktywa w 2018 roku wyniosły 230 mld dolarów. Według Fortune Global 500 w 2017 roku HNA była 170. największą firmą na świecie pod względem przychodów, posiadającą udziały w takich zagranicznych podmiotach, jak: Hilton Hotels & Resorts, Deutsche Bank, NH Hotel Group. Z czasem okazało się, że aby dokonać owych zagranicznych przejęć, HNA musiał się ogromnie zadłużać, a działalność Wang Jiana była przykrywką dla prania pieniądzy polityków ChRL, zwłaszcza jednego z najbardziej zaufanych ludzi Xi Jinpinga, Wang Qishana. Wang w latach 2012–2017 był sekretarzem Centralnej Komisji Dyscypliny Partyjnej, czyli oficjalnie organu walczącego z korupcją, a w praktyce usuwającego przeciwników politycznych Xi. W 2018 roku świat już wiedział coraz więcej na temat prawdziwej działalności konglomeratu HNA, a Wang Jian ze swoją wiedzą na temat stopnia korupcji w KPCh zaczynał być niebezpieczny dla chińskiej władzy szczególnie dla Wang Qishana, który w marcu 2018 roku został wiceprezydentem Chin.

W lipcu 2018 roku 57-letni Wang Jian wybrał się w delegację do Paryża. W jej trakcie z kilkoma osobami udał się do miejscowości Bonnieux w Prowansji. To tu 3 lipca robiąc sobie selfie, spadł z wysokiego muru i zmarł. Przybyły na miejsce zdarzenia pierwszy świadek zobaczył przy ciele Wanga innego Chińczyka, a w ciele miliardera igły. Francuska policja nie była zainteresowana prowadzeniem dokładnego śledztwa w tej sprawie i szybko ogłosiła, że śmierć Wanga to nieszczęśliwy wypadek.

Wiedza zabija

Robienie biznesu z KPCh i nieszczęśliwe wypadki wydają się chodzić w parze. 11 lutego 2024 roku zginęła w Teksasie 50-letnia Angela Chao, szefowa Foremost Group, amerykańskiej firmy przewozowej. Założycielem Foremost był ojciec Angeli, urodzony w Chinach James Chao. Starszą siostrą Angeli jest Elaine Chao, która była sekretarzem transportu w administracji Trumpa i która jest żoną republikańskiego polityka i obecnie lidera mniejszości Senatu Stanów Zjednoczonych Mitcha McConnella.

Tak jak James Chao, tak i jego córka Angela prowadziła liczne interesy w Chinach i była silnie związana z biznesem kontrolowanym przez KPCh. Znalazła się m.in. w zarządzie państwowego Bank of China, jednego z pięciu największych banków w ChRL. Według Kyle'a Bassa, analityka finansowego kierującego Hayman Capital Management i członka zarządu China Center w amerykańskim konserwatywnym think tanku Hudson Institute, taką funkcję mogą sprawować tylko członkowie Komunistycznej Partii Chin. Angela Chao była także członkiem zarządu China Ship Building Corporation (CSBC), na który administracja Trumpa w 2020 roku nałożyła sankcje, bo CSBC był przedsiębiorstwem przemysłu obronnego, które ma wkład w budowanie sztucznych wysp pod chińskie bazy wojskowe w spornym regionie Morza Południowochińskiego. Mężem Angeli Chao był Jim Breyer, który od lat inwestował w Chinach. Jednym z jego chińskich przedsięwzięć jest IDG Capital Partners – jeden z pierwszych inwestorów w Tencent. Ta chińska firma technologiczna znajduje się pod ścisłą kontrolą KPCh. Przed zjazdem KPCh w 2017 roku firma Tencent wypuściła na rynek grę o nazwie „Oklaski dla Xi Jinpinga". Firma od 2003 roku promuje tworzenie komitetów partyjnych w Tencent i zachęca pracowników do wstępowania do KPCh. W sierpniu 2020 roku w celu ochrony bezpieczeństwa narodowego prezydent Trump wydał rozporządzenie, które zablokowało transakcje m. in. z Tencent, która prowadzi WeChat, chiński odpowiednik platformy X. Rozporządzenie stwierdzało, że WeChat automatycznie przejmuje informacje o użytkownikach, co pozwala KPCh na uzyskanie danych osobowych obywateli amerykańskich.

W styczniu br. Breyer nagle ogłosił, że przestaje inwestować w Chinach na co najmniej 18 miesięcy, a 9 lutego br. Departament Obrony USA uznał IGD za firmę mającą powiązania z Chińską Armią Ludowo-Wyzwoleńczą. Dwa dni później żona Breyera, Angela Chao, na ranchu w Teksasie wsiadła do swojej tesli, wjechała tyłem do stawu i zginęła. O dziwo informację o jej śmierci podał najpierw chiński portal Caixin, twierdząc, że Chao zginęła pod kołami ciężarówki, która przejechała na czerwonym świetle w Austin w Teksasie. CaiXin, który próbował narzucić fałszywą narrację na temat śmierci Chao, jest kontrolowany przez byłego wiceprezydenta China Wanga Qishana. Angela Chao i jej mąż byli silnie związani z biznesem kontrolowanym przez KPCh, dlatego chińscy internauci nie mają wątpliwości, że Chao została zabita przez Pekin, bo tak jak Wang Jian wiedziała za dużo. ■

eprasa.pl e1f842f673



„Dyktatura chce całkowicie wyeliminować wiarę katolicką, ponieważ nie udało im się zmusić Kościoła do uklęknięcia przed nimi. I nie uda im się to”

Martha Patricia Molina, dokumentalistka prześladowań katolików w Nikaragui

Od stycznia 2007 roku Daniel Ortega utrzymuje władzę w Nikaragui poprzez sfałszowane wybory i eliminację limitów kadencji prezydenckiej. Zniszczył opozycję polityczną, stłumił protesty studenckie, ograniczył wolność mediów. Ostatnim potencjalnym zagrożeniem dla reżimu jest Kościół. Dlatego Ortega zdecydował się go zniszczyć.

Antoni Rybczyński

Powrót marksisty. Jak Daniel Ortega niszczy Kościół katolicki w Nikaragui

eprasa.pl e1f84



FOT. JEFFREY ARGUEDAS/PAP/EPA

Nikaragua to kraj w przeważającej mierze katolicki, w którym Kościół zawsze był obecny w życiu publicznym. W kraju, w którym ponad 80 proc. ludności stanowią chrześcijanie (około 50 proc. to katolicy, ponad 30 proc. ewangelicy), rządzący poszli na wojnę z Kościołem. To dawni marksiści z Sandinistowskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego (FSLN) z Danielem Ortegą na czele. Już kiedyś rządzili, w czasach zimnej wojny, w sojuszu z Sowietami. Wrócili do władzy po kilkunastu latach – dzięki demokracji – by od razu zacząć ją zwijać.

Wojna z duchownymi

Ortega i sandiniści zwalczali Kościół katolicki już podczas swych pierwszych rządów (1979–1990). Wszak wyznawali wtedy marksizm i współpracowali z Castro i Sowietami. Teraz wraca podobna narracja: o spisku Watykanu i USA. Ortega i jego żona, i zarazem wiceprezydent Rosario Murillo, obwiniają „terrorystycznych" duchownych o wspieranie niepokojów społecznych, które według nich są równoznaczne z planowaniem zamachu stanu przeciwko nim. Rząd próbuje zdławić Kościół, ponieważ pozostaje on ostatnim liczącym się czynnikiem w Nikaragui, który ośmiela się sprzeciwiać przemocy państwa i którego głos jest szanowany przez wielu obywateli. Wojna z katolikami zaczęła się w 2018 roku. Protesty przeciwko proponowanym cięciom ubezpieczeń społecznych rozszerzyły się wtedy na żądanie przedterminowych wyborów i oskarżenie Ortegi o autorytarne działania. Reżim zareagował brutalnie. Setki demonstrantów zostało zabitych przez siły bezpieczeństwa i sprzymierzone z nimi bojówki. Ta reakcja zszokowała przywódców nikaraguańskiego Kościoła katolickiego. Po tym, jak w swych homiliach księża zaczęli porównywać Ortegę do Somozy, dyktatora, którego niegdyś obalił, Ortega zaczął używać narracji, że Kościół katolicki planował zamach stanu przeciwko jego rządom.

Część hierarchów odważyła się głośno mówić o terrorze w czasie kampanii i fałszowaniu wyborów prezydenckich na jesieni 2021 roku. Ortega szybko zaczął się mścić. W marcu 2022 roku zmusił od opuszczenia kraju nuncjusza apostolskiego, abp. Waldemara Stanisława Sommertaga. Reżim wydalił też Misjonarki Miłosierdzia, zakon założony przez Matkę Teresę z Kalkuty. To był dopiero początek potężnej fali represji. W sierpniu 2022 roku policja wdarła się do pałacu biskupów diecezji Matagalpa i zatrzymała bp. Rolando Alvareza oraz jego siedmiu współpracowników. Alvarez od dawna był jednym z najodważniejszych krytyków autorytarnych rządów Ortegi i jego familii. W kazaniach poruszał temat łamania swobód obywatelskich i praw człowieka. Gdy zapowiedział mszę i procesję „w obronie pokoju społecznego", został oskarżony o wykorzystywanie social me-

eprasa.pl e:f842f673

diów do „organizowania bojówek oraz zachęcania ich do siania nienawiści przeciwko ludności poprzez szerzenie niezadowolenia i wywoływanie zamętu, wymierzone w społeczny ład". Przez kilka miesięcy nie było nawet jasne, gdzie bp Matagalpy jest więziony. Ostatecznie trafił do aresztu domowego. Gdy w lutym 2023 roku Ortega ogłosił zwolnienie 222 więźniów politycznych i ich deportację do USA, znajdujący się na tej liście hierarcha odmówił wejścia na pokład samolotu do Waszyngtonu. Rząd twierdził, że bp Alvarez miał możliwość wyjazdu, ale odmówił i zdecydował się pozostać w więzieniu. W rzeczywistości biskup bał się prowokacji. Przedstawiono mu czystą kartkę papieru do podpisania, twierdząc, że chodzi o wniosek o wyjazd do USA. Nie podpisał, bał się, że zostanie tam dopisane coś takiego, by przedstawić kartkę jako dowód, przyznanie się do udziału w rzekomym zamachu stanu. Niektórzy nikaraguańscy księża mówili, że naciskano na nich, aby przyznali, że Alvarez był częścią spisku zaaranżowanego przez obce kraje, a jego homilie miały na celu wywołanie powstania.

Reżim natychmiast się zemścił. Dosłownie po kilku dniach bp Alvarez został skazany na 26 lat więzienia za „rozsiewanie fałszywych wiadomości, działanie na szkodę integralności narodowej, obstrukcję zarządzeń władz i nieposłuszeństwo". Do tego odebranie obywatelstwa i wysoka grzywna. Żaden krytyk reżimu Ortegi po jego powrocie do władzy nie został ukarany tak surowo. Mniej więcej w tym samym czasie na kary do 10 lat więzienia skazano czterech księży i dwóch seminarzystów z diecezji bp. Alvareza, wśród nich ks. Ramiro Tijerino, pełniącego funkcję rektora Uniwersytetu im. Jana Pawła II w Matagalpie. Kilkunastu uwięzionych księży zostało wysłanych do Watykanu w październiku 2023 roku. W styczniu 2024 roku władze wypuściły z więzień i wydaliły z kraju kolejnych kilkunastu księży, w tym biskupa Alvareza. W grupie osób zwolnionych z więzień i odesłanych samolotem do Rzymu był też bp Isidoro Mora, a także dwóch seminarzystów. W komunikacie rząd podziękował papieżowi Franciszkowi i innym hierarchom Kościoła za „pełną szacunku i dyskretną koordynację, potrzebną do zorganizowania podróży do Watykanu dwóch biskupów, 15 księży i dwóch seminarzystów".

Prześladowania katolików

Represje uderzyły nie tylko w duchowieństwo i zakony, lecz także w studentów, mniejszości i zmarginalizowane populacje, a nawet małe firmy w miasteczkach i na wsi, dla których jednym ze źródeł dochodu było zaangażowanie w obchody świąt, uroczyste procesje, powiązane z tym festyny i handel. To się w dużej mierze skończyło wraz z coraz ściślej egzekwowanym zakazem świętowania przez katolików. Wielu księżom uniemożliwiono nawet odprawianie tradycyjnych mszy na cmentarzach z okazji Dnia Zmarłych, ważnego święta w całej Ameryce Łacińskiej. Parlament Nikaragui, zdominowany przez Sandinistowski Front Wyzwolenia Narodowego Ortegi, zamknął ponad 3 tys. organizacji pozarządowych, w tym organizację charytatywną Matki Teresy, tworząc poważną lukę w usługach socjalnych, zwłaszcza na obszarach wiejskich. Oprócz wielu aktywów diecezjalnych, rząd skonfiskował prestiżowy Uniwersytet Ameryki Środkowej, którego jezuiccy przywódcy otworzyli drzwi dla protestujących studentów uciekających przed policyjnymi i paramilitarnymi zbirami. Sąd nakazał rządowi przejęcie prowadzonego przez jezuitów Uniwersytetu Środkowoamerykańskiego (UCA), oświadczając, że szkoła była „centrum terroryzmu". Konfiskata uniwersytetu była kolejnym ciosem dla Kościoła katolickiego, uniwersytetów i resztek społeczeństwa obywatelskiego Nikaragui. Uniwersytet poinformował, że sąd nakazał konfiskatę jego majątku i kont bankowych. UCA to uniwersytet jezuicki, a papież Franciszek jest jezuitą. Co więcej, jest pierwszym papieżem pochodzącym z Ameryki Łacińskiej. Tym głośniejsze jest jego milczenie w sprawie prześladowania Kościoła w Nikaragui. Dziennikarz Andres Oppenheimer zauważył ten problem rok temu, w sierpniu 2022 roku: „Trudno zdecydować, co jest bardziej oburzające: decyzja dyktatora Nikaragui Daniela Ortegi o zamknięciu siedmiu rozgłośni radiowych Kościoła rzymskokatolickiego oraz biskupa i jego współpracowników w areszcie domowym, czy całkowite milczenie papieża Franciszka o tych atakach... Trudno jest wyjaśnić, dlaczego papież Franciszek nie potępił ani nawet nie wspomniał o atakach reżimu Ortegi na Kościół".

Uwięzienie bp. Alvareza w końcu doprowadziło do dwóch komentarzy papieża Franciszka na temat reżimu Ortegi. W lutym 2023 roku papież powiedział, że jest „zasmucony" uwięzieniem biskupa Alvareza. W marcu 2023 roku papież porównał nikaraguański reżim do „komunistycznej z 1917 roku lub hitlerowskiej dyktatury z 1935 roku". Papież otworzył nowy, 2024 rok apelem o modlitwę za Nikaraguę, wyrażając głęboką troskę o biskupów i księży „pozbawionych wolności" i wzywając do „poszukiwania drogi dialogu w celu przezwyciężenia trudności". Wielu wygnańców twierdzi, że podczas gdy negocjacje w sprawie uwolnienia księży i innych więźniów politycznych oznaczają postęp, wysyłanie ich na wygnanie nie może stać się akceptowalną praktyką. Bez silniejszych protestów ze strony Watykanu i zagranicznych rządów, pozostali przedstawiciele Kościoła w Nikaragui zostaną zmuszeni do dostosowania się do rządów Ortegi, które obecnie popiera tylko mniejszość duchownych. Pomimo rosnącego strachu, wielu wiernych nadal uczęszcza na nabożeństwa – tam, gdzie są one dostępne. Zwłaszcza bowiem na obszarach wiejskich parafie i kaplice pozostają bez księży, choć seminaria wciąż mają

eprasa.pl e1f842f673

studentów, więc niektórzy wierni mają nadzieję, że w końcu będą w stanie zastąpić tych wygnanych lub zmuszonych do ucieczki.

Póki co, są w trudnym położeniu. „Ludzie trzymają teraz głowy nisko, zastanawiając się: »Jeśli zrobią to księżom, co zrobią z nami?«" – powiedział agencji AP jeden z wygnanych księży. Zakazano mu powrotu do Nikaragui, gdzie, podobnie jak wielu księży i sióstr zakonnych, ściągnął na siebie gniew rządu za udzielenie schronienia i pierwszej pomocy rannym, gdy rząd Ortegi brutalnie stłumił masowe protesty w 2018 roku. Jeśli samo odmawianie różańca na ulicy jest niebezpieczne, to co mówić o zgłaszaniu władzom ataków na miejsca kultu? Wielu księży uważa, że jeśli dokonają zgłoszeń, będzie więcej represji wobec wspólnot. Mówią, że czekać ich może tylko jedno z trzech: cmentarz, więzienie lub wygnanie. Uczestnicy mszy zaczęli zauważać ludzi w ławkach, których nigdy wcześniej nie widzieli. To informatorzy mający donosić o wszelkich przejawach sprzeciwu wobec rządu, nawet jeśli jest to tylko modlitwa o bezpieczeństwo uwięzionych duchownych. W ubiegłym roku uwięziono dziennikarza pod zarzutem „fałszywych informacji" po tym, jak relacjonował obchody Wielkanocy, podczas gdy publiczne obchodzenie świąt katolickich zostało w dużej mierze zakazane. Obraźliwe napisy na murach świątyń, podpalenia, napaści „nieznanych sprawców". Zatrzymania duchownych i wiernych. Procesy, zamykanie katolickich mediów i delegalizowanie organizacji katolickich – tak wygląda dziś sytuacja Kościoła katolickiego w Nikaragui.

Powrót sandinistów

Zniszczenie Kościoła to ostatni etap budowy dyktatury w Nikaragui. Ortega startował we wszystkich wyborach prezydenckich w Nikaragui od 1984 roku. Trzy razy przegrał, pięć razy wygrał. Choć te ostatnie wybory (2016, 2021) i oczywiście te pierwsze (1984) wiele z demokracją wspólnego nie miały. Ale to po ostatnich lider sandinistów zdecydowanie przykręcił śrubę. Kluczowe były wybory na jesieni 2021 roku. Ortega wsadził konkurentów do więzienia, zanim na dobre ruszyła kampania wyborcza. W 90-osobowym parlamencie aż 76 deputowanych jest z prezydenckiej partii FSLN. Ortega zdobył reelekcję z blisko 76 proc. głosów. „Wybory" odbyły się bez międzynarodowych obserwatorów i niemal bez zagranicznych mediów. Rok później, w wyborach lokalnych, FSLN wygrała w 141 okręgach na 153 okręgi. Od 2016 roku wiceprezydentem jest żona prezydenta, czyli Rosario Murillo. Rodzina Ortega trzęsie krajem, niczym kiedyś rodzina Somozy, z którym wszak sandiniści walczyli. Prezydencka para ma w sumie dziewięcioro dzieci (troje z nich to potomstwo pani wiceprezydent z pierwszego małżeństwa): ośmioro z nich ma oficjalny status doradców prezydenta. Mają ogromne wpływy w biznesie i mediach, jeden z synów, Rafael Antonio Ortega Murillo, kontroluje telewizję.

Daniel Ortega był jednym z liderów Frakcji Powstańczej FSLN, która dokonała spektakularnego ataku na siedzibę parlamentu w sierpniu 1978 roku. Partyzantów przygotował i pomógł im zaplanować akcję Wydział VIII (operacje specjalne) Zarządu S (nielegałowie) I Zarządu Głównego KGB (wywiad). Oddział przebranych w mundury Gwardii Narodowej zajął budynek parlamentu w Managui, biorąc jego członków za zakładników. Somoza zapłacił wielki okup i zwolnił 59 więźniów. Partyzanci wraz ze zwolnionymi towarzyszami spokojnie odlecieli na Kubę. Właśnie pod naciskiem Hawany trzy frakcje FSLN – Powstańcza, Proletariacka, Przedłużonej Wojny Narodowej – zawarły porozumienie. Kubański wywiad pomógł sandinistom założyć bazę w Kostaryce, gdzie przygotowali ofensywę przeciwko reżimowi Somozy. W maju 1979 roku wkroczyli do Nikaragui. CIA zapewniła Biały Dom, że ofensywa nie ma szans powodzenia. Tymczasem szybkość i łatwość, z jaką upadła dotychczasowa władza, zaskoczyła wszystkich. 19 lipca 1979 roku sandiniści wkroczyli do Managui.

W październiku pojawił się tam Nikołaj Leonow, główny specjalista KGB od Ameryki Łacińskiej. Przez tydzień prowadził tajne rozmowy z liderami sandinistów. Dzięki informacjom z tzw. archiwum Mitrochina (pracownik KGB, który przemycił na Zachód znaczną część dokumentów sowieckiego wywiadu) wiado-

Obraźliwe napisy na murach świątyń, podpalenia, napaści „nieznanych sprawców". Zatrzymania duchownych i wiernych. Procesy, zamykanie katolickich mediów i delegalizowanie organizacji katolickich – tak wygląda dziś sytuacja Kościoła katolickiego w Nikaragui.

eprasa.pl e1f842f673

mo, że Daniel Ortega „uważał ZSRS za sojusznika klasowego i strategicznego, a doświadczenie sowieckie w budowie partii i państwa uznawał za model, który należy zbadać i wykorzystać w praktycznych działaniach w Nikaragui". Ortega zgodził się na nieoficjalne kontakty z przedstawicielami KGB dla wymiany informacji. Przekazał też Leonowowi tajny dokument pokazujący polityczne plany FSLN. Potępiał on „amerykański imperializm" i głosił chęć przekształcenia FSLN w marksistowsko-leninowską „partię awangardy", która w sojuszu z Kubą i blokiem sowieckim poprowadzi „walkę klasową" nie tylko w Nikaragui, lecz także całej Ameryce Środkowej.

W listopadzie 1981 roku Moskwa podpisała z Nikaraguą traktat zbrojeniowy. W ciągu paru lat EPS (Ejército Popular Sandinista – Sandinowska Armia Ludowa) stała się stutysięczną, największą w Ameryce Środkowej siłą zbrojną. Ronald Reagan nie zamierzał odpuszczać. USA zaczęły wspierać walczącą z sandinistami partyzantkę, tzw. contras. Gdy zaś Amerykanie obalili marksistowski reżim na Grenadzie, Ortega i KGB zaczęli się bać, że kolejnym celem będzie Nikaragua. Sowieci woleli nie prowokować USA, dlatego nigdy nie przekazali Nikaragui eskadry samolotów MiG-21, co przewidywał wspomniany układ z 1981 roku. Gdy rządy w ZSRS przejął Michaił Gorbaczow, Sowieci przestali dotować reżim Ortegi. Zapowiedzieli tracącym poparcie społeczne sandinistom, że powinni szukać innych politycznych rozwiązań. W ramach planu pokojowego wynegocjowanego przez prezydenta Kostaryki Oscara Ariasa Sancheza, sandiniści zgodzili się na międzynarodowy nadzór nad wyborami. Byli przekonani, że i tak wygrają. Tymczasem w lutym 1990 roku przegrali z szeroką koalicją partii opozycyjnych.

Gdy Ortega wrócił do władzy, zwrócił się natychmiast do Rosji – zwłaszcza że na Kremlu panował już Putin prowadzący politykę odbudowy wpływów na świecie. W 2008 roku Nikaragua była pierwszym państwem po Rosji, które uznało niepodległość Abchazji i Południowej Osetii, separatystycznych regionów Gruzji. W 2009 roku Managua dostała dwa śmigłowce Mi-17B-5, po trzech kolejnych latach pojazdy opancerzone Tigr, zaś po aneksji Krymu baterię artylerii przeciwlotniczej. Właśnie w lipcu 2014 roku, już po aneksji Krymu, Putin złożył nieoczekiwanie wizytę w Nikaragui. Rosjanie zbudowali w Nikaragui centrum wojskowo-szkoleniowe i zainwestowali dziesiątki milionów dolarów w modernizację armii. Kreml dostarcza reżimowi Ortegi czołgi, systemy przeciwlotnicze, śmigłowce, kutry patrolowe, pojazdy opancerzone. W rosyjskich szkołach wojskowych uczą się oficerowie z Nikaragui. W czerwcu 2022 roku Ortega podpisał dekret, zgodnie z którym rosyjskie wojsko może korzystać z terytorium nikaraguańskiego, wód i przestrzeni powietrznej tego kraju „w ramach zadań związanych z celami szkoleniowymi, egzekwowaniem prawa, pomocą humanitarną, misjami ratunkowo-poszukiwawczymi w sytuacjach kryzysowych i klęsk żywiołowych".

Totalna kontrola

Paradoksalnie, to w dużej mierze hierarchom Kościoła Ortega zawdzięcza powrót do władzy. Jako szef Frente Sandinista de Liberación Nacional (FSLN), Ortega przejął nad partią pełną kontrolę, marginalizując starych sandinowskich towarzyszy. Później zawarł sojusz z Sojuszem Liberalnym i swym dawnym wrogiem, kardynałem Miguelem Obando y Bravo. W efekcie, w 2006 roku, czyli po 16 latach, dawny przywódca marksistowskiego reżimu w pełni demokratycznie wrócił na fotel prezydenta. Został prezydentem, choć uzyskał 38 proc., zaś dwaj jego rywale, odpowiednio 29 i 26 proc. (w Nikaragui nie ma II tury i nie trzeba uzyskać ponad 50 proc. głosów). Ale sprawnie zaczął rozbudowywać swe wpływy. Korumpował sądy i szefów policji oraz wojska, a wraz z kolejnymi wygrywanymi wyborami (2011, 2016) demokracji w Nikaragui było coraz mniej, realnej władzy Ortegi zaś coraz więcej. Dawni marksiści dobrze radzili sobie w kapitalizmie. Sandinistom przytrafiła się też gospodarcza koniunktura. Gdy nadszedł kryzys, w 2018 roku na ulice wyszli ludzie – nie tylko zresztą z powodów socjalnych, lecz także w proteście przeciwko coraz brutalniejszym rządom Ortegi. Demonstracje zostały rozpędzone, zginąć mogło nawet ponad 600 ludzi.

Reżim kontroluje ulice przy pomocy grup paramilitarnych, zbrojonych przez wojsko i policję. Ortega skorzystał też z wzorców rosyjskich, uchwalając prawo, które uniemożliwia organizacjom pozarządowym otrzymywanie zagranicznych funduszy i zmusza osoby związane z tymi organizacjami do zarejestrowania się jako „zagraniczni agenci", co blokuje im udział w życiu politycznym. Zgromadzenie Narodowe wprowadziło do konstytucji zapis, na mocy którego czyny kwalifikowane jako „zbrodnie z nienawiści" mogą być karane dożywotnim więzieniem. Aresztowano siedmioro głównych kandydatów opozycji na urząd prezydenta. W tym córkę byłej prezydent Violety Barrios de Chamorro (1990–1997), tej samej, której Ortega musiał niegdyś oddać władzę, oraz Dorę Marię Tellez, legendarną Comandante 2, która w 1978 roku, mając zaledwie 22 lata, dowodziła spektakularną akcją zajęcia parlamentu w Managui. Zerwała z Ortegą w 1995 roku. W lutym 2022 roku została skazana na osiem lat więzienia. Dziś tak naprawdę Ortega nie ma opozycji politycznej. Pozbył się też dawnych towarzyszy-sandinistów. Prowadzi politykę antyamerykańską i prorosyjską. Po wielu latach znów ma tych samych wrogów i sojuszników. ■

eprasa.pl e1f842f673

Ryszard Czarnecki

Zapiski z Angoli

Jestem w Angoli ponownie. Pierwszy raz byłem parenaście lat temu. Na przykładzie tej dawnej portugalskiej kolonii widać, jak bardzo w ciągu półtorej dekady zmieniła się i Angola, i cała Afryka. Cały kontynent znalazł się w gospodarczej windzie, która jedzie w górę. Często w Polsce patrzymy na Afrykę przez pryzmat tysięcy imigrantów, którzy przypływają codziennie do Europy. To prawda, ale nie zmienia to faktu, że Czarny Ląd idzie do przodu. Olbrzymi przyrost demograficzny nakręca gospodarkę. Dotyczy to też Angoli.

Na angolskiej prowincji za ludzi bogatych uważa się tych, którzy mają… dużo dzieci. Tak jest zwłaszcza na wsi. Angolczyków przybywa w niesłychanym tempie. Połowa populacji ma poniżej 16 lat! Z drugiej strony ponad milion dzieci nie uczy się w szkołach.

Angola jest krajem w 95 proc. chrześcijańskim, głównie katolickim. Są tu też polscy misjonarze i zakonnice. Według danych Episkopatu Polski, mamy tu trzy misjonarki: s. Jadwigę Pietrucką, s. Martę Sojkę i s. Marię Domalewską. Jest też werbista ojciec Edward Sito SVD. Głosi Słowo Boże w diecezji Dundo znajdującej się 1200 kilometrów od stolicy. Żeby dotrzeć do Luandy, musi jechać, jak pisze do mnie, „od 20 do 30 godzin […] w zależności od drogi i deszczów". Mieszka 4 kilometry od granicy z Demokratyczną Republiką Kongo, w regionie dla Angoli strategicznym, bo decydującym w dużej mierze o bogactwie kraju: są tu kopalnie diamentów. Gdy miejscowy biskup wyjeżdża, zastępuje go właśnie on – polski kapłan. Biskup nazywa się Estanislau Marques Chindecasse i był w Polsce pięciokrotnie. Ponad połowę życia spędził w Europie i poza portugalskim, który jest tu językiem oficjalnym, mówi po angielsku, francusku, niemiecku i włosku.

Problemem Angoli – jak wielu innych państw w Afryce – jest duża korupcja. Policjanci (!) wymuszają łapówki na „białych": misjonarzach, dyplomatach, turystach. Ostatnio zaczepili ambasadora jednego z większych krajów UE, który wyszedł z siłowni w szortach. Powiedzieli mu, żeby dołożył się im… na lunch.

Ciąg dalszy „Poloników". Pod Luandą w Kifangondo funkcjonuje od lat „polski szpital". Przez wiele lat jego dyrektorem był Polak – misjonarz-werbista. W szpitalu pracują też polscy wolontariusze, w tym żona obecnego ambasadora.

Są też ludzie z angolskich elit, którzy studiowali kiedyś w Polsce i wciąż po polsku mówią. Jednym z gubernatorów jest absolwent polskiego uniwersytetu z lat 80., jest też dwóch mówiących po polsku wiceministrów.

W Angoli jest raptem czterech ambasadorów z naszego regionu Europy: Polski, Rumunii, Węgier i Serbii. W sumie mamy tam dwóch dyplomatów. Nasza placówka obsługuje też sąsiednią Demokratyczną Republikę Konga, a więc kraj, którego władze i media zaatakowały ostatnio Polskę za wspieranie Rwandy (w której był nasz prezydent), pozostającej w ostrym konflikcie z DRK. Poza dyplomatami i misjonarzami naszych rodaków jest tu niewielu. Dwóch braci Dowborów jest właścicielami jednej z dwóch największych firm w Angoli (6 tys. pracowników – największa, z branży naftowej, zatrudnia 7500 ludzi). Ich wielobranżowa Buo Vida (Dobre życie) buduje osiedla domów, ale działa też na przykład w rybołówstwie. Dowborowie pamiętają o Polsce, w budowanych przez nich apartamentowcach znajdują się lodówki z polskiej Amiki, a firma funduje rocznie od pięciu do ośmiu stypendiów na studia w Polsce.

Są też Polacy pracujący na platformach naftowych – ropa to obok diamentów główne bogactwo tego kraju. Nazywają ich, uwaga, „platformersami". Przyjeżdżają do pracy przy odwiertach na kilka tygodni i wracają do Polski, aby znowu tutaj przyjechać. W ostatnich wyborach w naszej ambasadzie w Luandzie głosowało niespełna 30 osób.

Angola to kraj paradoksów: puszka piwa jest tu tańsza od butelki wody mineralnej. W czasie rozruchów ciężarówki rozwoziły piwo za darmo, aby protestujący się trochę uspokoili…

Oto Angola! ■

eprasa.pl e1f842f673

Mindanao znów pod wodą



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Bilans strat rośnie. Zginęli ludzie, a ciał niektórych nadal nie odnaleziono. Filipiński tajfun ponownie uderzył. I podobnie jak to czynił poprzednimi laty, zasiał strach, panikę i śmierć. Najsmutniejsze, że mimo alertów i świadomości zagrożenia, żywioł wciąż zaskakuje. I wciąż zabija.

eprasa.pl e1f842f673



FOT. EU CIVIL PROTECTION AND HUMANITARIAN AID



Dopiero koniec kilkudniowych opadów i długo wyczekiwane wyjście słońca sprawiają, że można wiarygodnie oszacować straty.

Już siódma rano. Ciepły i słoneczny poranek 15 stycznia 2024 roku nad Manilą zwiastuje kolejny upalny dzień. Póki co są tylko 24 stopnie Celsjusza. W południe jednak słupki rtęci przekroczą 32 stopnie, sprawiając, że znów ciężko będzie poruszać się po ulicy. Tej samej, na której póki co słychać głównie stare silniki wysłużonych jeepneyów. Ociężałych pasażerskich ciężarówek – zaadaptowanych przez pragmatycznych Filipińczyków ze starych amerykańskich wozów wojskowych – tarasujących w tej chwili niemal każde okoliczne skrzyżowanie. Na przecięciu szerokiej trzypasmowej alei Katipunan z aleją Garcia zdążył utworzyć się korek, który od dobrych kilkunastu minut zdaje się nie przesuwać nawet o centymetr. Auta stoją w miejscu. Część uwięziona podczas manewru zawracania. Część pozostawiona na środku skrzyżowania. Zastygła samochodowa masa. Z rozklekotanymi silnikami. Z dźwiękami klaksonów. Jadący na skuterach wspierając się nogami o pobliski krawężnik od chodnika zręcznie omijają kolejne auta i jeepenye.

Pośpiech

– No jedźcie! – siedzący za kierownicą swojego białego volvo Noli też ma już dość. Trasę do Quezon City, historycznej stolicy kraju, zna aż za dobrze. Jeździ tędy niemal codziennie. Ale takiego korka jak dziś dawno nie widział. Jak na złość ma dziś z samego rana posiedzenie sztabu kryzysowego. Musi być punktualnie.

Mężczyzna intuicyjnie wciska klakson. Po chwili zaczyna trąbić również stojący przed nim kierowca. I kolejny. Kawalkada piskliwych dźwięków unosi się nad Katipunan Avenue. Nic to jednak nie daje. Korek ani drgnie. Noli jedynie apatycznie obserwuje, jak kolejny już raz na usytuowanym nad nim sygnalizatorze zielone światło zmienia się na pomarańczowe i czerwone. Mimo to od ponad 20 minut żadne auto nie zmieniło swojej pozycji.

Po blisko godzinie samochody wreszcie ruszają. Na pierwszym możliwym skrzyżowaniu Noli prędko skręca w lewo. Tu już nie ma praktycznie żadnego ruchu. Na poboczu widać stojące luksusowe samochody. Wysokie rozłożyste drzewa rzucają cień na chodniki. Równolegle wzdłuż uliczki biegną poprowadzone ogrodzenia okolicznych zamkniętych osiedli. Noli mija budynek pobliskiej biblioteki College'u Ekonomicznego, by zaraz za uczelnią skręcić na niewielki parking. Między wysokimi zielonymi zaroślami widać przedzierający się kolor czerwonej cegły okolicznych zabudowań. Jest obła wieżyczka obserwacyjna, a obok nieco większy budynek z ulokowanymi na jego dachu sprzętami pomiarowymi. I wyraźny biały napis na ścianie: Pagasa – Astronomical

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl e1f842f673



Pomimo ostrzeżeń żywioł zaskoczył wielu mieszkańców swoim zasięgiem i intensywnością.

Observatory. Noli prędko otwiera drzwi i zdecydowanym krokiem udaje się w stronę sali konferencyjnej. Póki co na korytarzu nie widać nikogo. Spotkanie najwidoczniej już trwa. Zaczęli bez niego.

– Dzień dobry, panie oficerze. Dobrze, że pan wreszcie do nas dotarł… – gdy Noli wchodzi wreszcie do sali, twarze wszystkich zebranych zwracają się w jego stronę. Witający go siwy mężczyzna najwidoczniej właśnie wygłaszał do wszystkich jakieś przemówienie. Teraz przerwał.

– Przepraszam za spóźnienie… – odpowiada mocno zażenowany Noli.

– Czy ma pan już gotowy raport? – jakby nie reagując na przeprosiny mężczyzna zwraca się do Noliego.

– Tak, za godzinę powinien być już gotowy. Brakuje mi dosłownie dwóch danych i zamykamy temat.

– No dobrze. A jakie wnioski? – do tej pory siwy mężczyzna nie spoglądał na Noliego. Dopiero teraz, zadając to pytanie, podnosi głowę w stronę rozmówcy.

– Trzeba zarządzić bezwzględną ewakuację. Nie mamy czasu. Należy działać bardzo szybko.

Za kilka godzin do wszystkich oddziałów dystryktu Davao na wyspie Mindanao zostanie wysłana oficjalna depesza z pieczątką centrali Pagasa. I z komunikatem prognozującym ulewne deszcze oraz burze, które przez najbliższe 12 godzin mają wystąpić w regionie. Instytut prognozuje, że obfite opady mogą skutkować podtopieniami. A te z kolei osuwiskami i błotnymi lawinami. Wszystko przez przebiegającą obok monsunową linię frontu. Niniejszym w depeszy wzywa się władze miasta Davao, aby na wtorek 16 stycznia zarządziły do dowołania zawieszenie pracy w urzędach oraz zajęć w szkołach. Jednocześnie przeprowadzając zapobiegawczą ewakuację mieszkańców.

▶ Z automatu na ręczną

Wtorek, 16 stycznia. Wyspa Mindanao. Osiedle Jade Valley w mieście Davao. Od kilku godzin mieszkańcy pieczołowicie przygotowują swoje domy na najgorsze. Wszyscy usłyszeli już alerty o zbliżającym się cyklonie. Układają więc na okolicznych skarpach duże worki z piaskiem. Uszczelniają blaszane dachy. Kto dysponuje piętrem, przenosi tam najcenniejsze sprzęty. Jednak o przeprowadzce i pozostawieniu swego domu na dobre mało kto myśli.

– Jeśli znasz jakąś darmową firmę, która zajmuje się przeprowadzkami, daj kontakt. Chętnie się z nimi skontaktuję – ironizuje Felix, 50-letni mężczyzna zamieszkujący osiedle. Jedno z bardziej narażonych na skutki błot-

FOT. EU CIVIL PROTECTION AND HUMANITARIAN AID

eprasa.pl e1f842f673



Styczniowe deszcze na Mindanao trwały nieprzerwanie kilka dni.

FOT. KRIS CARILLO

eprasa.pl e1f842f673



Wielodniowe intensywne opady deszczu połączone z wichurami zabrały Filipińczykom dobytek życia.

nych powodzi miejsc w Davao. Usytuowane między niewysokimi wzgórzami i oddalone zaledwie kilkaset metrów od rzeki Davao jest zalewane niemal cyklicznie. – Przyzwyczaiłem się już… – opowiada smutno mężczyzna. – Do tego stopnia, że gdy tylko przychodzi fala, wiem już, co robić i co muszę ze sobą zabrać.

Po dłuższej rozmowie zdradza, że jeszcze w latach 90. sytuacja w Jade Valley nie wyglądała tak dramatycznie jak teraz. – Woda powodziowa praktycznie sięgała do kolan. To wszystko – opisuje. – Jednak w miarę upływu lat ten poziom wód stale się podnosił.

Ciężko oszacować, czy wpływ na to miały prowadzone na okolicznych wzgórzach prace irygacyjne oraz rolnicze, ale rzeczywiście obserwując kolejne powodzie, wygląda na to, że poziom nieprzepuszczalnej warstwy w podłożu znacznie się podniósł. Albo zwyczajnie zmniejszyła się pojemność wodna gleby. Widać to było podczas powodzi w 2011, 2012 i 2013 roku. – Wtedy woda nie sięgała już tylko kolan… – wspomina Felix. – W 2011 roku fala powodziowa sięgała bioder. Potem dochodziła do szyi, a kolejne były już tak wysokie, że pokrywały mnie całego. Najgorszy przypadek był w 2017 roku. Wysokość wody sięgała wówczas niemal 3 metrów. Wtedy po raz pierwszy zniszczyła nam sufit w domu.

Od tamtej pory Felix przestał kupować cenniejsze sprzęty elektroniczne do domu. – Kiedyś mieliśmy w domu nawet pralkę automatyczną – wyjaśnia. – Aż przyszła powódź i zniszczyła. Wróciliśmy więc do naszej pralki ręcznej. I ta akurat działa już od 9 lat. Mimo że wielokrotnie zanurzała się wodzie. Po co więc nam lepsze sprzęty?

Ulga w sercu i spray na błoto

Tego wieczoru nad Davao faktycznie zaczyna padać. Z czasem delikatny deszcz przemienia się w tropikalną ulewę. Woda w rzece momentalnie zaczyna płynąć niespokojniej. Pojawiają się pierwsze spiętrzenia i niewielkie wodospady. Raz po raz rzeka zaczyna podmywać gliniasty brzeg. Pierwsze strugi zaczynają dopływać do najbliższych domostw.

Na szczęście woda tej nocy nie przekroczy kilkudziesięciu centymetrów wysokości. Mieszkańcy wrócą do domów z ulgą w sercu. Część zdąży nawet zainwestować w specjalne spraye, które będą im pomagać w usuwaniu skutków błota na podłodze i w dolnej partii ścian. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że minione ulewy to zaledwie początek czegoś większego.

Nie minie tydzień, jak manilskie centrum obserwacyjne Pagasa wyśle na Davao kolejne ostrzeżenie. Alert będzie przestrzegał przed następnym nadciągającym frontem cyklonu zwiastującym potężne opady deszczu.

FOT. EU CIVIL PROTECTION AND HUMANITARIAN AID

eprasa.pl e1f842f673

Pierwsze dźwięki syren zabrzmią w Davao jeszcze rano. Mieszkańcy, objuczeni workami z jedzeniem, odzieżą oraz kocami, systematycznie będą opuszczać swoje domy. Jednak nie wszyscy. Część, pomna niedawnych opadów, zostanie u siebie. Służby z Miejskiego Biura Zarządzania Kryzysowego (znanego na Filipinach jako CDRRMO, od City Disaster Risk Reduction Management Office) będą więc systematycznie ewakuować przymusowo kolejnych mieszkańców dzielnicy. Poczynając od tych mieszkających najbliżej rzeki. I rzeczywiście: zgodnie z prognozami wieczorem na Davao spadają pierwsze krople deszczu.

W oczekiwaniu na pomoc

Tym razem jednak deszcz nie ustanie tak szybko. Ulewy będą występować nieprzerwanie od 28 stycznia aż do 2 lutego. Skutkując wylewaniem rzek, podmywaniem stoków i lawinami błotnymi.

Wioska Kusiong. Przeciwległa względem miasta Davao strona wyspy Mindanao. Całonocne ulewy naruszają strukturę gleby i systemów korzennych okolicznych stoków. Drzewa zaczynają się chwiać. Zwalone pnie tarasują drogę ucieczki mieszkańcom. Ci zaś rzeczywiście mają przed czym uciekać. Kilka godzin przed świtem na wioskę zaczyna nacierać błotnista breja niosąca zwały gliny oraz kamieni. W ciągu kilku godzin ginie 50 ludzi.

Ratownicy nie nadążają z pomocą wszystkim potrzebującym. W miasteczku Datu Blah Sinsuat wskutek powodzi ginie 17 osób. Pozostali oczekują na pomoc na dachach swoich domów. Żałują, że nie opuścili ich wcześniej. Teraz trzeba czekać na kogoś, kto przyjdzie z pomocą. A rąk do pracy wcale nie ma tak dużo. Na Mindanao nie ma dziś chyba nikogo, kto nie znałby kogoś, kto ucierpiał wskutek cyklonu. Każdy ma więc komu pomagać

Naturalna pułapka

Mijają dni. Do sztabu kryzysowego na wyspie Mindanao docierają kolejne tragiczne statystyki. Do 5 lutego 2024 roku zalane są 222 jednostki terytorialne. Z czego w aż 26 przypadkach nastąpiło zapadnięcie się drogi. Ponadto odnotowano 42 przypadki osunięcia się ziemi. Wskutek tajfunu poszkodowanych jest ponad 812 tys. ludzi, z których zdążono do tej pory ewakuować 398 tys. Wreszcie najbardziej tragiczna ze statystyk: nie żyje już 16 osób. Trzy osoby są uznane za zaginione. Ratownicy i tak są zdania, że to pewien cud. Taka liczba zabitych przy takiej skali zniszczeń…

Deszcz nie przestaje padać. Przychodzi wtorek 6 lutego. Północnowschodnie prowincje wyspy – Mawab i Davao de Oro. Przy normalnych warunkach z miasta Davao jedzie się tutaj nieco ponad dwie godziny. Jednak nie teraz. Niedające za wygraną ulewy zalewają główne trasy całej prowincji. Na poszczególnych odcinkach pojawiają się charakterystyczne osuwiska z czerwonej gleby laterytowej. Pod wodą jest choćby przeszło 300-metrowy odcinek mostu w Monkayo. Pokrywa go w tej chwili ciemnobrunatna woda z pobliskiej rzeki Agusan.

Dojazd do kolejnych wiosek staje się siłą rzeczy niemożliwy. Do dyspozycji ratowników pozostaje w tej sytuacji jedynie śmigłowiec. I łodzie. Do maleńkiej osady Masara, ulokowanej wśród zielonych wzgórz Doliny Compostela, nie da się jednak dotrzeć ani jednym, ani drugim. Prowadzi tu tylko wąska – miejscami asfaltowa, a miejscami szutrowo-kamienista – droga. Otoczona tropikalnym lasem miejscowość jest w tej sytuacji dla lokalnych mieszkańców naturalną pułapką. Dopiero tego wtorkowego wieczoru przekonają się, jak bardzo dla nich niebezpieczną.

Lawina

Masara. Zamieszkana przez kilkuset mieszkańców górska wioska pośród zarośli. Z jedną utwardzoną kamienistą drogą pośrodku. Maleńkie murowane domki przyklejone do zielonego stoku nad potokiem. Część z domów nie ma nawet wstawionych szyb w otworach okiennych. Zamiast nich widać tylko kratkę z bambusowych gałęzi. Bieda.

Godzina 18. Nad wioską zapadają leśne ciemności. Nikt już nie włącza światła. Nie ma takiej potrzeby. Od kilku dni woda zdążyła już na tyle podmyć okoliczne skały i drogi, że nikomu teraz w głowie zajmowanie się jakąkolwiek pracą. Niech ten koszmar po prostu minie. Niech ten deszcz wreszcie przestanie padać. Jedynym dźwiękiem, jaki unosi się w tej chwili nad osadą, jest przemieszany stukot deszczu z szumem okolicznego potoku. Wezbranego jak mało kiedy.

Naraz do kanonady dźwięków dołącza jeszcze jeden. Potężny i gwałtowny hurgot. Przerażeni mieszkańcy wybiegają przed swoje domy. Lawina! Błotnista breja osunęła się z pobliskiego stoku, zalewając okoliczne zabudowania. Rozpoczyna się akcja ratunkowa. Ludzie na własną rękę usiłują pomóc poszkodowanym. Na ratowników póki co nie mogą liczyć. Ci dojadą do Masary najwcześniej za kilka godzin.

Ocalona po trzech dniach

Prawdziwe efekty lawiny widać jednak dopiero nad ranem, gdy zaczyna świtać. Pod warstwą glinianego osuwiska znajdują się trzy zaparkowane autobusy

eprasa.pl e1f842f673



Tegoroczny filipiński tajfun to dla większości tutejszych mieszkańców kolejny tajfun w życiu.

i jeden jeepney. Wszystkie oczekiwały na górników pracujących w pobliskiej kopalni złota. Pod zwałami osuwiska znalazło się też 55 domów. Niestety są zaginieni. Ratownicy nie poddają się jednak, cierpliwie przeszukując zalane błotem domy. Pomimo wciąż upływających godzin do Masary przybywają kolejne ekipy niosących pomoc.

Naraz w piątkowy poranek przez osadę niesie się radosne pokrzykiwanie. Okazuje się, że przed chwilą ratownicy odnaleźli wśród powodziowych zgliszczy zaginioną trzyletnią dziewczynkę o imieniu Senang. Pomimo trzech dni od zaginięcia dziecko żyje. I jak się wkrótce okaże, będzie jedną z 32 osób, które uda się wydobyć spod błotnistej lawiny.

Na swoją córkę ze łzami w oczach czeka pan Orlando. W momencie uderzenia osuwiska ocalał tylko on wraz ze środkową córką, ośmioletnią Na Mae. Matki oraz najstarszej z córek ratownicy nadal poszukują. Póki co obie są uznane za zaginione. Podobnie jak 110 pozostałych mieszkańców Masary.

W piątek 9 lutego potwierdzona liczba ofiar lawiny w Masara zamknie się na liczbie 15 ludzi. Dziś jednak wiemy już, że urosła ona do 68 ofiar i nadal 48 zaginionych (stan na 14 lutego).

W oczekiwaniu

– Z tym żywiołem się nie dyskutuje – komentuje ks. Jakub Biernacki MIC, mariański misjonarz posługujący od lat na filipińskiej wyspie Mindanao. – Od kilku dobrych dni dosłownie nas zalewa. Ulice są pod wodą. Wszystko jest odcięte od świata. Nam na szczęście udało się w porę znaleźć w miarę bezpieczne miejsce. Teraz staramy się pomóc tym, którzy mieli tego szczęścia mniej.

Podobne zjawiska pogodowe na filipińskim archipelagu są niestety normą. Mieszańcy także traktują je jako swego rodzaju cykliczne zagrożenie. Różniące się od siebie jedynie stopniem zniszczenia. – Nauczyliśmy się już jakoś z tym żyć. W tym roku po zasłyszanych alertach wynieśliśmy naszą lodówkę przed dom i przymocowaliśmy ją do stalowego słupka na naszej działce – przyznaje Joel, mieszkaniec wspomnianego już osiedla Jade Valley w Davao. – W przeciwnym razie lodówka spłynęłaby ulicą, jak to było za poprzednim razem.

Na pytanie, czy nie rozważają czasem zmiany miejsca zamieszkania, odpowiadają zwykle podobnie. – Nie mamy wyboru. Nie stać nas na szukanie innego miejsca do życia. Musimy się po prostu dostosować. I przygotować na kolejne tajfuny. Te bowiem nadejdą. Tego akurat możemy być pewni. ■

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl e1f842f673

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Korea Północna

Północnokoreańscy hakerzy wykorzystują sztuczną inteligencję, by wesprzeć komunistyczne władze swojego kraju w kradzieży najnowocześniejszych technologii i funduszy na programy rozwijania nielegalnej broni nuklearnej.

Od lat celem ataków cyberprzestępców z Korei Płn. są m.in. pracownicy globalnych firm zajmujących się obronnością, bezpieczeństwem cybernetycznym i kryptowalutami, użytkownicy LinkedIn i innych platform sieciowych mający dostęp do poufnych informacji. Według danych amerykańskiej firmy Recorded Future, hakerzy z Korei Płn. wykradli w ciągu ostatnich sześciu lat aż 3 mld dolarów w cyfrowych aktywach. Jest to dziesięciokrotność eksportu tego kraju w całym 2021 roku. W 2022 roku północnokoreańscy cyberprzestępcy włamali się do sieci rosyjskiej firmy NPO Masz (Naukowo-Produkcyjne Zjednoczenie Budowy Maszyn), pioniera w dziedzinie rozwoju pocisków hipersonicznych, technologii satelitarnych i uzbrojenia balistycznego nowszej generacji.

Teraz jednak hakerzy z KRLD, przeprowadzając podobne akcje, mogą stosować bardziej wyrafinowane narzędzia. Na początku lutego amerykańskie laboratorium badawcze OpenAI i firma Microsoft potwierdzili, że hakerzy działający w imieniu Korei Płn., a także Chin, Rosji i Iranu, korzystają z usług firmy specjalizującej się w sztucznej inteligencji „w celu wspierania szkodliwych działań cybernetycznych". Już wcześniej Seul wykrył, że północnokoreańscy hakerzy wykorzystują generatywną sztuczną inteligencję do atakowania południowokoreańskich instytucji zajmujących się bezpieczeństwem.

Spośród 1,6 mln prób włamań hakerskich przeprowadzonych w ubiegłym roku przeciwko południowokoreańskim firmom i urzędom publicznym ponad 80 proc. pochodziło z Korei Płn., poinformowała w ubiegłym miesiącu Narodowa Służba Wywiadowcza Korei Południowej.

W wypowiedzi dla „Financial Times" Erin Plante, wiceprezes Chainalytic, platformy zajmującej się analizą technologii blockchain, stwierdziła, że zastosowanie przez Koreańczyków z północy generatywnej sztucznej inteligencji – oprogramowań naśladujących ludzkie możliwości – musiało stanowić ogromne wyzwanie. „Zaobserwowano, że północnokoreańskie grupy hakerskie tworzą wiarygodnie wyglądające profile rekruterów w profesjonalnych witrynach sieciowych, takich jak LinkedIn" – powiedziała Plante. „Generatywna sztuczna inteligencja pomaga w rozmowach, wysyłaniu wiadomości, tworzeniu obrazów i tworzeniu nowych tożsamości – we wszystkim, czego potrzebujesz, aby zbudować bliską relację z celem". Plante opisała przypadek, w którym hakerzy z Korei Płn. za pomocą narzędzi generatywnej sztucznej inteligencji nawiązali kontakt ze starszym inżynierem na japońskiej giełdzie kryptowalut. Udawali, na LinkedIn, że rekrutują do pracy na giełdzie w Singapurze. Fałszywi rekruterzy poprosili inżyniera o przeprowadzenie „ćwiczenia technicznego", które polegało na pobraniu oprogramowania. Umożliwiło im to umieszczenie w sprzęcie Japończyka oprogramowania szpiegującego.

Tajwan

16 lutego na spotkaniu sekretarza stanu USA Antony Blinkena z szefem MSZ ChRL Wang Yi, które miało miejsce podczas 60. Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium, strona chińska dużo uwagi poświęciła Tajwanowi. „Są tylko jedne Chiny, a Tajwan jest częścią terytorium Chin i taki jest prawdziwy status kwestii tajwańskiej" – stwierdził szef chińskiego MSZ. Przedsta-

eprasa.pl e1f842f673

wiciel ChRL ostrzegał także „siły zewnętrzne" przed działaniami na rzecz zmiany owego „prawdziwego statusu Tajwanu".

Tego samego dnia, gdy w Monachium odbywały się rozmowy Wanga z Blinkenem, na łamach „Foreign Affairs" ukazał się artykuł ostrzegający przed tym, co stałoby się, gdyby Tajwan trafił w ręce komunistycznych Chin. Autorami publikacji pt. „Tajwańska katastrofa" są prof. Andrew S. Erickson z Instytutu Chińskich Studiów Morskich na Naval War College, Gabriel B. Collins z Centrum Studiów Energetycznych na Rice University i Matt Pottinger, zastępca doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego w administracji Donalda Trumpa.

„Tajwan jest w pewnym sensie Berlinem Zachodnim nowej zimnej wojny toczącej się pomiędzy Pekinem a wolnym światem. To przyczółek wolności, dobrobytu i demokracji żyjący w cieniu autorytarnego supermocarstwa. Tak jak Stalin testował wolny świat 76 lat temu, blokując Berlin, tak teraz Xi testuje go, zwiększając presję na Tajwan" – piszą autorzy i wymieniają powody, dla których los Tajwanu powinien nas obchodzić.

W „Indeksie Demokracji 2023" think tanku Economist Intelligence Unit, Tajwan został wymieniony jako 10. demokracja świata, wyżej niż USA, Wielka Brytania czy Niemcy. „Tajwan ma również jedno z najbardziej sprawiedliwych ekonomicznie społeczeństw na świecie, ze stosunkowo niewielkimi dysproporcjami w podziale dochodów, mimo że średni dochód należy do najwyższych. PKB Tajwanu na mieszkańca przewyższyło PKB Japonii w 2023 roku" – czytamy w „Foreign Affairs". Jeśli ta dobrze prosperująca demokracja nie zostanie obroniona, niemal zupełnie znikną szanse na wolne i demokratyczne Chiny po drugiej stronie Cieśniny Tajwańskiej.

Autorzy wspominają też o tajwańskim przemyśle półprzewodnikowym, który dostarcza światu około 60 proc. wszystkich chipów, a ponad 90 proc. tych najbardziej zaawansowanych. „Tak jak tania rosyjska energia napędzała niemiecki przemysł przez dziesięciolecia, tak obfitość tajwańskich półprzewodników napędza globalny postęp technologiczny, boom na sztuczną inteligencję i rozwój wartych bilion dolarów amerykańskich gigantów technologicznych, takich jak Apple, Google, Microsoft i Nvidia". Gdyby doszło do inwazji czy blokady Tajwanu, wstrzymanie i zniszczenie tajwańskiej produkcji chipów przyniesie kryzys ekonomiczny większy niż te, które spowodowały pandemia COVID-19 i rosyjska napaść na Ukrainę.

Chiński atak i zajęcie Tajwanu byłoby też uderzeniem w obecnie obowiązujący porządek, bo Pekin nie zatrzyma się na wyspie. „Chiny zajmują tereny w Bhutanie i angażują się w potyczki graniczne z Indiami. Prowadzą spory ze wszystkimi swoimi morskimi sąsiadami. Aktywnie kwestionują roszczenia Japonii dotyczące wysp administrowanych przez Tokio i nazywanych Senkaku (a które Chiny nazywają Diaoyu), a także roszczenia terytorialne pięciu innych rządów na Morzu Południowochińskim" – pisze „Foreign Affairs".

Aneksja Tajwanu przez Pekin sprawi, że znacznie bardziej zagrożone będą Japonia i Filipiny. I co gorsza, jak piszą autorzy artykułu, „ustanawiając bezsprzecznie dominującą pozycję w Azji Wschodniej, Xi mógłby zabiegać o prymat na świecie". Konsekwencją chińskiej kontroli nad Tajwanem byłaby też „utrata wiary w zobowiązania Stanów Zjednoczonych w zakresie bezpieczeństwa i sojusznicy USA mieliby wielki bodziec do opracowania własnej broni nuklearnej". Tą drogą poszłyby Japonia i Korea Płd., a to sprawiłoby, że swoje zdolności atomowe w jeszcze większym stopniu zwiększyłyby Chiny i Rosja. „Kaskada nuklearna po chińskiej aneksji Tajwanu może zwiększyć globalne zapasy o setki lub więcej głowic nuklearnych. Prowadzone przez dziesięciolecia działania w zakresie przeciwdziałania proliferacji poszłyby na marne".

Zajęcie Tajwanu przez ChRL byłoby też mocnym uderzeniem w interesy gospodarcze USA, bo Pekin zwiększyłby „wysiłki na rzecz nakłonienia innych krajów azjatyckich do zmniejszenia swojej zależności od dolara amerykańskiego jako waluty rezerwowej". To mógłby być początek dedolaryzacji regionu Indo-Pacyfiku.

▶ Singapur

Po raz pierwszy od 40 lat Singapur zorganizował obejmujące całą wyspę ćwiczenia całkowitej obrony pod nazwą SG Ready, w których biorą udział wojsko i cywile. W operacji trwającej od 15 do 29 lutego wzięło udział poza armią ponad 500 organizacji edukacyjnych, społecznych, biznesowych i rządowych. Podczas ćwiczeń dokonano symulacji ataków na Singapur przeprowadzanych przez anonimowego napastnika różnymi sposobami, m.in. z wykorzystaniem zakłóceń w dostawach prądu, wody i żywności, kampanii dezinformacji i dronów.

Minister obrony narodowej Singapuru Ng Eng Hen powiedział, że przeprowadzenie tych ćwiczeń stało się konieczne w obliczu narastających na świecie kryzysów, m.in. wojny na Ukrainie, konfliktu Izrael-Hamas i „możliwej wojny w Azji, jeśli między Stanami Zjednoczonymi i Chinami dojdzie do starcia". Ng zauważył, że w Europie niektóre kraje zdały sobie sprawę, że nie mogą nie być zdolne do samoobrony, i to teraz, gdy jest ona najbardziej potrzebna. „Chodzi tu o moment inwazji Rosji na Ukrainę. Byli przekonani, że po zimnej wojnie zapanuje pokój i niektóre z tych krajów nawet ograniczyły służbę wojskową" – dodał szef singapurskiego MON-u. ■

eprasa.pl e1f842f673

Tomasz Gromadka

Iskry oporu na Syberii



eprasa.pl e1f842f673

Buriaci są w znakomitej większości przedstawicielami „russkowo mira", którzy gorliwie wierzą w Rosję. Wierzą – nie tak jak Polak może wierzyć w Polskę, to znaczy w jej powodzenie, potęgę, przyszłość etc. Wierzą w nią w sposób wręcz metafizyczny. Jest to skutkiem gruntownego wyprania mózgów, które czyni z ludzi skrajnych rosyjskich szowinistów. Ta mentalna epidemia dotyka wszystkich – młodych i starszych, wykształconych i niewykształconych. Dłuższy pobyt w Buriacji – podobnie jak w każdej innej części Rosji – nierzadko przypomina wizytę w domu dla obłąkanych.



FOT. WIKIPEDIA.

XX wiek był czasem, gdy rozpadały się wielkie imperia kolonialne, tworzone przez Europejczyków w poprzednich stuleciach. Gdy w 1991 roku upadł Związek Sowiecki, wielu wydawało się, że zniknęło ostatnie z nich – tym różniące się od innych, że jego macierzy od kolonii nie oddzielał ocean. W tym kontekście w próbach podporządkowania sobie Czeczenii, Gruzji, Ukrainy i innych państw, które wówczas odzyskały wolność, widziano chęć restauracji imperium, choćby częściowej. W rzeczywistości jednak taki pogląd to patrzenie przez okulary kłamstw Kremla. Rosja próbuje wmówić światu, że jej granice ustalone po 1991 roku są naturalne. Tymczasem kolonią Rosji jest Powołże – na czele z tatarskim Kazaniem (który w latach 90. był przez krótki czas suwerenny), ale przede wszystkim cała ogromna Syberia.

Prosiliśmy, by nas podbito

Latem 2019 roku – uczestnicząc w wyprawie na Syberię – znalazłem się w Buriacji, rozległej krainie rozciągającej się nad Bajkałem, 6 tys. kilometrów na wschód od Polski, w samym sercu Azji. Zamieszkują ją w większości Rosjanie, ale oprócz nich żyje tam tubylczy lud Buriatów. Są skośnoocy, spokrewnieni z Mongołami i w większości wyznają swoją rdzenną religię, opartą na szamanizmie i kulcie duchów.

Przemierzając tajgę, jechałem z pewnym Buriatem, który zgodził się podwieźć mnie 100 kilometrów. (Autostop na Syberii jest jednym z podstawowych środków komunikacji, z którego korzystają nawet duchowni i – używając rosyjskiego określenia – „babuszki".) Skośnooki jegomość, kierujący starym, sowieckim UAZ-em 452, urodą przypominał Mongoła. Podczas gdy samochód pokonywał kolejne kilometry bezludnych lasów, my rozmawialiśmy o życiu w Polsce – czyli na innym kontynencie. Po kilkunastu minutach postanowiłem zmienić temat.

– Kocha pan Rosję? – zapytałem prosto z mostu.

– Jakże miałbym nie kochać? – odparł Buriat, śmiejąc się – To moja ojczyzna.

– Ale chyba nie zawsze Buriacja była w Rosji.

– To prawda.

– A kiedy Rosja ją wchłonęła?

– W XVIII wieku.

– To wtedy, kiedy i Polskę – rzuciłem prowokująco.

– Oczywiście. Ale wy nie chcieliście tego podboju, ale my go pragnęliśmy i poprosiliśmy o niego.

Kłamstwo to lepszy strażnik od czołgów

Buriat nie miał racji. W XVII wieku jego przodkowie stawiali zacięty opór, nim ulegli i stali się poddanymi

Egzemplarz prywatny f842f673

Kremla. Prawie 400 lat to wystarczający czas, by wmówić pokonanym, że sami chcieli utraty niezależności. Dzięki temu armia nie musi stacjonować na ich terytorium. Lud szczęśliwy z pobytu w więzieniu nigdy nie pomyśli o możliwości ucieczki. Kłamstwo to lepszy strażnik od czołgów i żołnierzy.

Nie wszystkim podbitym narodom udało się Rosjanom wpoić swoją wizję dziejów i świata. Do pilnowania jednego z nich w 1900 roku Kreml przeznaczał ponad 25 proc. całej swojej armii. Terytorium, na którym żyła większość tych niepokornych buntowników, stanowiło natomiast 0,5 proc. imperium. O narodzie tym rosyjski filozof Mikołaj Bierdiajew napisał: „Nie ma na świecie narodu, który miałby tak intensywne poczucie narodowe. Polacy są całkowicie odporni na asymilację" („Судьба России", Moskwa 1990, s. 161).

Mongolskie dziedzictwo

Buriaci przemierzali tajgę rozciągającą się dookoła Bajkału na setki lat przed powstaniem państwa rosyjskiego, utrzymując się z pasterstwa, myślistwa i rybołówstwa. Na kartach historii pojawili się po raz pierwszy w „Tajnej historii Mongołów" – najstarszej mongolskiej kronice, spisanej na dworze mongolskich chanów w 1240 roku, trzynaście lat po śmierci Czyngis-chana. Średniowieczne dzieło wymienia Buriatów pod rokiem 1206, gdy podbił ich – a także inne plemiona zamieszkujące nadbajkalską tajgę – Dżoczi, jeden z synów wielkiego wodza.

Odtąd Buriaci byli poddanymi chanów. Bliskość kulturowa i religijna sprawiły, że mongolskiego panowania nie odczuwano jak okupacji, lecz widziano w nim raczej zjednoczenie pobratymców. Buriaccy mężczyźni brali udział w mongolskich wyprawach. Część z nich dotarła daleko na Zachód – najpierw na Ruś, a potem do Polski. Być może niektórzy do dziś spoczywają pod Legnicą.

Czterysta lat później sytuacja się odwróciła. Mongolia ulegała coraz większemu rozkładowi, a w lasach Buriacji pojawili się moskiewscy zdobywcy. Rodzące się imperium Kremla, przejąwszy ducha swych dawnych mongolskich panów, parło na Wschód. Jak napisał Andrzej Nowak, „można powiedzieć, pół żartem, pół serio, że Moskwa jakby mści się za dawne podboje Dżyngis-chana, Attyli i innych wielkich zdobywców euroazjatyckiego stepu" („Polska i Rosja", Kraków 2022, s. 102).

Jaruzelski – bohater Buriacji

Podbój zakończył się pełnym powodzeniem – Buriaci są w znakomitej większości przedstawicielami „russkowo mira", którzy gorliwie wierzą w Rosję. Wierzą – nie tak jak Polak może wierzyć w Polskę, to znaczy w jej powodzenie, potęgę, przyszłość etc. Wierzą w nią w sposób wręcz metafizyczny. Jest to skutkiem gruntownego wyprania mózgów, które czyni z ludzi skrajnych rosyjskich szowinistów. Ta mentalna epidemia dotyka wszystkich – młodych i starszych, wykształconych i niewykształconych. Dłuższy pobyt w Buriacji – podobnie jak w każdej innej części Rosji – nierzadko przypomina wizytę w domu dla obłąkanych.

Na Olchonie – dużej wyspie na Bajkale – znajduje się wieś Jalga. Składa się na nią kilkadziesiąt domów, wśród nich dom szamana, oraz mały wiejski sklep. Gdy dotarłem tam wraz z towarzyszami podróży, dom szamana był zamknięty. Rozmawiający z duchami pojechał do Irkucka. Podwoje sklepu były za to otwarte, a wnętrze kusiło chlebem i wódką – podstawowymi rozkoszami obywateli Trzeciego Rzymu. Na ławeczce przed drzwiami siedziała kompania pijanych Buriatów. Zaciekawieni pojawieniem się egzotycznych przybyszy, od razu zaczęli rozmowę, a gdy dowiedzieli się, że przyjechaliśmy znad Wisły, zapytali:

– Czy w Polsce wciąż rządzi generał Jaruzelski?

– Nie, już od dawna. – wyjaśniliśmy. – Zresztą już nawet nie żyje.

– Wielka szkoda! To był bardzo dobry prezydent.

– Czemu?

– Bo to był nasz człowiek.

Kraina duchów

Mimo wielu wieków panowania prawosławnej Rosji, a potem ponad 70 lat władzy Rosji komunistycznej, Buriaci nie porzucili swoich religii. Piszę o nich w liczbie mnogiej, ponieważ ci mieszkający na północnym zachodzie Buriacji wyznają rdzenny szamanizm, podczas gdy na południowym wschodzie dominuje buddyzm, nie pozbawiony wszakże elementów szamanistycznych.

Rdzeń credo buriackiego szamanizmu przypomina to, w co wierzą plemiona całej Syberii – świat został stworzony przez boskie istoty – tengeri – potem jednak wydarzyła się jakaś katastrofa, która poróżniła ich z ludźmi. Wybitny religioznawca Mircea Eliade uważał, że pierwotnie w wierzeniach ludów mongolskich i tureckich istniał tylko jeden Tengri. Z upływem stuleci – gdy Tengri stawał się dla ludzkich serc coraz bardziej odległy – następowało jego „pomnażanie" i w ten sposób rozwinął się politeizm (por. M. Eliade, „Historia wierzeń i idei religijnych", t. III, Warszawa 1995, s. 8–9).

Można wysunąć przypuszczenie, że monoteizm i wiara w pradawny Upadek to skutki oddziaływania chrześcijaństwa, które w średniowieczu docierało na Wielki Step i na Daleki Wschód. Biorąc jednak pod uwagę, że podobne przekonania żywi wiele ludów pierwotnych także na innych kontynentach, przyznać chyba należy, że są to pozostałości wiary pierwszych ludzi oraz

eprasa.pl e1f842f673

mglista pamięć o grzechu pierworodnym (por. G.K. Chesterton, „Wiekuisty człowiek").

Opuszczony człowiek zwrócił się po Upadku do duchów zamieszkujących ziemię. To one stanowią główny obiekt kultu w szamanistycznej religii Buriatów. Wierzą oni, że różne bezcielesne istoty, złe i dobre, żyją w lasach, jeziorach, rzekach itp. Kontaktują się z nimi szamani. Szczególnie potężny duch mieszka w Bajkale. Na brzegach jeziora spotkać można szamanów przyozdobionych w pióropusze, palących ofiary w rytualnych ogniskach. W pozostałych regionach, nie tylko w Buriacji, lecz na całej Syberii, duchom poświęcone są tysiące kapliczek, pełnych kolorowych wstążek. Składa się tam ofiary z pieniędzy, jedzenia, papierosów. Można też – czego sam byłem świadkiem – puścić duchowi utwór muzyczny. Zrobiła to na moich oczach pewna nauczycielka biologii w średnim wieku, która zatrzymała się przed taką właśnie kapliczką, opuściła szybę w aucie i włączyła radio, ustawiając największą możliwą głośność. Odjechała, gdy piosenka się skończyła, zapewne uznając, że duchowi wystarczy już ludzkiej kultury.

Oznaki czci wobec tych istot wynikają nie tyle z miłości, ile z chęci ułożenia sobie z nimi dobrych stosunków. Jako potężniejsze od ludzi, mogą się one srogo zemścić za obojętność. Jeśli zaś człowiek będzie wobec nich życzliwy, i one odwdzięczą się pomocą.

O tym że Moskwa potrafi wykorzystać także szamanistów, świadczy przykład wydarzeń, do których doszło w Abchazji, gdzie – podobnie jak w Buriacji – żywa jest pierwotna religia pogańska (o Abchazji pisałem w styczniowym numerze „Nowego Państwa"). Gdy upadał Związek Sowiecki, władzę w separatystycznej republice objęli ludzie bezpośrednio związani z Kremlem i KGB na czele z prezydentem Władysławem Ardzinbą. Nieco wcześniej – od 1989 roku – Ardzinba zasiadał w Radzie Najwyższej ZSRS. Jak piszą historycy zajmujący się narodzinami współczesnej Abchazji, „w pierwszą rocznicę zwycięstwa separatystów nad Gruzinami w modłach dziękczynnych do głównego boga panteonu abchaskiego, Dydrypszy, wziął udział cały rząd Abchazji na czele z prezydentem Władysławem Ardzinbą, najważniejsi urzędnicy administracji państwowej, przedstawiciele wojska i policji, razem pięćset osób. Wraz z nimi przybyły tysiące prostych Abchazów" (P. Borawski, T. Borawski, „Wojna w Abchazji", Połomia 2020, s. 46). Ten niegdyś wysoko postawiony urzędnik ateistycznego imperium działał teraz na rzecz jego nowych władz, które odrzuciły ateizm i przystroiły się w szaty prawosławia, a robił to, organizując szamanistyczne uroczystości. Nikt nie traktuje religii – jakiejkolwiek – bardziej przedmiotowo niż Rosja i jej ludzie.

Mimo wielu wieków panowania prawosławnej Rosji, a potem ponad 70 lat władzy Rosji komunistycznej, Buriaci nie porzucili swoich religii. Ci mieszkający na północnym zachodzie Buriacji wyznają rdzenny szamanizm, podczas gdy na południowym wschodzie dominuje buddyzm, nie pozbawiony wszakże elementów szamanistycznych.

Szamani na usługach FSB

Szamanizm buriacki – podobnie jak religie innych pogańskich ludów – odżył po rozpadzie Związku Sowieckiego. Nie oznacza to jednak, a przynajmniej nie musi oznaczać, że wyznawcy szamanizmu stanowią potencjalne źródło fermentu w Rosji, która przecież mieni się obrończynią chrześcijaństwa. Oba środowiska religijne mogą współistnieć bez przeszkód. Prawdopodobne jest również, że wśród szamanów znajdują się ludzie pracujący dla FSB. Nie wiadomo, czy szamani z Chakasji, którzy w maju 2022 roku złożyli ofiarę z byka w intencji zwycięstwa nad Ukrainą, byli takimi właśnie ludźmi FSB czy też ofiarami prania mózgów.

Zamiast chrystianizacji – dwojewierie

Można byłoby spojrzeć na rosyjski podbój Syberii z innej perspektywy – na pochód chrześcijaństwa na Wschód. Tak zapewne widzą to Rosjanie, a wraz z nimi wielu europejskich konserwatystów – choćby abp Carlo Maria Viganò – dla których Moskwa jest ostatnią nadzieją chrześcijaństwa, a Putin – katechonem.

Idea chrystianizacji przez podbój jest jednak sprzeczna z religią katolicką i nie wiem, jak łączą je katoliccy czy konserwatywni głosiciele racji Putina. Kościół potępił ją na Soborze w Konstancji dzięki zaangażowaniu ks. Pawła Włodkowica, polskiego prawnika i ówczesnego rektora UJ. Ksiądz Włodkowic pisał, że „takie napadanie niewiernych przez wiernych

eprasa.pl e1f842f673

[chrześcijan] nie tylko wyklucza miłość bliźniego, ale także – przez tego rodzaju niedozwolone przywłaszczenie sobie rzeczy cudzej – mieści w sobie kradzież i rabunek. Uzasadnienie: Bliźnimi bowiem naszymi są tak wierni, jak i niewierni, bez różnicy". W innym miejscu pisał: „[…] przeciw napadającym tamtych [pogan – przypis T.G.], którzy chcą trwać w pokoju, jest każde prawo, mianowicie naturalne, Boskie, kanoniczne i cywilne".

Nawet jednak gdyby podbój pogańskiej Syberii chrześcijaństwo usprawiedliwiało, należałoby przyznać, że cel nie został osiągnięty. Choć do rewolucji bolszewickiej Cerkiew miała wystarczającą ilość czasu na ewangelizację, do chrystianizacji Buriacji nie doszło. Dusze Buriatów po prostu nie interesowały prawosławnego duchowieństwa, skrajnie niewykształconego i od XVIII wieku całkowicie podporządkowanego carowi. Doszło za to do zjawiska odwrotnego – ogromnego wpływu religii buriackiej na prawosławnych Rosjan, w wyniku którego wykształciło się tzw. dwojewierie (co można przetłumaczyć jako „dwuwiara") – obie religie uległy zmieszaniu. Nie chodzi tu przy tym o przejmowanie pewnych zwyczajów, niemających wpływu na doktrynę, jak na przykład zwyczaj zapalania świec na grobach zmarłych, lecz właśnie o przejmowanie elementów doktryny. Oddawanie czci buriackim duchom oraz korzystanie z usług szamanów jest praktyką powszechną na Syberii. Chrześcijanie czasów rzymskich wzbraniali się przed złożeniem pogańskiej ofiary, wybierając śmierć w męczarniach. Rosjanie z Syberii składają duchom podarki codziennie, nie dostrzegając w tym ani śladu bałwochwalstwa.

Iskry sprzeciwu

Szamanizm nie stanowi zagrożenia dla Kremla, nie można powiedzieć jednak tego samego o innym elemencie buriackiej tradycji. W Buriatach wciąż tkwi pamięć dawnej chwały Czyngis-chana i być może tęsknota do niej. Zdaniem kierowcy UAZ-a, z którym jechałem nad Bajkał, twórca imperium mongolskiego pochodził właśnie z tego ludu. Jest to opinia bardzo rozpowszechniona wśród nadbajkalskich tubylców, lecz mijająca się z faktami. Wielki wódz urodził się raczej na terenie obecnej Mongolii, choć spośród Buriatów mogła wywodzić się jego matka.

Nie wiadomo, czy na dłuższą metę da się pozostać wiernym dwóm tradycjom – mongolskiej i rosyjskiej. Moskwa to dostrzega i boi się odradzającej się pamięci o Czyngis-chanie. W 2009 roku szerokie poparcie wśród elit buriackich zyskał projekt budowy pomnika mongolskiego władcy we wsi Kunkur, nieopodal której – jak twierdzą Buriaci – miał się on rzekomo urodzić. W Kunkurze odbyły się już nawet buddyjskie obrzędy, poprzedzające wzniesienie pomnika. Do realizacji projektu jednak nie doszło, ponieważ sprzeciwiły się jej rosyjskie władze. Kreml boi się idei panmongolizmu, która połączyłaby ludy mongolskie – z Buriatami włącznie – żyjące w Rosji, Mongolii i Chinach. Podobna idea – panturkizm – podsyca separatyzm wśród ludów tureckich, zamieszkujących teren Rosji, na przykład Tatarów Kazańskich.

Zapewne takie właśnie obawy kierują Putinem, gdy decyduje się on rzucać na front ukraiński Buriatów i członków innych syberyjskich ludów nieporównywalnie częściej niż Rosjan. Już teraz rdzenne ludy Syberii są mniejszością wobec rosyjskich kolonistów, ale zdziesiątkowanie ich na froncie zwiększy pewność Kremla, że nie dojdzie do ich buntu. Co więcej, będą umierać, wierząc, że czynią to w słusznej sprawie.

Przyszły los jest jednak wciąż nieustalony. Nie wiadomo, jak rozwinie się świadomość narodowa Buriatów – czy ich pamięć o heroicznych czasach zwycięstw Czyngis-chana zaniknie, czy wprost przeciwnie?

W innym regionie Syberii – w Ałtaju – spotkałem pewnego lokalnego patriotę. Nie patriotę rosyjskiego, lecz ałtajskiego. Plemiona skośnookich Ałtajczyków, przypominających z aparycji mieszkańców Japonii (choć nie łączy ich bliskie pokrewieństwo), żyją tam od wczesnego średniowiecza. Posługują się dialektami z rodziny tureckiej, choć w przeciwieństwie do innych ludów tureckich, takich jak Tatarzy czy Kazachowie, nie przeszli nigdy na islam i wciąż trwają przy pierwotnym szamanizmie.

Ałtajczyk ów był działaczem, starającym się zachować ginącą kulturę swego ludu. Szczerze nienawidził Moskali.

– Zabrali nam kraj – tłumaczył – odebrali nam naszą ojczyznę, zepchnęli nas w góry, na najbardziej nieurodzajne tereny, a sami zajęli żyzne pola i najlepsze pastwiska, ale nie potrafią korzystać z nich umiejętnie. Pasożytują na Ałtaju. Niszczyli te piękne ziemie przez 70 lat komunizmu i niszczą nadal. Podzielili się naszą ziemią z Chińczykami i Kazachami. A my nie jesteśmy Rosjanami, Kazachami ani Chińczykami, ale oddzielnym narodem.

Być może podobne iskry oporu znaleźć można na całej Syberii. Może za kilka dekad zapłoną duchem wolności. Taki scenariusz zaliczyć można do kategorii zgoła nieoczekiwanych, ale czy ktokolwiek spodziewał się, że wśród plemion syberyjskich gór i tajgi, mających niewielkie poczucie narodowości i prawie całkowicie pozbawionych własnego piśmiennictwa, po 400 latach panowania rosyjskiego, sowieckiego i znowu rosyjskiego wciąż istnieć będzie jakakolwiek chęć sprzeciwu wobec Moskwy? ■

eprasa.pl e1f842f673



Tomasz Sakiewicz

Jaka wspólnota

Jestem przekonany, że ten rok jest ostatnim tej Unii, którą obecnie widzimy. Co będzie dalej? Trudno naprawdę powiedzieć. Wiem, co powinno być: radykalna reforma, zupełnie zmieniająca dotychczasowy sposób integracji.

Protesty rolników zalewające całą Unię Europejską są początkiem wielkiego kryzysu, który wcześniej czy później zmusi kraje UE do całkowitej reformy tej organizacji. Rolnicy są zwartą grupą zawodową i mają łatwo opisywalne interesy. Zostały one jednak bardzo mocno naruszone przez politykę Komisji Europejskiej. Po pierwsze, UE forsując tzw. Zielony Ład, radykalnie podrożyło produkcję rolną Unii. Ta kosztowna produkcja spotkała się z silną konkurencją ze strony towarów rolnych z Ukrainy, Ameryki Południowej oraz – co zupełnie zdumiewające – także Rosji. Produkty spoza Unii oczywiście nie są tak obwarowane cenowymi warunkami, jak te z naszego rynku. W efekcie rolnicza produkcja w całej Unii stała się kompletnie nieopłacalna. To zmusiło rolników do buntu.

Dużo trudniej będzie mieszkańcom UE zorganizować się, by zaprotestować przeciwko polityce imigracyjnej. Dlaczego? Bo sprawa dotyczy po prostu wszystkich. To raczej doprowadzi do gwałtownej zmiany nastrojów przy wyborczych urnach. Ale powodów do buntu będzie jeszcze więcej. Zielony Ład i polityka energetyczna sprawią, że szybko upadną całe gałęzie przemysłu.

Unia zostanie po prostu zjedzona przez USA, Chiny, Indie itd. Czy to wywoła kolejne protesty, czy raczej rosnące rozczarowanie do całego projektu UE? Pewnie jedno i drugie. Jestem przekonany, że ten rok jest ostatnim tej Unii, którą obecnie widzimy. Co będzie dalej? Trudno naprawdę powiedzieć. Wiem, co powinno być: radykalna reforma, zupełnie zmieniająca dotychczasowy sposób integracji.

Co trzeba zmienić? Przede wszystkim Unię należy ze wszystkiego odchudzić. Koniecznie zabrać większość pieniędzy, kompetencji i instytucji. Nikt nie neguje dobrodziejstw, jakimi są trzy podstawowe wolności: swobodny przepływ ludzi, towarów i kapitału wewnątrz rynku. Ale do tego nie trzeba ani wielkiego budżetu, ani tysięcy urzędników. A co z dopłatami na przykład do rolnictwa? Te dofinansowania pochodzą ze składek poszczególnych krajów. Nie potrzeba do tego żadnego wspólnego budżetu. Wystarczy wspólny limit dopłat ustalony przez kraje członkowskie. Jakiś budżet unijny na pewno się przyda. UE zamiast otwierać granice na towary rolne z Ukrainy, powinna wykupić je do pewnych limitów i wyeksportować do krajów, gdzie żywności brakuje. Na takie rzeczy właśnie wspólne pieniądze by się przydały. Pytanie tylko, czy takiej Unii potrzebny jest na przykład skorumpowany i niezwykle kosztowny Parlament Europejski? Czy potrzebujemy równie skompromitowanego Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej?

Unię należy ze wszystkiego odchudzić. Koniecznie zabrać większość pieniędzy, kompetencji i instytucji. Nikt nie neguje dobrodziejstw, jakimi są trzy podstawowe wolności: swobodny przepływ ludzi, towarów i kapitału wewnątrz rynku. Ale do tego nie trzeba ani wielkiego budżetu, ani tysięcy urzędników.

Być może taki racjonalizm jeszcze nie przekonuje polityków. Za parę miesięcy może okazać się, że to w ogóle jedyna szansa na przetrwanie Unii Europejskiej. Niedługo sami się przekonamy. ■

eprasa.pl e1f842f673

polsat box

plus

TV + Światłowód

19 zł /mies.

przez pierwszy rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów, Światłowód S – do 300 Mb/s.

Pobierz ulotkę

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus internet stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje pakietów dodatkowych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Warunkiem skorzystania z rabatu** smartDOM jest zachowanie warunków tego programu i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl Oferta ważna na dzień 6.03.2024 r.

eprasa.pl e1f842f673